

DINO BUZZATI

POLOWANIE NA SMOKA

Z FALKONETEM

(PRZEŁOŻYŁ: ALOJZY PAŁŁASZ)

SIEDEM PIĘTER

Po całodziennej podróży pociągiem Giuseppe Corte przybył w pewien marcowy poranek do miasta, w którym znajdował się słynny zakład leczniczy. Miał lekką gorączkę, lecz postanowił przejść pieszo, z małą walizeczką w rękę, od stacji do sanatorium.

Nie odczuwał prawie żadnych dolegliwości, poradzono mu jednak, by udał się do owego zakładu, gdzie leczono tylko tę chorobę. Można tam było liczyć na wyjątkową kompetencję lekarzy i na racjonalne, w pełni skuteczne działanie aparatury medycznej.

Gdy z daleka ujrzał i rozpoznał sanatorium – znane mu już ze zdjęcia w jakimś prospekcie – odniósł jak najlepsze wrażenie. Biały siedmiopiętrowy gmach w kształcie piramidy przypominał nowoczesny hotel. Otaczały go wysokie drzewa.

Po wstępnych oględzinach lekarskich, w oczekiwaniu na badania, Giuseppe Corte znalazł się w przyjemnym pokoju na siódmym i zarazem ostatnim piętrze. Zarówno meble, jak tapety, były jasne i schludne: drewniane fotele, poduszki obciągnięte wielobarwną tkaniną. Rozciągał się stąd widok na jedną z najpiękniejszych dzielnic miasta. Wszystko było przesycone spokojem, gościnne, napawające otuchą.

Giuseppe Corte położył się natychmiast do łóżka i, zapaliwszy lampę u wezglowia, zaczął czytać książkę, którą zabrał ze sobą. Wkrótce potem weszła pielęgniarka, żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje.

Giuseppe Corte niczego nie potrzebował, ale chętnie dał się wciągnąć w rozmowę, wypytując dziewczynę o sanatorium. Dowiedział się od niej rzeczy zdumiewających: oto pacjentów rozmieszczano na poszczególnych piętrach według stopnia zaawansowania choroby. Na siódmym, czyli ostatnim, lokowano przypadki najłżejsze. Na szóstym dość lekkie, ale których nie wolno było zaniedbywać. Na piątym leczono dolegliwości poważniejsze... i tak dalej, piętro po piętrze. Na drugim leżeli ciężko chorzy. Na pierwszym ci, co do których utracono wszelką nadzieję.

Ten szczególny system – prócz tego, że bardzo ułatwiał pracę personelu – wykluczał sytuacje, w których lżej choremu mógł zakłócić spokój sąsiad będący w stanie agonalnym, stwarzał ponadto jednolitą atmosferę na każdym piętrze. Z drugiej zaś strony można było dzięki temu regulować kurację w sposób doskonały.

Wynikało stąd, że logicznie rzecz biorąc podzielono chorych na siedem kategorii. Każde piętro było jakby swoim własnym, zamkniętym światem, gdzie stosowano odrębne normy, gdzie panowały odrębne zwyczaje. A ponieważ każdym sektorem opiekował się inny doktor, występowały minimalne, acz ściśle określone różnice w metodach leczenia, chociaż dyrektor generalny zakładu potrafił im narzucić wspólny kierunek.

Kiedy pielęgniarka wyszła, Giuseppe Corte, któremu wydawało się, że nie ma już gorączki, zbliżył się do okna i wyjrzał – nie żeby obejrzeć nie znaną mu jeszcze panoramę miasta, lecz w nadziei, że przez okno dostrzeże chorych z niższych pięter. Budowa gmachu, z wielkimi uskokami, pozwalała na tego rodzaju obserwacje. Giuseppe Corte skoncentrował uwagę na oknach pierwszego piętra, bardzo odległych i widzianych z ukosa. Ale nie zauważył nic interesującego. W większości były szczelnie zasłonięte szarymi listewkami żaluzji.

Zauważył natomiast mężczyznę wyglądającego przez sąsiednie okno. Obaj przypatrywali się sobie długo, z rosnącą sympatią, nie wiedzieli jednak, jak przerwać milczenie. W końcu Giuseppe Corte nabrał odwagi i zagadnął:

– Pan też tu od niedawna?

– Och, nie – odparł tamten – jestem tu już od dwóch miesięcy... – I chcąc podtrzymać jakoś rozmowę, dodał po chwili: – Widziałem na dole brata.

– Pańskiego brata?

– Tak – rzekł nieznajomy. – Dziwnym zbiegiem okoliczności przybyliśmy tu jednocześnie, ale jego stan pogorszył się i, proszę tylko pomyśleć: jest już na czwartym.

– Na jakim czwartym?

– Na czwartym piętrze – wyjaśnił sąsiad głosem tak pełnym współczucia i lęku, że Giuseppe Corte omal nie zadrżał.

– Więc aż tak poważnie chorzy znajdują się na czwartym piętrze? – spytał ostrożnie.

– Och, Boże – odparł nieznajomy potrząsając lekko głową – nie daje to powodu do zbyt wielkiej rozpacz, ale też nie ma się z czego cieszyć.

– W takim razie – rzekł Corte żartobliwie i ze swobodą jak ktoś mówiący o tragicznych sprawach, które go nie dotyczą – w takim razie, jeśli na czwartym są już tak poważnie chorzy, to kogo sprowadza się na pierwsze?

– Och, na pierwszym są umierający. Tam lekarze nie mają nic do roboty. Tylko ksiądz ma zajęcie. I oczywiście...

– A jednak niewielu jest chorych na pierwszym – przerwał mu Giuseppe Corte, w przekonaniu, że sąsiad mu przytaknie – prawie wszystkie pokoje są tam zamknięte.

– Teraz jest ich niewielu, ale tego ranka było kilku – odpowiedział ze znaczącym uśmiechem. – Opuszczono żaluzje w tych pokojach, gdzie ktoś dopiero co umarł. Czy pan zresztą nie widzi, że na innych piętrach żaluzje są podniesione? Proszę mi jednak wybaczyć – dorzucił wycofując się z pośpiechem – mam wrażenie, że się ochłodziło. Wracam do łóżka. Wszystkiego najlepszego...

Mężczyzna zniknął w głębi swego pokoju, energicznie zatrzasnąwszy okno, po czym wewnątrz zapaliło się światło. Giuseppe Corte jeszcze przez jakiś czas stał nieruchomo, wpatrzony w opuszczone żaluzje pierwszego piętra. Wpatrywał się w nie z chorobliwą intensywnością i próbował wyobrazić sobie żałobne sekrety straszliwego piętra z pacjentami skazanymi na śmierć; czuł przy tym ulgę, że umieszczono go aż tak wysoko. Na miasto spływały tymczasem cienie wieczoru. Jedno po drugim rozbłyskiwały światłem tysiączne okna sanatorium – można by z daleka pomyśleć, że to pałac ze świąteczną iluminacją. Tylko na pierwszym piętrze, na dnie otchłani, dziesiątki okien pozostawały zamknięte i ciemne.

Wyniki ogólnych badań uspokoiły Cortego. Zazwyczaj skłonny do przewidywania rzeczy najgorszych, przygotował się już w duchu na surowy werdykt i nie byłby zaskoczony, gdyby doktor mu oświadczył, że trzeba go przenieść na niższe piętro. Nie pozbył się co prawda gorączki, lecz ogólne samopoczucie miał dobre. Lekarz zwracał się do niego tonem serdecznym i krzepiącym.

– Choroba jeszcze trwa – powiedział – ale przebieg jest bardzo lekki, za kilka tygodni, przypuszczalnie, wszystko minie.

– Zostanę więc na siódmym piętrze? – spytał lękliwie Giuseppe Corte, przejęty całą sprawą.

– Oczywiście – powiedział doktor klepiąc go przyjaźnie po ramieniu. – A pan myślał, że pana przenosimy? Może na czwarte? – i roześmiał się, jakby robił aluzję do wielce absurdalnej hipotezy.

– To dobrze, to dobrze – odrzekł Corte. – Kiedy człowiek zachoruje, to wyobraża sobie najgorsze...

Giuseppe Corte rzeczywiście został w pokoju, który zrazu mu przydzielono. Zaczął też poznawać niektórych pacjentów w te nieliczne popołudnia, kiedy wolno mu było wstawać. Rygorystycznie przestrzegał zaleceń lekarskich, wkładał w to mnóstwo zapachu, lecz mimo wszystko wydawało się, że jego stan się nie zmienia.

Po mniej więcej dziesięciu dniach zagadnął go przełożony pielęgniarzy z siódmego piętra: chciał prosić o koleżeńską przysługę, nazajutrz bowiem ma się tu zgłosić pewna pani z dwojgiem dzieci i brakuje dla nich trzeciego pokoju, jako że dwa po obu stronach pokoju Cortego są wolne; czy zatem pan Corte nie zgodziłby się przenieść gdzie indziej, do locum równie wygodnego?

Giuseppe Corte, oczywiście, nie wyraził sprzeciwu; ten czy tamten pokój, co za różnica? Jemu zaś przypadnie w udziale nowa, atrakcyjniejsza pielęgniarka.

– Z głębi serca dziękuję – powiedział przełożony pielęgniarzy z lekkim ukłonem. – Po kimś takim jak pan mogłem się spodziewać tego gestu rycerskości. Za godzinę, jeśli nie ma pan nic przeciw temu, zabierzemy się do przeprowadzki. Proszę zwrócić uwagę, że trzeba zejść piętro niżej – dodał od niechcienia, jakby chodziło o całkiem błahą okoliczność. – Niestety, na siódmym nie ma już miejsca. Jest to jednak zmiana całkiem prowizoryczna – pospieszył z wyjaśnieniem widząc, że Corte wstaje nagle i już otwiera usta, żeby zaprotestować – zmiana całkiem prowizoryczna. Skoro tylko zwolni się jakiś pokój, a myślę, że to nastąpi za parę dni, wróci pan na górę.

– Przyznam się panu – rzekł Giuseppe Corte uśmiechając się, aby dowieść, że nie jest dzieckiem – przyznam się panu, że przeprowadzka tego rodzaju rzeczywiście mi się nie podoba.

– Ależ ta przeprowadzka nie ma żadnego związku ze stanem pańskiego zdrowia; rozumiem doskonale, co pan chce powiedzieć, chodzi jednak wyłącznie o uprzejmość względem tej pani, która wolałaby nie rozłączać się z dziećmi... Na miłość boską – dorzucił śmiejąc się szczerze – proszę nawet nie myśleć, że są inne powody.

– Niech więc tak będzie – rzekł Giuseppe Corte – ale wydaje mi się, że to zła wróżba.

W ten sposób Corte znalazł się na szóstym piętrze i choć był przekonany, że przeprowadzka nie wynika z pogorszenia się jego zdrowia, poczuł się nieswojo na myśl, że między nim a światem ludzi zdrowych wznosi się już wyraźna bariera. Na siódmym piętrze, gdzie go początkowo umieszczono, mógł jeszcze utrzymywać więź z normalną społecznością ludzką, stanowiącą jakby przedłużenie świata zewnętrznego. Ale na szóstym wchodziło się w autentyczne życie szpitala; mentalność lekarzy, pielęgniarek i samych pacjentów była tu nieco odmienna. Przyznawano już, że na tym piętrze są osoby chore, tylko jeszcze tą chorobą nie zagrożone. Z pierwszych rozmów z pacjentami sąsiednich pokoi, z personelem i lekarzami Giuseppe Corte wywnioskował, że siódme piętro traktuje się tutaj żartobliwie, jako zarezerwowane dla „prawie zdrowych” ulegających bardziej niż gdzie indziej własnym kaprysom; dopiero od szóstego, by tak rzec, wszystko się zaczyna „naprawdę”.

Giuseppe Corte zrozumiał jednak, że gdyby chciał wrócić na górę, na miejsce, które mu przypadało z uwagi na specyfikę dolegliwości, natrafiłby niechybnie na przeszkody; a każdy, najmniejszy nawet wysiłek, jaki by podjął, by wrócić na siódme piętro, musiałby uruchomić wielce skomplikowany mechanizm; nie było wątpliwości, że gdyby się sam tego nie domagał, nikomu nie przyszłoby do głowy przenosić go znów na wyższe piętro do „prawie zdrowych”.

Dlatego Giuseppe Corte postanowił nie rezygnować ze swoich spraw i nie dać się zbyć obietnicami. Bardzo mu zależało na wytłumaczeniu kolegom z oddziału, że pobędzie z nimi tylko kilka dni, że to właśnie on sam chciał zejść piętro niżej, by zrobić grzeczność pewnej pani, i że wróci tam natychmiast, gdy zwolni się jakiś pokój. Słuchacze, niezbyt zresztą zainteresowani, potakiwali mu bez większego przekonania.

Nadzieję Giuseppe Cortego potwierdziła w pełni diagnoza nowego lekarza. I on również uważał, że Giuseppe Corte mógł z powodzeniem kurować się na siódmym piętrze: był ab-so-lut-nie lek-ko chory – lekarz skandował te słowa, żeby im przydać znaczenia – w gruncie rzeczy jednak sądził, że na szóstym Giuseppe Corte może być leczony dużo skuteczniej.

– Nie zaczynajmy od nowa tych bajeczek – zdecydowanie sprzeciwiał się pacjent – pan mi mówił, że moje miejsce jest na siódmym; chcę tam wrócić.

– Nikt nie mówił inaczej – replikował doktor – moja rada była uczciwa i prosta, ale nie wypowiadałem się jako lekarz, lecz jako praw-dzi-wy przy-ja-ciel. Pański stan jest,

powtarzam, maksymalnie lekki, ale nie będzie przesadą, gdy powiem, że niemniej jednak jest pan chory; wśród stanów analogicznych, moim zdaniem, należy jednak wyróżnić te, które charakteryzują się pewną większą skłonnością do rozprzestrzeniania się choroby. Już to panu tłumaczę: intensywność choroby jest niewielka, lecz zaatakowany przez nią obszar... znaczny; proces destrukcyjny komórek – po raz pierwszy Giuseppe Corte usłyszał ów złowieszczy termin – proces destrukcyjny komórek jest absolutnie w fazie początkowej, może nawet jeszcze się nie zaczął, ale dąży, mówię tylko: dąży, do jednoczesnego wtargnięcia na szerokie polacie organizmu. Dlatego też, moim zdaniem, można pana leczyć z większym skutkiem na szóstym, gdzie metody terapeutyczne są bardziej typowe i intensywne.

Pewnego dnia dyrektor generalny szpitala, po długich konsultacjach ze współpracownikami, postanowił wprowadzić zmianę w selekcji pacjentów. Hierarchię – żeby tak to określić – obniżało się o pół punktu. Założywszy, że na każdym piętrze podzielono by pacjentów – według stopnia zaawansowania choroby – na dwie kategorie (podział taki był już dokonywany przez lekarzy, ale wyłącznie na użytek służbowy), niższą z tych dwóch kategorii należałoby z urzędu przenieść piętro niżej. Na przykład: połowa pacjentów z objawami nieco bardziej wyraźnymi musiałaby przejść z szóstego na piąte i – podobnie – z siódmego na szóste. Wieść o tym spodobała się Cortemu, ponieważ przy tak szerokim planie przeprowadzek jego powrót na siódme piętro powinien być łatwiejszy.

Gdy wspomniał o tej nadziei pielęgniarce, gorzko się rozczarował. Dowiedział się, że będzie przeniesiony nie na siódme, lecz piętro niżej. Z powodów, których mu pielęgniarką nie umiała wyjaśnić, zaliczono go do „poważniejszych przypadków” szóstego piętra. Musiał więc zejść na piąte.

Skoro tylko pokonał pierwsze zdziwienie, wpadł we wściekłość. Krzyczał, że go oszukano, że nie chce słyszeć o dalszych przeprowadzkach w dół, że wyjedzie do domu, że prawo winno być prawem i że administracji szpitala nie wolno tak bezkarnie lekceważyć diagnozy lekarskiej.

Kiedy tak wrzeszczał, zjawił się lekarz. Radził Cortemu, żeby się nie unosił, jeśli nie chce, by mu podskoczyła temperatura, i tłumaczył, że zaszło nieporozumienie, co najmniej częściowo. Raz jeszcze stwierdził, że najwłaściwszym miejscem dla Cortego byłoby siódme piętro, dodał jednak, że co do jego przypadku ma koncepcję trochę

odmienną, jeśli nawet nie całkiem prywatną. W gruncie rzeczy i, oczywiście, do pewnego stopnia można było uważać, że stan Giuseppe Cortego odpowiada szóstemu szczeblowi hierarchii ze względu na zakres objawów chorobowych. On sam jednak, jako lekarz, nie potrafi zrozumieć, dlaczego zaliczono go do niższej grupy z szóstego piętra. Do tej pięćdziesięcioprocentowej niższej grupy. Sekretarz dykcji, który właśnie tego ranka telefonował na oddział pytając o sytuację kliniczną Giuseppe Cortego, pomylił się najwidoczniej przy notowaniu. Możliwe też, że dyrekcja celowo „pogorszyła” nieco tę diagnozę, wiedząc, że postawił ją lekarz doświadczony, lecz nadto pobłażliwy. I w końcu doktor radził Cortemu, żeby się nie denerwował i bez protestu zgodził się na przeniesienie, liczy się bowiem choroba, a nie pokój, w którym przebywa pacjent.

Co się zaś tyczy kuracji – dorzucił jeszcze – Giuseppe Corte nie będzie miał powodów do narzekania: ordynator z niższego piętra ma z pewnością więcej doświadczenia; można by wręcz przyjąć za pewnik – tak przynajmniej sądzi dyrekcja – że im niższe piętro, tym doskonalsza specjalizacja lekarzy. Pokój na piątym jest równie wygodny i elegancki. Widok z okna rozległy: jedynie na wysokości trzeciego piętra zasłania go kępa drzew.

Giuseppe Corte, zaatakowany wieczorną gorączką, słuchał tych drobiazgowych wyjaśnień z coraz większym znużeniem. Spostrzegł wreszcie, że brak mu sił, a zwłaszcza woli, żeby reagować na krzywdzące przeniesienie. I bez dalszych sprzeciwów pozwolił się przenieść piętro niżej.

Kiedy już się znalazł na piątym piętrze, jedyną, acz małą pociechę stanowił dla niego fakt, że lekarze, pielęgniarki i pacjenci zgodnym chórem orzekli, że jest on najzdrowszy ze wszystkich na tym oddziale. Mógł się uważać za największego szczęściarza wśród chorych z tego piętra. Z drugiej jednak strony dręczyła go myśl, że teraz dwie bariery wznoszą się między nim a światem ludzi zdrowych.

Nadchodziła wiosna, powietrze robiło się coraz cieplejsze, lecz Giuseppe Corte nie lubił już, jak podczas pierwszych dni, wyglądać przez okno; był przestraszony i powodowany tym absurdalnym lękiem dostawał dziwnych dreszczy na widok zasłoniętych przeważnie okien pierwszego piętra, od którego tak niewiele go już dzieliło.

Wydawało mu się, że jego stan nie ulega pogorszeniu. Po trzech dniach pobytu na piątym piętrze zobaczył jednak na prawej nodze wysypkę, która nie zniknęła w ciągu

następnych dni. Była to dolegliwość – rzekł lekarz – absolutnie nie związana z główną chorobą. Tego typu zaburzenie mogło się przytrafić człowiekowi najzdrowszemu. Żeby je zlikwidować w ciągu paru dni, potrzebna była intensywna kuracja promieniami gamma.

– Czy macie tu promienie gamma? – spytał Giuseppe Corte.

– Naturalnie – odpowiedział lekarz z dumą – nasz szpital dysponuje wszelką aparaturą. Istnieje tylko jedna niedogodność...

– Co takiego? – zapytał Corte ogarnięty jakimś złym przeczuciem.

– Komplikacja, żeby to tak nazwać – poprawił się doktor – chcę powiedzieć, że aparat do naświetleń znajduje się na czwartym piętrze, a odradzałbym panu takiej wędrówki trzy razy dziennie.

– A więc?

– A więc dopóki pana nie wykurują, byłoby lepiej, gdyby pan był uprzejmy przenieść się na czwarte piętro.

– Dosyć! – zawył zrozpaczony Giuseppe Corte. – Już mam dosyć schodzenia! Choćbyś pan pękł, na czwarte nie pójde.

– Jak pan uważa – rzekł pojednawczo doktor nie chcąc irytować pacjenta. – Ale jako pański lekarz zakazuję panu schodzić w dół trzy razy dziennie.

Kłopot polegał na tym, że egzema, zamiast zniknąć, zaczęła się powoli rozprzestrzeniać. Giuseppe Corte nie zdołał odzyskać równowagi ducha i przewracał się niespokojnie na łóżku. Rozżalony leżał tak przez trzy dni, aż wreszcie musiał ustąpić. Zwrócił się do lekarza z prośbą o kurację promieniami gamma i o przeniesienie na niższe piętro.

Tam zaś Giuseppe Corte z niewymowną przyjemnością odnotował, że stanowi chlubny wyjątek. Pacjenci oddziału byli z pewnością bardzo poważnie chorzy i nie mogli nawet na sekundę opuścić łóżka. On natomiast mógł pozwolić sobie na luksus pieszej wędrówki z pokoju do gabinetu zabiegowego, nagradzany komplementami zachwyconych pielęgniarek.

Lekarzowi oddziałowemu wytłumaczył z naciskiem, na czym polega jego wyjątkowa pozycja. Pacjent, który powinien być na siódmym piętrze, znalazł się oto na czwartym. Niech tylko skończą się te zabiegi, a powróci na górę. Z pewnością nie przyjmie żadnych innych argumentów. On, który ma prawo do przebywania na siódmym piętrze!

– Na siódmym, na siódmym! – zawołał uśmiechając się lekarz, który właśnie kończył swoją wizytę u Cortego. – Wy, pacjenci, zawsze przesadzacie. Jako pierwszy mogę pana zapewnić, że powinien pan być zadowolony ze swojego stanu: wyczytałem z karty chorobowej, że nie nastąpiło zbyt duże pogorszenie. Ale między tym piętrem i siódmym... proszę mi wybaczyć brutalną szczerość... jest ogromna różnica. Przyznaję, że należy pan do przypadków mniej absorbujących, ale przecież jest pan pacjentem.

– A zatem – rzekł Giuseppe Corte, czując, że twarz mu płonie – na którym piętrze pan by mnie umieścił?

– Och, Boże, niełatwo o tym zdecydować, złożyłem panu tylko krótką wizytę, a musiałbym poobserwować pana co najmniej przez tydzień, żeby w tej sprawie wypowiedzieć się miarodajnie.

– Możliwe – nie ustępował Corte – ale wkrótce będzie pan to wiedział.

Lekarz, chcąc go uspokoić, udawał, że się koncentruje, i po chwili namysłu wycedził powoli, kiwając głową:

– Och, Boże, w gruncie rzeczy moglibyśmy pana umieścić na szóstym, byle tylko pana usatysfakcjonować. Tak, tak – dodał, jakby przekonując samego siebie – szóste byłoby w sam raz.

Sądził, że sprawi radość choremu, a tymczasem twarz Giuseppe Cortego wyrażała przerażenie: pacjent spostrzegł, że oszukali go lekarze z wyższych pięter, a ten nowy, zręczniejszy, naturalnie, i uczciwszy, typował go w duchu – co było oczywiste – nie na siódme, lecz na piąte piętro i może nawet zaliczał go do niższej grupy piątego piętra. Corte poczuł się upokorzony tym i rozczarowany. Tego wieczora temperatura znacznie mu podskoczyła.

Z całego pobytu w sanatorium okres spędzony na czwartym piętrze był najspokojniejszy. Doktor okazał się człowiekiem niezwykle sympatycznym, usłużnym i serdecznym; często przesiadywał u Cortego długie godziny, żeby pogawędzić o różnych sprawach. Giuseppe Corte rozprawiał bardzo chętnie, przypominało mu to poprzednie życie, życie adwokata i światowca. Próbował przekonać samego siebie, że jeszcze należy do społeczności ludzi zdrowych, że jest jeszcze związany z kołami biznesu, że naprawdę interesuje się wydarzeniami publicznymi. Próbował, ale mu się to nie udawało. Rozmowa zawsze kończyła się tematem choroby.

Pragnienie najlżejszej bodaj poprawy stało się dla niego wręcz obsesją. Niestety, promienie gamma, choć zdołały powstrzymać rozszerzanie się wysypki, nie wystarczały jednak, by ją usunąć. Giuseppe Corte co dzień długo konferował o tym z lekarzem i starał się dowieść, że jest silny, ironizował nawet, ale bez skutku.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze – rzekł pewnego dnia – jak przedstawia się proces rozpadu moich komórek?

– Och, co za brzydkie słowa! – skarcił go żartobliwie lekarz. – Gdzie pan się ich nauczył? To niedobre, niedobre, zwłaszcza dla chorego. Nigdy więcej nie chcę o tym słyszeć od pana.

– Zgoda, ale pan mi nie odpowiedział – nastawał Corte.

– Ach, już panu odpowiadam – odparł uprzejmie lekarz. – Proces rozpadu komórek, żeby powtórzyć pańskie potworne wyrażenie, jest na poziomie minimalnym, a b s o l u t n e minimum. Miałbym jednak ochotę nazwać go uporczywym.

– Uporczywym, czyli chronicznym?

– Proszę nie zmuszać mnie do mówienia tego, czego nie powiedziałem. Chcę powiedzieć tylko: uporczywym. Taka zresztą jest większość przypadków. Nawet bardzo lekkie dolegliwości wymagają nieraz energicznych i długotrwałych zabiegów.

– Doktorze, proszę mi powiedzieć, kiedy mogę się spodziewać poprawy?

– Kiedy? W podobnych przypadkach prognozy są raczej trudne... Ale proszę posłuchać – dorzucił po krótkim namyśle – widzę, że ogarnął pana prawdziwy szal wyzdrowienia... gdybym się nie obawiał, że pana rozgniewam, to wie pan, co bym radził?

– Ależ proszę powiedzieć, proszę powiedzieć, doktorze...

– No dobrze, postawię problem w terminach bardzo klarownych. Gdybym cierpiał na tę dolegliwość, nawet w jej najłagodniejszej formie, przyjechałbym do tego sanatorium, chyba najlepszego, jakie istnieje, i spontanicznie, od pierwszego dnia, od pierwszego dnia, rozumie pan? zapisałbym się na któreś z niższych pięter. Pozwoliłbym się umieścić od razu...

– Na pierwszym? – podpowiedział z wymuszonym uśmiechem Corte.

– Ach, nie! Nie na pierwszym – z sarkazmem zaprzeczył lekarz. – Oczywiście, że nie! Ale z pewnością wybrałbym trzecie lub nawet drugie. Na niższych piętrach leczenie jest skuteczniejsze, gwarantuję, aparatura bardziej różnorodna i sprawniej działająca, a personel bardziej wykwalifikowany. Czy pan zresztą wie, kto jest duszą tego szpitala?

– Profesor Dati?

– Naturalnie profesor Dati. On jest wynalazcą terapii, którą się tu stosuje, i zaprojektował odpowiednie urządzenia. Tak więc on, mistrz, znajduje się, żeby tak rzec, między pierwszym a drugim piętrem. Stąd emanuje jego siła kierownicza. Ale jego wpływ, zapewniam pana, nie wykracza poza trzecie piętro; te same zalecenia rozdrabniają się jak gdyby na wyższych piętrach, tracą spoistość, odbiegają od głównych wskazań; serce szpitala bije na dole i trzeba być na dole, żeby się poddać znacznie lepszej terapii.

– A zatem – rzekł Giuseppe Corte drżącym głosem – a zatem radzi mi pan...

Proszę wziąć pod uwagę jeszcze jedno – podjął ze stanowczością lekarz – proszę wziąć pod uwagę, że w pańskim szczególnym przypadku należałoby się zatroszczyć o „ekspulsję”. Rzecz bez znaczenia, przyznaję, raczej męcząca i stosowana na dłuższą metę mogłaby zachwiać pańskim morale; a wie pan, jak ważna dla wyzdrowienia jest pogoda ducha. Naświetlanie promieniami, jakie panu zaaplikowałem, dało tylko połowiczne rezultaty. Dlaczego? Może był to czysty przypadek, możliwe jednak, że promieniom brakowało intensywności. Otóż podobna aparatura na trzecim piętrze jest dużo efektywniejsza. Szansę na wyleczenie pańskiej egzemy byłyby tam dużo większe. Rozumie pan? Leczenie raz sprowadzone na właściwą drogę i najtrudniejszy krok jest już zrobiony. Kiedy ktoś zaczyna schodzić od samej góry, trudno mu tam później wrócić. Gdy faktycznie poczuje się pan lepiej, nic nie stanie na przeszkodzie, by przeniósł się pan wyżej z piętra naszego lub z jeszcze niższego niż nasze, zgodnie z pańskimi osiągnięciami, na piąte czy szóste, jeśli nie wręcz... ośmielę się stwierdzić... na siódme.

– Wierzy pan, że to może przyspieszyć kurację?

– Ależ nie ma co tego żadnych wątpliwości! Już panu powiedziałem, co zrobiłbym w pańskiej sytuacji.

Zapewnienia tego rodzaju składał lekarz każdego dnia. W końcu nadszedł moment, gdy chory, zmęczony dokuczliwą egzemą, choć instynktownie opierający się przeprowadzce, postanowił jednak skorzystać z rady lekarza i przeniósł się piętro niżej.

Szybko zauważył, że na trzecim piętrze twarze pielęgniarek i lekarza promieniują jakąś szczególną radością, mimo że na tym oddziale przebywali chorzy wymagający znacznej opieki. Spostrzegł nawet, że radość ta wzrasta z dnia na dzień; kiedy więc nawiązał pierwszy kontakt z pielęgniarką, spytał z zaciekawionym, dlaczego wszyscy są tak weseli.

– O, to pan nie wie? – odpowiedziała. – Za trzy dni ruszamy na urlop.

– Jak to: ruszamy na urlop?

– No tak. Przez piętnaście dni trzecie piętro będzie zamknięte i personel pojedzie sobie na wypoczynek. I kolejno na wypoczynek pojedą inne piętra.

– A chorzy? Co z nimi zrobicie?

– Przecież jest ich względnie mało, z dwóch pięter zrobi się jedno.

– Jak to? Łączycie pacjentów trzeciego i czwartego?

– Nie, nie – sprostowała – trzeciego i drugiego. Ci, którzy tu są, będą musieli zejść piętro niżej.

– Zejść na drugie? – zapytał Giuseppe Corte blady jak trup. – Czyli i ja musiałbym zejść na drugie?

– No oczywiście. I co w tym dziwnego? Za piętnaście dni, kiedy wrócimy, pan znowu będzie w swoim pokoju. Chyba nie ma się czego bać.

Aliści Giuseppe Cortego ostrzegał przed tym tajemniczy instynkt. Zważywszy jednak, że nie mógł powstrzymać personelu przed wyjazdem na wakacje, i przekonany, że pomogą mu nowe intensywniejsze naświetlania – egzema prawie całkiem zniknęła – nie śmiał stawiać formalnego weta wobec kolejnych przenosin. Ale domagał się, nie bacząc na kpiny pielęgniarek, by na drzwiach nowego pokoju umieszczono karteczkę z napisem: „Giuseppe Corte, z trzeciego piętra, przejściowo”. Taka sprawa nie miała precedensu w historii sanatorium, lekarze jednak nie oponowali w obawie, że przy gwałtownym temperamencie, jakim odznaczał się Corte, nawet słaby sprzeciw z ich strony może go narazić na poważny wstrząs.

W gruncie rzeczy chodziło o to, by przeczekać owych piętnaście dni, ani jednego więcej, ani jednego mniej. Giuseppe Corte zaczął je liczyć z uporczywą żarliwością, leżąc przez całe godziny nieruchomo w łóżku, przypatrując się meblom, które na drugim piętrze nie były już tak nowoczesne i miłe dla oka jak na wyższych piętrach, miały natomiast większe rozmiary, a kształty bardziej surowe i dostojne. Od czasu do czasu wytyczał słuch, bo mu się zdawało, że z niższego piętra, z piętra umierających „skazańców”, słyszy niewyraźne rżenie świadczące o agonii.

Wszystko to, naturalnie, osłabiało jego odwagę. Zanikająca pogoda ducha pomagała niejako chorobie, podnosiła się gorączka, wzmagало się ogólne osłabienie. Z okien –

trzymano je prawie zawsze otwarte, bo nastąpiła właśnie pełnia lata – nie sposób było dostrzec dachów ani domów miasta, tylko zielony mur drzew otaczających szpital.

Po siedmiu dniach, około drugiej po południu, wszedł nagle oddziałowy i trzy sanitariuszki popychające łóżko na kółkach.

– Czy jesteśmy gotowi do przeprowadzki? – zażartował dobrodusznym tonem pielęgniarz.

– Do jakiej przeprowadzki? – spytał z wysiłkiem Giuseppe Corte. – Co to za dowcip? Przecież za siedem dni ma wrócić personel z trzeciego piętra!

– Z trzeciego piętra? – powtórzył oddziałowy, jakby nie rozumiał – polecono mi sprowadzić pana na pierwsze – i pokazał zadrukowany kawałek papieru: skierowanie na niższe piętro podpisane własnoręcznie przez profesora Dati.

Przerażony i wściekły Giuseppe Corte zaczął głośno wrzeszczeć, te pełne gniewu okrzyki słyhać było na całym oddziale. „Cicho, ciszej, na litość boską – błagały sanitariuszki – przecież tu są chorzy, którzy nie czują się dobrze”. Ale on tak łatwo nie dawał się uspokoić.

Zjawił się wreszcie lekarz, człowiek bardzo wykształcony i uprzejmy. Dowiedział się, o co chodzi, zerknął na pismo, udzielił głosu Cortemu. Potem zwrócił się z irytacją do przełożonego pielęgniarzy i oświadczył, że zaszła pomyłka: nie on bowiem wypisywał to skierowanie; od pewnego czasu panuje tu rozgardiasz niebywały, nie poinformowano go o niczym... Wypowiedziawszy to pod adresem pielęgniarza, zaczął grzecznym tonem przeproszać pacjenta.

– Niestety jednak – dodał – profesor Dati wyjechał przed godziną na krótki urlop; wróci za dwa dni. Jest mi niewymownie przykro, ale jego zlecenia muszą być wykonane. Jako pierwszy będę ubolewał, zapewniam pana... co za pomyłka! Nie pojmuję, jak mogła się przydarzyć.

Żalostne drżenie wstrząsnęło Giuseppe Cortem. Utracił wszelką zdolność panowania nad sobą. Poddał się strachowi jak małe dziecko. Cały pokój rozbrzmiewał jego monotonnym, rozpaczliwym szlochem.

W ten to sposób przez jakąś szkaradną pomyłkę dotarł do ostatniej stacji. Do oddziału umierających, on, który przecież ze względu na swoją chorobę mógł zostać na

szóstym, jeśli nawet nie na siódmym piętrze. Sytuacja była tak groteskowa, że chwilami Giuseppe Corte miał ochotę roześmiać się na całe gardło.

Wyciągnięty na łóżku w to ciepłe letnie popołudnie, przeciągające powoli nad miastem, wpatrywał się przez okno w zieleń drzew i doznawał wrażenia, że wszedł w świat nierealny, który tworzą absurdalne ściany z płytek sterylnych, zimne, posępne korytarze, blade postacie ludzkie pozbawione duszy. Pomyślał, że również drzewa, które – jak mu się zdawało – widzi za oknem, nie są prawdziwe; w końcu nawet przekonał się o tym, gdy spostrzegł, że nie poruszają się na nich liście.

Stwierdzenie to wzburzyło go tak bardzo, że zadzwonił na pielęgniarkę i prosił o podanie mu okularów, bo jako krótkowidz nie używał ich leżąc w łóżku; dopiero wtedy zdołał się nieco uspokoić: przez szkła mógł się przekonać, że to jednak prawdziwe drzewa, a liśćmi, chociaż lekko, porusza wiatr.

Pielęgniarka wyszła, minął kwadrans zupełnej ciszy. Sześć pięter, sześć straszliwych murów – cóż z tego, że tylko w wyniku pomyłki w formalnościach – przytłaczało go teraz nieubłagany ciężarem. Po ilu latach... tak, należy właśnie myśleć w latach... po ilu latach uda mu się opuścić skraj tej przepaści?

Ale jak to się stało, że pokój nagle zaczął pogrążyć się w ciemnościach? Przecież ciągle jeszcze jest słoneczne popołudnie. Giuseppe Corte, skrępowany dziwnym odrętwieniem, zdobył się na nadludzki wysiłek, by spojrzeć na zegar stojący na nocnej szafce koło łóżka. Było pół do czwartej. Odwrócił głowę w drugą stronę i zobaczył, że ruchome listewki żaluzji, posłuszne tajemniczemu nakazowi, opadają powoli, zamykając drogę światłu.

ŚWIĘCI

Każdy ze świętych ma swój domek; domki są rozsiane wzdłuż brzegu, mają werandy z widokiem na ocean, a tym oceanem jest Bóg.

Latem, kiedy robi się gorąco, święci dla odświeżenia dają nurka do chłodnej wody, a tą wodą jest Bóg.

Na wieść, że przybędzie nowy święty, szybko zaczęto budowę nowego domku, na samym skraju, w pobliżu innych. Tworzą one nieskończony szereg na brzegu morza. Przestrzeni z pewnością nigdy nie zabraknie.

I kiedy święty Gancillo przybył na miejsce po beatyfikacji, domek, podobny do innych, był gotów na jego przyjęcie, czekały już sprzęty, bielizna, naczynia kuchenne, dobra książka oraz inne drobiazgi. Wisiała nawet na ścianie wspaniała oganka, bo w tej strefie muchy były liczne, acz nie dokuczliwe.

Gancillo nie należał do sławnych świętych, był skromnym wieśniakiem i dopiero po jego śmierci ktoś pomyślał o tym człowieku pełnym łaski, która promieniowała z niego na otoczenie. A proboszcz, choć, bez zbytniego przekonania, podjął pierwsze próby w procesie beatyfikacji. Od tego czasu minęło niespełna dwieście lat.

Ale w głębokim łonie Kościoła, niespiesznie, kroczył za kroczkiem, proces posuwał się naprzód. Umierali kolejno biskupi i papieże, zastępowali ich inni, natomiast akta sprawy Gancilla prawie samoistnie wędrowały z urzędu do urzędu, wciąż wyżej i wyżej. Tchnienie łaski w tajemniczy sposób emanowało z tych wyblakłych szpargałów i nie było prałata wertującego owe papierzyska, który by tego nie zauważył. Dlatego pewnie cała sprawa nie poszła w zapomnienie. Aż nadszedł ranek, kiedy wizerunek wieśniaka w pozłocistej ramie wzniesiono w górę w bazylice Świętego Piotra, w dole zaś sam Ojciec Święty zaintonował psalm pochwalny, wynosząc Gancilla na ołtarze.

W jego rodzinnej wsi odbyła się wielka uroczystość, a pewien człek uczony w historii lokalnej odnalazł – jak sądził – dom, gdzie Gancillo przyszedł na świat, gdzie żył i umarł; dom przekształcono zatem w rodzaj wiejskiego muzeum, ale że nikt już Gancilla nie pamiętał i wszyscy jego krewni powymierali, popularność nowego patrona trwała

krótko. Od niepamiętnych czasów ludzie czcili tam świętego Marcolina i pielgrzymi z dalekich stron ściągali tu, by ucałować jego posąg słynący z cudów. Ołtarz świętego Marcolina był istotnie wspaniały, jarzył się od świateł i wotów, a tuż obok wzniesiono nowy ołtarz dla Gancilla. Ale kto na niego zwracał uwagę? Kto tam klękał i kto się tam modlił? Toć to wyblakła postać sprzed dwustu lat. Nie obdarzona niczym, co by przyciągało wyobraźnię.

Ale Gancillo i tak nie spodziewał się tylu zaszczytów, rozgościł się w swym domku i siedząc w słońcu na werandzie patrzył z błogością, jak spokojnie oddycha potężny ocean.

Nazajutrz rano wstał wcześniej i ujrzał człowieka w mundurze listonosza, który zsiadł z roweru przed pobliskim domkiem i wniósł tam okazałą paczkę; z podobną paczką zapukał do następnych drzwi; i tak wstępował z paczkami do kolejnych domów, póki Gancillo nie stracił go z oczu; tylko jemu nic nie przyniósł.

Scena ta powtórzyła się podczas następnych dni, wreszcie zaciekawiony Gancillo dał listonoszowi znak, by zbliżył się, i zapytał:

– Wybacz moją ciekawość, co przynosisz każdego ranka wszystkim moim kolegom? Dlaczego do mnie nigdy nie zajdziesz?

– Roznoszę pocztę – odparł listonosz zdejmując z szacunkiem czapkę. – Jestem listonoszem.

– Jaką pocztę? Kto ją przysyła?

Listonosz uśmiechnął się i zrobił gest, jakby chciał wskazać tych stamtąd, po drugiej stronie, ludzi ze starego świata.

– Prośby? – zapytał święty Gancillo, któremu zaczynało już coś świtać w głowie.

– Tak, prośby, modlitwy, petycje wszelkiego rodzaju – odrzekł listonosz obojętnym tonem, jakby to były drobnostki, nie chciał bowiem zmartwić nowego świętego.

– I co dzień jest ich aż tyle?

Listonosz zamierzał wyjaśnić, że mieli akurat martwy sezon, że kiedy indziej listów przychodzi dziesięć, dwadzieścia razy więcej. Ale pomyślał, że sprawi tym przykrość Gancillowi i odparł wymijająco:

– No, to zależy.

Zaraz też wymknął się chyłkiem pod pierwszym lepszym pretekstem.

Jest jednak faktem, że do świętego Gancilla nikt się z niczym nie zwracał. Jakby w ogóle nie istniał. Żadnego listu, bileciku, nawet zwykłej kartki pocztowej. A on, widząc każdego ranka stosy korespondencji adresowanej do kolegów (nie, nie był zazdrosny, bo do niskich uczuć był niezdolny, ale nieraz na pewno czuł się nieswojo trapiiony wyrzutami sumienia, że siedzi tu beczynnienie, podczas gdy inni załatwiają tak ogromną ilość spraw), miał wrażenie, że je chleb świętych za darmo (chleb to był specjalny, trochę lepszy niż ten, który spożywali zwykli błogosławieni).

Ta udręka skłoniła go pewnego dnia do złożenia nie proszonej wizyty w jednym z sąsiednich domków, skąd dobiegał dziwny hałas.

– Ależ proszę, wejdz, mój drogi, wejdz i siadaj, tu masz całkiem wygodny fotel. Przepraszam na chwilę, skończę tylko pracę i już wracam do ciebie – powitał go serdecznie kolega i zniknął w sąsiednim pokoju, gdzie ze zdumiewającą szybkością podyktował stenografowi tuzin listów i rozporządzeń służbowych, które sekretarz zaczął spiesznie przepisywać na maszynie. Potem rzucił w stronę Gancilla: – Ech, mój drogi, ta ciągle napływająca poczta byłaby poważnym problemem bez minimum organizacji. Pozwól tu na moment, pokażę ci moją elektroniczną kartotekę z taśmami perforowanymi.

Słowem, był nad wyraz uprzejmy,

Gancillo z pewnością nie potrzebował taśm perforowanych i wrócił do siebie dość zniechęcony. „Czy to możliwe – myślał – że nikt mnie nie potrzebuje? Przecież mógłbym być użyteczny. A gdybym tak na przykład zrobił jakiś mały cud, żeby ściągnąć uwagę?”.

Jak pomyślał, tak zrobił: postanowił poruszać oczyma na swoim wizerunku w wiejskim kościółku. Przed ołtarzem świętego Gancilla nigdy nikogo nie było, ale przypadkiem przechodził obok Memo Tancia, wsiowy półgłówek; zobaczył, że oczy na obrazie mrugają, i zaczął krzyczeć, że stał się cud.

W tym samym czasie, ze skwapliwością właściwą ich pozycji społecznej, kilku świętych odwiedziło Gancilla i dobrodusznie dało mu do zrozumienia, że byłoby rozsądniej, gdyby zaprzestał swych praktyk: nie żeby było w nich coś złego, ale ów rodzaj cudów z uwagi na ich błahość nie nazbyt jest honorowany w alto loco. Mówili to bez cienia złośliwości, choć może zastanawiała ich zdumiewająca łatwość, z jaką najnowszy święty zdobywa się na cud, który im sprawiłby ogromną trudność.

Święty Gancillo naturalnie z miejsca zaprzestał swych praktyk i mieszkańcy wioski, którzy zbiegli się na krzyk półgłówka, bezskutecznie wpatrywali się w obraz nie

dostrzegając w nim nic niezwykłego. Rozeszli się więc rozczarowani i mało brakowało, a Memo Tancia dostałby od nich cięgi.

Gancillo pomyślał wtedy o zwróceniu na siebie ludzkiej uwagi cudem mniejszym, acz bardziej poetyckim. I sprawił, że na jego starym kamiennym nagrobku rozkwitła przepiękna róża; grób ten odnowiono na okoliczność beatyfikacji, lecz teraz znowu był on w stanie zupełnego opuszczenia. Los jednak chciał, by nikt tego znaku nie zrozumiał. Ksiądz opiekujący się cmentarzem zauważył różę i pospieszył oburzony do stróża.

– Przynajmniej przy grobie świętego Gancilla mógłbyś posprzątać! Wstyd! Jesteś zwykłym próżniakiem! Przechodziłem tamtędy i widziałem same chwasty, a wśród nich różę.

I stróż nie zwlekając pobiegł wyrwać różyczkę.

Gancillo, chcąc mieć pewność, uciekł się wówczas do najbardziej tradycyjnego z cudów. I pierwszemu ślepcowi, który przeszedł obok jego ołtarza, przywrócił wzrok.

Ale nawet tym razem mu się nie powiodło, bo nikomu nawet nie przyszło na myśl, że cud jest dziełem Gancilla; wszyscy przypisali go świętemu Marcolinowi sąsiadującemu z Gancillem. Taki to wywołało entuzjazm, że wierni wzięli na barki statuetkę Marcolina, ważącą dobrych parę kwintali, i ponieśli ją w procesji przez całą wieś przy akompaniamencie dzwonów. A opuszczony ołtarz świętego Gancilla popadł w jeszcze większe zapomnienie.

Wtedy Gancillo powiedział sobie: „Lepiej zrezygnować. Nikt, widać, nie chce o mnie pamiętać”. Siadł na swojej werandzie, zapatrzył się w ocean i ta kontemplacja przyniosła mu wielką ulgę.

Gdy tak podziwiał fale, usłyszał łomotanie do drzwi. Bam, bam! Poszedł otworzyć. Na progu stał Marcolino we własnej osobie; chciał się usprawiedliwić.

Marcolino był wspaniałym, potężnym mężczyzną, kipiał energią i radością życia.

– Cóż robić, mój drogi Gancillo? Ja przecież nie ponoszę winy. Wiesz, przyszedłem, bo nie chciałem, żebyś sobie pomyślał...

– Ale skądże! – zawołał Gancillo i bardzo pocieszony tą wizytą również się uśmiechnął.

– Bo wiesz – dorzucił jeszcze Marcolino – niezły ze mnie gagatek, a oblegamy mnie od rana do wieczora. Masz w sobie więcej świętości niż ja, chociaż ciebie wszyscy

zaniedbują. Pieski jest ten świat, trzeba do niego cierpliwości, braciszku – i serdecznie poklepywał Gancilla po ramieniu.

– Dlaczego nie wejdiesz do środka? Wkrótce będzie ciemno i zrobi się chłodno, rozpalimy ogień na kominku i zostaniesz na kolacji.

– Ż przyjemnością, z największą przyjemnością – odparł Marcolino.

Weszli do domku, narąbali trochę drewna i rozpalili ogień, co prawda z niemałym trudem, gdyż drewno było jeszcze wilgotne. Ale dmuchali uparcie i w końcu wystrzelił w górę piękny płomień. Gancillo zawiesił nad ogniem kociołek z wodą na zupę i czekając, aż się zagotuje, usiedli obaj na ławie grzejąc sobie kolana i spokojnie gawędząc. Z kominka zaczęła snuć się delikatna smuga dymu, a tym dymem był także Bóg.

KROPLA

Kropla wody wspina się po stopniach schodów. Czy ją słyszysz? Leżę na łóżku w ciemności i słucham tej tajemniczej drogi. Jak ona to robi? Kap, kap, rozlega się z przerwami. Potem kropla zatrzymuje się i może tej nocy nie ruszy dalej. A jednak znów wchodzi. Stopień po stopniu pnie się w górę; różni się od innych kropel, które spadają pionowo, posłuszne prawu ciężenia, i na samym końcu wydają cichutki plusk, znany na całym świecie. A ona nie: ona z wolna wędruje po klatce schodowej olbrzymiego bloku oznaczonej literą E.

Śledziliśmy ją, my, dorośli, wyrafinowani, wrażliwi. Nawet służąca z pierwszego piętra, blada, drobna, niewinna istota. Zauważyła tę kroplę późnym wieczorem, gdy wszyscy już spali. Nie mogła się powstrzymać: zerwała się z łóżka i pobiegła do swojej pani.

– Proszę pani – szepnęła – proszę pani.

– Co tam znowu? – spytała otrząsając się ze snu pani. – Co się stało?

– Kropla, proszę pani, kropla wchodzi po schodach.

– Co takiego? – zawołała zdziwioną pani.

– Kropla wchodzi po schodach – powtórzyła służąca bliska płaczu.

– Bzdury pleciesz – rozgniewała się pani – oszalałaś? Wracaj mi zaraz do łóżka! Upiłaś się, ani chybi, nie wstyd ci? Rano zawsze brakuje trochę wina w butelce. Ty flejtuchu, jeśli myślisz...

Ale dziewczyna uciekła i szybko schowała się pod kołdrą.

„Co też tej idiotce przyszło do głowy?” – medytowała pani, której odechciało się spać. I mimo woli, nasłuchując odgłosów nocy panującej nad światem, ona także usłyszała podejrzany szmer. Kropla wspinała się po schodach, rzeczywiście.

Pani, osoba skrupulatna, chciała przekonać się o tym na własne oczy. Ale co by zobaczyła w słabym świetle przyćmionych lamp na klatce schodowej? Jakże tu wytropić kroplę wody w środku nocy na ciemnych i zimnych schodach?

W ciągu paru następnych dni wieść o tej kropli rozeszła się wśród lokatorów i wszyscy już o niej wiedzą, choć wolą milczeć, jak o wstydlivej sprawie. Wielu mie-

szkańców naszego bloku nasłuchuje teraz, gdy ciemna noc pogrąża w przygnębieniu rodzaj ludzki. I różne myśli przychodzą im wówczas do głowy.

W niektóre noce kropla milczy. Kiedy indziej przez długie godziny posuwa się ku górze, ku górze, i można by sądzić, że nigdy się nie zatrzyma. Gdy łagodny szmer zdaje się dosięgać naszego progu, serca zaczynają nam bić mocniej. Nie przystanęła, chwała ci, Panie, oddała się, kap, kap, kieruje się na wyższe piętra.

Jestem przekonany, że lokatorzy z półpiętra czują się już bezpieczni. Zdobyli pewność, że minęła ich drzwi i nie będzie im więcej dokuczać. Inni, na przykład ja, który mieszkam na szóstym, mogą się jeszcze niepokoić, a ci z półpiętra już nie. Kto im jednak zaręczy, że podczas kolejnych nocy kropla podejmie drogę w miejscu, do którego ostatnio dotarła, czy raczej nie rozpocznie wędrówki od pierwszych stopni, zawsze wilgotnych, ciemnych i zaśmieconych?

Rankiem, wychodząc z domu, uważnie oglądamy schody, czy nie pozostał tam po niej jakiś ślad. Nic, najmniejszego śladu, co było przecież do przewidzenia. Kto zresztą bierze rankiem całą tę historię na serio? W porannym słońcu człowiek staje się mocny, jest lwem, choćby nawet i kilka godzin temu dygotał ze strachu.

A może ci z półpiętra mają rację? Bo i my, którzy do tej pory trzymaliśmy się na uboczu, i nic nie słyszeliśmy, od kilku nocy coś tam słyszemy. Kropla jest jeszcze daleko, to prawda. Przez mury dobiega do nas tylko leciutki szelest, płaczące echo. Ale jest to znak, że ona wciąż się wznosi i znajduje się coraz bliżej.

Nie pomaga nawet sypianie w którymś ze środkowych pokoi, nie przylegających do klatki schodowej. Lepiej już słyszeć ten szmer, niż pozostawać w niepewności, czy aby kropla nie jest gdzieś w pobliżu. Trudno się wtedy opanować i człowiek chyłkiem, w milczeniu wślizguje się do przedpokoju, staje tam w chłodzie przed drzwiami, wstrzymuje oddech i słucha. A gdy ją słyszy, nie ma odwagi uciec, jest niewolnikiem swojego strachu. Jeszcze gorzej, gdy nic nie słyszy, bo w takim wypadku nie może wykluczyć, że po powrocie do łóżka nie usłyszy jej znowu.

No cóż, dziwne to życie. I nie pomogą tu żadne reklamacje, żadne środki zaradcze, żadne wyjaśnienia, które poprawiłyby nastrój. Nie sposób też przekonać mieszkańców innych domów, którzy nie są tego świadkami. Czymże jest ta ważna kropla – pytają z irytującą naiwnością – może to mysz? Żaba, która wymknęła się z piwnicy? Nie, doprawdy!

A może to jakaś alegoria? – nacierają. Zapowiadająca, no, powiedzmy: śmierć lub niebezpieczeństwo? Może to znak przemijania czasu? Nie, nic takiego, proszę państwa, to po prostu kropla wody, która wspina się po schodach.

A może – subtelniej rzecz ujmując – symbolizuje ona iluzje, marzenia? O dalekich krainach wiecznej szczęśliwości? Słowem: coś poetyckiego? Nie, to nie to, zdecydowanie.

A może chodzi o jakieś bardzo odległe miejsce na końcu świata, do którego nigdy nie dotrzemy? Ależ nie, powtarzam, to nie żart ani złudzenie zmysłów, to po prostu – i według wszelkiego prawdopodobieństwa – kropla wody, która nocą wspina się po schodach. Kap, kap, tajemniczo, stopień po stopniu. I dlatego wszyscy się boją.

PRZYJACIELE

Lutnista Amedeo Torti pił kawę w towarzystwie żony. Dzieci już spały. Małżonkowie milczeli, co zdarzało im się nader często.

– Mam ci to powiedzieć...? Dręczy mnie od rana niesamowite uczucie. Że dziś wieczorem przyjdzie tu Appacher.

– Nawet żartem tego nie mów! – odparł Torti z gestem zniechęcenia. Jego serdeczny przyjaciel, skrzypek Toni Appacher, zmarł dwadzieścia dni temu.

– Wiem, wiem, to straszne – powiedziała żona – ale nie mogę się uwolnić od tej myśli.

– Niechby nawet... – mruknął Torti powodowany niejasnym uczuciem skruchy, nie dodał jednak nic więcej i tylko potrząsnął głową.

Milczeli. Za kwadrans dziesiąta rozległ się dzwonek u drzwi. Ktoś dzwonił długo, uparcie. Zerwali się z miejsca. Oboje.

– Kto to może być o tej porze? – spytała żona. Z przedpokoju dobiegło ich człapanie Ines, łoskot otwieranych drzwi, potem cicha rozmowa. Służąca pojawiła się w jadalni, bardzo błada.

– Kto to? – zagadnęła ją pani.

Ines zwróciła się do Tortiego, bełkocąc:

– Proszę pana, niech no pan pozwoli na chwilę... tam... Och, żeby pan wiedział!

– Ale kto to jest? Kto to jest? – pytała rozgniewana pani, choć dobrze wiedziała, o kogo chodzi.

Ines nachyliła się, jakby zamierzała wyznać wielki sekret. I wyrecytowała jednym tchem:

– Tam jest, tam jest... Proszę pana, niech pan pozwoli... Wrócił maestro Appacher.

– Co za historia! – zawołał Torti zirytowany całą tą tajemniczością. – Zostań – rzekł do żony. – Ja pójdę...

Wyszedł na korytarz, w ciemności potracił jakiś sprzęt, z impetem rozwarł drzwi do przedpokoju.

A za drzwiami, z miną nieco onieśmiałą, stał Appacher. Właściwie nie Appacher,

ale mimo wszystko Appacher, tyle że mniej treściwy, by tak rzec, bo kontur jego sylwetki był mało wyrazisty. Duch? Może jeszcze nie duch. Może jeszcze nie całkiem uwolniony od tego, co nazywamy materią. Widmo, ale z resztkami spoistości. W swoim zwykłym szarym ubraniu, w koszuli w błękitne paski, w krawacie czerwono-niebieskim, w pilśniowym kapeluszu, który gniótł nerwowo w rękę. (Czyli: widmo w garniturze, widmo w krawacie itp.).

Torti nie był człowiekiem lęklwym. Wprost przeciwnie. A jednak dech mu zaparło. To nie żarty zobaczyć we własnym domu najdroższego i najstarszego z przyjaciół, którego dwadzieścia dni temu odprowadziło się na cmentarz.

– Amedeo – odezwał się biedny Appacher, z uśmiechem, jakby starał się wy badać teren.

– Ty tutaj? Tutaj? – wrzasnął Torti, którego wśród sprzecznych, wzburzonych uczuć ogarnął nie wiadomo dlaczego potężny gniew. Czyż widok utraconego przyjaciela nie powinien mu przynieść wielkiej pociechy? Czyż nie oddałby z ochotą swoich milionów, byle mogło dojść do takiego spotkania? Tak, na pewno zrobiłby to bez namysłu. Gotów do każdej ofiary. Czemu więc nie doznał radości? Skąd w nim ta głucha irytacja? Po tylu udrękach, łzach i cierpieniach, zgodnych z tak zwanym konwenansem, należy więc teraz zaczynać wszystko od nowa? Od dnia pogrzebu Appachera uczucia przyjaźni Tortiego rozproszyły się i w końcu nic z nich nie pozostało.

– No tak, jestem tutaj – odparł Appacher, tarmosząc z większą niż zwykle energią swój kapelusz. – Ale ja... wiesz, my nie musimy prawić sobie grzeczności... może przeszkadzam?...

– Przeszkadzasz? I ty to nazywasz przeszkadzaniem? – pochwycił Torti dając się porwać złości. – Wracasz... nawet nie chcę wiedzieć, skąd... i w takich okolicznościach... I pytasz, czy przeszkadzasz! Odważny jesteś! – Po czym dorzucił sam do siebie, zrozpaczony: – Co teraz zrobię?

– Słuchaj, Amedeo – rzekł Appacher – nie gorączkuj się... Ostatecznie, to nie moja wina... Tam także – wykonał nieokreślony gest – panuje pewne zamieszanie... Krótka mówiąc powinienem zostać tu około miesiąca... Miesiąc... najwyżej. A wiesz, że na moje mieszkanie liczyć nie mogę, wprowadzili się już nowi lokatorzy...

– Więc chcesz powiedzieć, że zamierzasz się u mnie przespać?

– Przespać? Już nie śpiam... Nie chodzi o sen... Wystarczyłby mi kącik... Nie

sprawię kłopotu, nie jem, nie piję i nie... W ogóle obywam się bez toalety... Wiesz? Po prostu nie chcę szwendać się po nocy, nie daj Boże po deszczu.

– Ale chyba deszcz... ciebie nie splucze.

– Nie splucze, oczywiście – i Appacher uśmiechnął się łagodnie – ale deszcz jest nieprzyjemny.

– I spędzałbyś tu całą noc?

– Gdybyś mi pozwolił...

– Gdybym pozwolił... Nie rozumiem... Że też człowiek inteligentny, stary przyjaciel, ktoś, kto ma za sobą całe życie... nie potrafi sobie uświadomić...? Ty chyba nie wiesz, co znaczy rodzina!

Appacher, zmieszany, wycofywał się już w stronę drzwi.

– Wybacz, no cóż, wydawało mi się... To tylko kwestia miesiąca...

– Ależ to ty nie chcesz mnie zrozumieć – rzekł Torti niemal z obrazą. – Nie o mnie chodzi... Chodzi o dzieci! O dzieci!... Wydaje ci się, że możesz jak gdyby nigdy nic ukazać się tym dwojgu niewiniątek, które nie mają jeszcze po dziesięć lat? Powinieneś zdawać sobie sprawę ze stanu, w jakim się znajdujesz. Przepraszam za brutalność, ale ty... ty jesteś widmem... a tutaj, gdzie są moje dzieci, nie mogę tolerować obecności widma, mój drogi...

– A więc nie?

– A więc, mój drogi, po prostu nie wiem, co odpowiedzieć... – i zanim Torti dokończył zdania, Appachera już nie było, zniknął. Słyszał tylko, jak zbiega po schodach: bardzo szybko.

O pół do pierwszej w nocy dyrektor Konserwatorium, maestro Mario Tamburlani, wracał z koncertu. Dotarł do drzwi swego apartamentu – a mieszkał w gmachu Konserwatorium – i już obracał klucz w zamku, gdy usłyszał za plecami czyjś szept: „Maestro, maestro!” Odwrócił się gwałtownie i zobaczył Appachera.

Tamburlanii służył z dyplomacji, z savoir-faire, z rozsądku i umiejętności lawirowania: te zalety lub wady wyniosły go znacznie wyżej, niż na to zasługiwał. W okamgnieniu ocenił sytuację.

– O, mój kochany – szepnął serdecznie, tonem pełnym patosu i wyciągnął dłonie do skrzypka, choć zatrzymał się o dobry metr od niego. – O, mój kochany... gdybyś wiedział,

co za pustkę...

– Co? Co? – spytał Appacher, widma bowiem mają słuch przytępiony. – Proszę o wyrozumiałość, nie czuję się teraz tak, jak przedtem...

– Och, pojmuję, kochany... ale przecież nie mogę krzyknąć. Ada śpi, a poza tym...

– Przepraszam, czy pozwoli mi pan wejść na chwilę? Od kilku godzin jestem wciąż na nogach...

– Nie, nie, Boże uchroni, jeszcze nas Blitz usłyszy.

– Jak? Co pan mówi?

– Blitz, mój wilczur, chyba go znasz... Narobiłby piekielnego hałasu... obudziłby dozorcę... i kto wie...

– A zatem... może mógłby pan na parę dni...

– ... udzielić ci gościny? Oczywiście, kochany, oczywiście... dobre sobie: takiemu przyjacielowi jak ty... Ale wybacz, co zrobimy z psem?

Usłyszawszy to zastrzeżenie Appacher znieruchomiał. Spróbował jeszcze przemówić do serca Tamburlanemu:

– Przecież pan szlochał, mistrzu, szlochał pan miesiąc temu na cmentarzu wygłaszając swoje przemówienie, zanim mnie pogrzebano... pamięta pan? Słyszałem pański płacz, pan pamięta?

– Och, drogi, kochany chłopcze, nie przypominaj mi tego... jestem taki zmartwiony, że... – położył sobie rękę na piersi – Boże, zdaje mi się, że Blitz...

Zza drzwi istotnie dochodził głuchy, ostrzegawczy pomruk.

– Poczekaj, mój kochany, wejdę na moment, żeby uspokoić tę nieznośną bestię... Kochany, tylko na moment.

Zwinnie jak piskorz wśliznął się do środka, zatrzasnął za sobą drzwi i dobrze je zaryglował. Nastąpiła cisza.

Appacher odczekał kilka minut, w końcu zawołał półgłosem: „Tamburlani! Tamburlani!” Z tamtej strony nie było żadnej odpowiedzi. Wtedy zapukał dyskretnie. Ale cisza panowała absolutna.

Appacher zdecydował się spędzić resztę nocy u Gianny, dziewczyny lekkich obyczajów, ze złotym sercem, którą kiedyś często odwiedzał. Gianna miała dwa pokoiki w starej kamienicy na peryferiach. Gdy tam przybył, minęła trzecia. Na szczęście, jak to się często zdarza w takich domach, drzwi wejściowe były tylko przymknięte. Appacher wlaź

z wysiłkiem na piąte piętro. Był zmęczony ciągłym wędrowaniem.

W korytarzu ledwie udało mu się odnaleźć drzwi, tak było ciemno. Wreszcie zapukał lekko. Długo czekał, zanim usłyszał jakieś oznaki życia, potem rozespany głos Gianny: „Kto tam? Tak późno?”

– Jesteś sama? Otwórz... to ja. Toni.

– Tak późno? – powtórzyła, ale ze zwykłą łagodnością i pokorą – zaczekaj no, już idę...

Ociągające się szuranie bamboszy, trzask przekreścanego kontaktu, zgrzyt klucza w zamku. „Dlaczego przychodzisz o tej porze?” – i Gianna, pozostawiając gościowi trud ponownego zamknięcia drzwi, pobiegła do łóżka; i tu nagle uderzył ją dziwny wygląd Appachera. Przypatrzyła mu się i aż zdrętwiała: z głębi senności wynurzyło się straszliwe wspomnienie. „Ale ty... ale ty... ale ty...” – chciała powiedzieć: „Ale ty umarłeś, teraz pamiętam”. Nie miała jednak dość odwagi. Cofnęła się z wyciągniętymi ramionami, gotowa go odepchnąć, gdyby się zbliżył. „Ale ty... ale ty...” Potem wydała z siebie coś w rodzaju ryku. „Precz, precz! W imię Ojca i Syna...!” – krzyczała wybałuszywszy oczy ze strachu.

– Proszę cię, Gianna... – rzekł Appacher. – Chciałem tylko trochę odpocząć...

– Nie, nie, precz! Jak możesz myśleć... chcesz, żebym postradała zmysły? Precz, precz! Obudzisz cały dom!

Ponieważ Appacher nie ruszał się z miejsca, dziewczyna, nie spuszczać z niego oczu, zaczęła po omacku szukać czegoś na komódce. Wymacała nożyczki.

– Już idę, idę – powiedział skonsternowany, ale Gianna z rozpaczliwą odwagą wbiła w jego pierś tę śmieszoną broń: oba ostrza, nie napotkawszy oporu, zanurzyły się łagodnie w zjawie.

– Och, Toni, przebacz, nie chciałam! – zawołała przestraszona, a on na to:

– Nie, nie, ach, nie łaskocz mnie, proszę, nie łaskocz – i wybuchnął śmiechem histerycznym jak szaleniec.

Ktoś z hałasem otworzył okno. Z podwórza dobiegł ich rozwścieczony głos:

– Co się tam dzieje, u licha? Dopiero czwarta!... Skandal!

Appacher umykał stamtąd z szybkością wiatru.

U kogo by jeszcze popróbować? U wikarego z San Calisto? U sympatycznego don

Raimonda? To kolega z gimnazjum, od którego przyjął ostatnią pociechę religijną na łożu śmierci.

– Apage, apage, zjawo diabelska! – zakrzyknął czcigodny kapłan na widok skrzypka.

– Przecież to ja, Appacher, nie poznajesz mnie, don Raimondo? Pozwól mi schronić się u ciebie. Zaraz będzie świtać. Nawet psa z kulawą nogą nie obchodzę. Przyjaciele się mnie wyparli. Ale ty bodaj...

– Nie wiem, kim jesteś – orzekł ksiądz tonem melancholijnym i uroczystym. – Możeś demonem, może złudzeniem moich zmysłów, nie wiem. Ale jeżeli naprawdę jesteś Appacherem, to wejdź, proszę, oto moje łóżko, kładź się i odpoczywaj...

– Dziękuję, dziękuję, don Raimondo, wiedziałem...

– To nic – ciągnął łagodnie ksiądz – to nic, że sam biskup ma już co do mnie podejrzenia... Jeżeli twoja obecność tutaj przysporzy mi poważnych kłopotów, to nie miej żadnych skrupułów, zaklinam cię... Krótko mówiąc: nie przejmuj się mną. Jeśli zostałeś tu przysłany na moją zgubę, to niechaj się wypełni wola Boga... Ale co ty, co ty? Odchodzisz?

Oto dlaczego dusze zmarłych – jeśli w ogóle któraś z tych nieszczęsnych dusz z uporem trzyma się Ziemi – nie chcą przebywać razem z nami, lecz kryją się w opuszczonych domostwach, w legendarnych ruinach, w wieżach i w leśnych zapomnianych kapliczkach i wśród samotnych skał, o które rozbija się fala morska, wciąż je powoli krusząc.

LAWINA

Obudził go telefon. Dzwonił redaktor naczelny. „Niech pan zaraz bierze wóz i jedzie... W dolinie Ortica spadła wielka lawina... Tak, w dolinie Ortica, blisko wsi Goro... zasypało wioskę, na pewno są ofiary... Zresztą zobaczy pan sam – dodał. – Proszę nie tracić czasu. Do usłyszenia”.

Po raz pierwszy otrzymał tak poważne zadanie i był przejęty własną odpowiedzialnością. Uspokoił się nieco, gdy obliczył czas, jakim dysponował. Tych dwadzieścia, mniej więcej, kilometrów pokona w dwie godziny. Zostanie mu całe popołudnie na wywiady i odwalenie kawałka tekstu. Wygodna praca, pomyślał, bez trudu pokaże, co potrafi.

Wyruszył w chłodzie lutowego poranka. Ulice były prawie puste, mógł jechać szybko. Zarysy wzgórz dostrzegł wcześniej, niż się spodziewał, potem przez woal mgły ukazał się śnieg na ich szczytach.

Myślał wciąż o lawinie. Ta katastrofa pociągnęła chyba za sobą setki ofiar: starczy tego na wypełnienie paru szpał w ciągu kilku dni; nic sobie nie robił z cierpienia ludzi, chociaż nie był złym człowiekiem. Z niechęcią myślał o konkurentach, dziennikarzach z innych gazet. Podejrzewał, że już są na miejscu i zbierają cenne informacje, szybsi i przebieglejsi od niego. Pełen obawy zaczął obserwować samochody zmierzające w tym samym kierunku. Niewątpliwie wszystkie jechały do Goro, z powodu lawiny. Dodawał gazu, żeby zobaczyć, kto siedzi w wyprzedzanym wozie: za każdym razem był przekonany, że to któryś z kolegów, i za każdym razem widział nieznane twarze, przeważnie rolników, dzierżawców, handlarzy, nawet księdza. Wyglądali na znudzonych i sennych, jak gdyby nic dla nich nie znaczyła potworna klęska.

Po pewnym czasie zjechał z asfaltowej szosy i skręcił w lewo na drogę wiodącą ku dolinie Ortica, drogą wąską, pokrytą pyłem. Choć był już późny poranek, nie dawało się tu zauważyć nic niezwykłego: ani wojska, ani ambulansów, ani samochodów spieszących z pomocą, jak to sobie wyobrażał. Wszystko wokół pogrążone w zimowym letargu, tylko nad kominami chat unosiły się smugi dymu.

Kamienie przydrożne zapowiadały: do Goro - 20 km, 19 km, 18 km... i ani śladu

jakiegoś ruchu, alarmu.. Giovanni obrzucał spojrzeniem strome zbocza gór, daremnie szukając pęknięcia, białej blizny po przebytej lawinie.

Okolo południa dotarł do Goro. Była to jedna z tych dziwnych wsi, które zdają się trwać od stuleci w odległych, zapomnianych dolinach; obszary to dzikie i niegościnnie, otoczone jałowymi górami, bez zieleni latem, bez śniegu zimą, zamieszkiwane przez parę zdesperowanych rodzin.

Ryneczek był teraz pusty. „Ciekawe – rzekł do siebie Giovanni – czy to możliwe, żeby po takiej katastrofie wszyscy puciekali bądź zamknęli się w domach? Chyba że lawina spadła na sąsiednią wioskę i wszyscy się tam zbiegli”. Białe słońce oświetlało fasadę oberży. Giovanni, wysiadłszy z samochodu, pchnął oszklone drzwi i usłyszał wesołą wrzawę, z jaką biesiadnicy siadają zwykle do stołu.

Oberżysta wraz z liczną rodziną zasiadał istotnie do śniadania. O tej porze roku nie mogło tu być, oczywiście, żadnych gości. Giovanni zapytał, czy może wejść, i przedstawił się jako dziennikarz zbierający wiadomości na temat lawiny.

– Lawiny? – powtórzył oberżysta, człek prostoduszny i serdeczny. – Tutaj nie mamy lawin... Ale może pan coś przekąsi, proszę usiąść, proszę usiąść. Niechże pan spocznie tutaj, jeśli łaska. Tamtej izby nie ogrzewamy.

Nalegał, by Giovanni posilił się wraz z nimi, a tymczasem dwie kilkunastoletnie dziewczynki, które nie zwracając uwagi na obcego opowiadały głośno jakieś rodzinne dykteryjki, wywoływały gromkie wybuchy śmiechu wśród obecnych. Gospodarz nie przestawał nalegać, by Giovanni usiadł, zapewniał go, że o tej porze roku niełatwo w tej dolinie o gotowe śniadanie, Giovanni jednak czuł się coraz bardziej nieswojo: chętnie by coś zjadł, rzecz zrozumiała, ale najpierw chciał zobaczyć lawinę; dlaczego w Goro nikt o niej nie wie? Redaktor naczelny dał mu przecież jasne wskazówki.

Gdy tak usiłował dogadać się z oberżystą, wzbudził ciekawość siedzących przy stole chłopców.

– Lawina? – wtrącił się nagle jeden z nich, chyba dwunastolatek. – Ależ tak, ależ tak, jest wyżej, w Sant' Elmo! – wykrzyknął zadowolony, że ma lepsze informacje niż ojciec. – To się przydarzyło w Sant' Elmo, wczoraj mówił o tym Longo.

– Co może wiedzieć Longo? – rzekł z powątpiewaniem oberżysta. – A ty siedź cicho! Co może wiedzieć Longo? Owszem, spadła u nas lawina, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, ale dużo niżej od Goro. Może pan ją widział, dziesięć kilometrów stąd, tam

gdzie droga...

– Ależ nie, tato – upierał się chłopiec. – Przydarzyło się to w Sant’ Elmo.

Sprzeczaliby się dłużej, gdyby Giovanni im nie przerwał:

– Dobrze, pojedę rozejrzeć się w Sant’ Elmo.

Oberżysta z synami odprowadził go na rynek; interesowali się oczywiście samochodem, ostatnim modelem, nie znanym jeszcze w tej okolicy.

Zaledwie cztery kilometry dzieliły Goro od Sant’ Elmo, lecz droga wydawała się Giovanniemu niezmiernie długa. Biegła serpentynami i była tak stroma, że często trzeba było rozpędzać się po kilka razy. Dolina stawała się coraz bardziej ciemna i dzika. Tylko dalekie bicie dzwonu dodawało Giovanniemu otuchy.

Sant’ Elmo okazało się jeszcze mniejsze od Goro, opuszczone i ubogie. Była dopiero za kwadrans pierwsza, a można by sądzić, że nastaje wieczór; może z powodu głębokich cieni rzucanych przez sąsiednie góry, może z powodu pustki.

Giovanni był niespokojny. Więc gdzie spadła ta lawina? Czy jest rzeczą prawdopodobną, by naczelny, przynaglając go do pośpiechu, nie był całkiem pewny tej informacji? Czyżby pomylił nazwy miejscowości? Czas mijał szybko i Giovanni obawiał się, że zostanie posądzony o zaniechanie obowiązków wobec gazety.

Zamknął samochód i zwrócił się do chłopaka, który wydawał mu się bardziej bystry niż inni.

– Lawina? To tam, wysoko – odparł chłopiec i podniósł rękę do góry. – Można dojść w dwadzieścia minut.

Potem, wskazując na auto Giovanniego, ostrzegł:

– Samochodem się nie dojedzie, trzeba iść piechotą, jest tylko ścieżka.

I zgodził się być przewodnikiem.

Opuściwszy wioskę wspinali się na zbocze błotnistą ścieżką. Giovanni włókł się z tyłu, ledwie nadązał, z wysiłkiem łapał oddech, nie mógł zadawać pytań. Ale właściwie po co pytać? Zaraz zobaczy lawinę, spełni swą dziennikarską powinność i nie ubiegnie go żaden kolega. (Zastanawiające jednak, że nigdzie nikogo nie widać; należy zatem wnioskować, że obyło się bez ofiar i nie wzywano pomocy, lawina uszkodziła najwyżej jakiś nie zamieszkały dom).

– To tu – rzekł w końcu chłopiec, kiedy znaleźli się w pobliżu czegoś, co wyglądało na rodzaj skalnej zapory. I wyciągnął rękę: na przeciwległym stoku można było istotnie

dostrzec gigantyczne zwały obsuniętej czerwonej ziemi. Od miejsca, z którego zaczęła się obsuwać, do dna doliny, gdzie opadły największe głazy, nie było więcej niż trzysta metrów. Niezrozumiały jednak stawał się fakt, jak mogła się tam znajdować wioska lub bodaj kilka chałup. Wątpliwości te pogłębiała jeszcze roślinność porastająca tu i ówdzie to usypisko.

– Widzi pan most? – spytał chłopak wskazując na resztki zniszczonej konstrukcji na krańcu doliny wśród gmatwaniny czerwonych głazów.

– I nikogo tu nie ma? – dziwił się Giovanni; dokoła nie było żywej duszy, widział tylko łyse pagóry, skały pokryte kwiatami, wilgotne łóżyska potoków, niskie kamienne murki odgradzające uprawne poletka – wszystko to w beznadziejnym rdzawym kolorze pod niebem, które z wolna zasnuwało się chmurami.

Chłopiec spojrział na Giovanniego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Ale kiedy to się przytrafiło? – nalegał Giovanni. – Kilka dni temu?

– Kto wie kiedy! – odparł chłopiec. – Niektórzy mówią, że trzysta lat temu, inni, że czterysta. A to-to jeszcze ciągle opada na dół kawałek po kawałku.

– Pętaku! – ryknął Giovanni nie panując nad sobą. – Nie mogłeś przedtem tego powiedzieć?

Dał się tu zaprowadzić, żeby obejrzyć trzystuletnią lawinę, ciekawostkę geologiczną z Sant' Elmo, może nawet wspomnianą w przewodnikach turystycznych! A te resztki murów na krańcu doliny to zapewne ruiny rzymskiego akweduktu. Co za idiotyczne nieporozumienie! A już zbliża się wieczór. Gdzie więc jest ta lawina?

Schodził pospiesznie ścieżką, a za nim przewodnik bliski płaczu na myśl, że straci napiwek. Malec bezskutecznie usiłował zrozumieć, dlaczego rozgniewał Giovanniego, i biegł teraz za nim spodziewając się, że go udobrucha.

– Ten pan szuka lawiny – mówił do każdego, kogo spotkał po drodze. – Ja naprawdę nic o niej nie wiem, myślałem, że chce zobaczyć lawinę niedaleko starego mostu, ale on nie tej szuka. Może wiecie, gdzie spadła lawina? – zwracał się do mężczyzn i kobiet.

– Poczekaj, poczekaj – odpowiedziała mu wreszcie jakaś starsza niewiasta krzątająca się obok swej chaty. – Poczekaj, zawołam mojego chłopca.

Poprzedzony głośnym stukotem chodaków ukazał się na progu mężczyzna pod pięćdziesiątkę, ale już zgrzybiały, ze smutną twarzą.

– Aha, przyszli oglądać! – wykrzyknął na widok Giovanniego. – Nie dość, że wszystko się rozpada, to jeszcze panowie przychodzą, żeby sobie obejrzeć przedstawienie!

Oburzał się na dziennikarza, ale było rzeczą oczywistą, że nie jego osobiście, lecz w ogóle wszystkich bliźnich ma na myśli. Chwycił Giovanniego za ramię i pociągnął za sobą na ścieżkę, podobną do poprzedniej, wijącą się między kamiennymi murkami. Wtedy to właśnie, unosząc lewą rękę, by zapiąć płaszcz (robiło się coraz chłodniej), Giovanni rzucił machinalnie okiem na zegarek. Było już piętnaście po piątej, wkrótce zapadnie noc, a on nic nie wie o lawinie, nie wie nawet, gdzie spadła. Niechby przynajmniej ten wieśniak zaprowadził go na miejsce wypadku!

– No, jest pan zadowolony? To ona, proszę się jej przyjrzeć, tej przeklętej lawinie! – zawołał w pewnej chwili chłop zatrzymując się nagle; z nienawiścią i wzdargą wskazywał podbródkiem na owo poszukiwane przez dziennikarza zjawisko. Giovanni znalazł się na skraju poletka o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych; ten spłacheć ziemi nie zasługiwałby na uwagę, gdyby nie rozciągał się u podnóża stromej góry; było to bowiem poletko utworzone sztucznie, zdobywane piędź po piędzi pracą rąk ludzkich, chronione kamiennym murkiem, ale co najmniej trzecia część uprawy przywalona była gruzem i kamieniami. Może deszcze lub wilgotna pora roku, może jeszcze coś innego spowodowało obsunięcie się tej niewielkiej lawiny.

– Niech ją pan obejrzy, jest pan teraz zadowolony? – szydził wieśniak, rozwścieczony, ale nie na dziennikarza, którego intencji nie znał, tylko na ową lawinę, która zmusza go do podjęcia nowego wysiłku w ciągu długich miesięcy. Giovanni w osłupieniu przyglądał się lawinie, okaleczonej górze, tej nedorzecznej banalnej katastrofie. „To jeszcze nie ta – rzekł do siebie zniechęcony – zaszła tu jakaś pomyłka”. A godziny wciąż mijały i przed nocą trzeba będzie zatelefonować do redakcji.

Rozstał się bez słowa z wieśniakiem, wrócił na rynek, gdzie zaparkował samochód, i z irytacją krzyknął do trzech rolników, którzy obmacywali opony: „Gdzie jest ta lawina?” – jakby to oni byli za nią odpowiedzialni. Góry rozplływały się w ciemności.

Wtedy jakiś wysoki, nieźle ubrany człowiek, palący papierosa na stopniach kościoła, podniósł się i zbliżył do Giovanniego.

– Kto panu o tym powiedział? – zagadnął go bez ceremonii. – Od kogo ma pan tę wiadomość? Kto i co mówi o lawinach?

Pytał tonem dwuznacznym, z nieomal wyczuwalną pogroźką i jakby nie życzył

sobie dalszej rozmowy na ten temat. Przez głowę Giovanniego przebiegła nagle pocieszająca myśl: no, właśnie, musi być coś podejrzanego, coś zbrodniczego w całej tej historii z lawiną. Oto dlaczego wszyscy się zmówili, żeby utrudniać poszukiwania, oto dlaczego nie powiadomiono władz i nikt nie przybył na ratunek. Och, gdyby tak zamiast sporządzania zwykłej notatki o kataklizmie, opatrzonej nieuniknionymi komunałami, dane mu było odkryć romantyczny spisek, rzecz tym bardziej niezwykłą, że dziejącą się w krainie odciętej od świata.

– Lawina! – pogardliwie dorzucił tamten, zanim Giovanni zdążył mu odpowiedzieć.
– Nigdy nie słyszałem podobnej bredni! I pan w to wierzy! – po czym odwrócił się i ruszył wolno przed siebie.

Giovanni, choć był tym wzburzony, nie odważył się go zatrzymać.

– Co on chciał powiedzieć? – zapytał jednego z trzech wieśniaków, który wyglądał na bardziej rozgarniętego.

– Ech – roześmiał się młody człowiek – Stara historia. Ale ja jej nie powtórzę. Nie chcę mieć kłopotów. Nie wiem o niczym.

– Boisz się faceta? – powiedział z wymówką w głosie jego towarzysz. – Krętać z niego, a ty go kryjesz? Lawina? Oczywiście, jest lawina.

I Giovanniemu, który pragnął wreszcie dowiedzieć się, o co chodzi, wytłumaczył całą sprawę: ów człowiek ma dwa domy do sprzedania tuż za Sant' Elmo, ale ziemia tam słabo się trzyma, prędzej czy później ściany zawałą się, już na nich widać pęknięcia, a doprowadzenie wszystkiego do porządku pochłonie mnóstwo pracy i pieniędzy. Niewielka grupa osób była tego świadoma, ale rozeszła się o tym pogłoska i nikt już nie chce domów kupować. Oto dlaczego ten człowiek protestował.

Więc to już cała tajemnica? Melancholijny wieczór w górach, wśród ludzi głupich i skrytych. Ściemniało się, wiał chłodny wiatr. Chłopi, niepewne cienie, znikali jeden po drugim; poskrzypując zamykały się drzwi chat, trzej młodzi wieśniacy zmęczeni oglądaniem samochodu i także znikli.

„Nie ma sensu dalej rozpytywać – pomyślał Giovanni. – Każdy by mi udzielił innej odpowiedzi i, jak to było dotychczas, każdy by mnie zaprowadził w inne miejsce; żadnej z tego korzyści dla gazety”. (Każdy w istocie ma swoją własną lawinę; temu zmarnował się kompost na polu, tamtemu zasypało gnojówkę, jeszcze inny w pocie czoła oczyszcza ziemię z kamieni, każdy ma swoją własną nędzną lawinę, lecz nie są one ważne dla

Giovanniego, nie jest to wielka lawina, o której mógłby się rozpisać na trzech kolumnach gazety, co może przyniosłoby mu rozgłos).

W wielkiej ciszy słycać było tylko daleki dźwięk dzwonu. Potem i on zamilkł. Giovanni wsiadł do samochodu, włączył silnik i światła, zniechęcony szykował się do powrotu.

Jakie to smutne, myślał, i kto wie, skąd się to bierze. Wiadomość o błahym fakcie, na przykład o tej drobnej lawinie na pólku rozgniewanego wieśniaka, w dziwny, niewytłumaczalny sposób dociera aż do miasta, a po drodze, coraz bardziej zniekształcana, staje się w końcu wielką tragedią. Podobne historie nie są rzadkie, w ostatecznym rozrachunku dotyczą zwykłego życia. A teraz Giovanni ma za to płacić. Nie ponosi żadnej winy, to prawda, wraca jednak z pustymi rękoma i będzie musiał świecić oczyma.

„Chyba że...” – ale uśmiechnął się, zdając sobie sprawę z absurdalności takiego pomysłu.

Samochód minął domy Sant' Elmo, droga stromymi serpentynami zagłębiała się w czarne wklęsłości doliny; ani żywego ducha. Koła z lekkim szelestem toczyły się po szutrze, przednie reflektory badały okolicę, oświetlając raz po raz przeciwległe stoki, niskie chmury, posępne skały, martwe drzewa. Była to powolna jazda w dół, opóźniana jak gdyby ostatnią nadzieją.

Aż wreszcie silnik umilkł lub tak się Giovanniemu wydawało, bo za plecami usłyszał – może to halucynacja, a może nie – usłyszał potężny, narastający huk, od którego zatrzęsała się ziemia, i Giovanniego ogarnęło niezwykle, podobne do radości podniecenie.

TAJEMNICA PISARZA

Pokonany, ale szczęśliwy.

Mimo wszystko jednak nie osiągnąłem samego dna, pozostał mi jeszcze niewielki krok do zrobienia i żywię nadzieję, że przyniesie mi on pełną satysfakcję. Jestem zresztą w wieku tak podeszłym, że prawdopodobnie mało już zdążę ocalić.

Od wielu lat cieszę się sławą – która nieprzerwanie się umacnia – sławą pisarza skończonego, w stanie całkowitego i nieodwracalnego upadku. O każdym utworze, który ogłaszałem drukiem, mówiono lub przynajmniej myślano, że jest kolejnym szczeblem prowadzącym w dół. Tak więc stopniowo schodziłem coraz niżej i niżej aż do chwili obecnej.

Ale to wszystko jest moim własnym dziełem. Dążyłem do tych katastroficznych rezultatów z wielką cierpliwością i uporem od ponad trzydziestu lat według planu przezornie z góry powziętego.

– A zatem – mógłby ktoś zapytać – pragnąłeś klęski?

Oczywiście, panie i panowie. Swego czasu zdobyłem jako pisarz wspaniałą sukces, ogromny rozgłos, słowem: powiodło mi się. Mogłem co prawda zajść dużo wyżej; wystarczyło tylko, bym zechciał, a bez trudu znalazłbym się na samym szczycie.

Ale ja – nie. Ja nie chciałem.

Co więcej, z wyżyn, na które się wzniosłem – z wysokości, rzec by można, Monte Rosa, jeśli wręcz nie Himalajów – wolałem zstępować powoli, wciąż jednak w dół, drogą przebywaną niegdyś w górę wielkimi skokami, i przeżywać każdy etap żałosnego upadku; żałosnego wszakże tylko pozornie, przyjaciele moi, skoro czerpałem z niego tyle otuchy. A dziś wieczorem na tych stronicach – które wyjmiecie z zapieczętowanej koperty po mojej śmierci – wytłumaczę nareszcie, dlaczego to zrobiłem, i wyjawię wam długoletnią tajemnicę.

Osiągnąwszy czterdziestkę pływałem już z rozwiniętymi żaglami po morzu sukcesów, gdy wtem pewnego dnia doznałem olśnienia. Los, który chciałem sobie zgotować, los pisarza o światowej sławie, powtarzam, zaszczyty, hałaśliwa afirmacja,

popularność, powszechny podziw świadczący o pełnym zwycięstwie – wszystko to objawiło mi się nagle w całej swej jakże żalösnej pustce.

Nie interesowały mnie pieniądze, jakie daje sława, byłem aż nadto bogaty. A reszta? Oklaski, upajający triumf, fascynujący blask sławy, dla której tylu mężczyzn i kobiet zaprzedało duszę diabłu? Ilekroć pokosztowałem bodaj odrobiny tych rozkoszy, czułem w ustach suchość i smak goryczy. Ostatecznie – mówiłem sobie – w jakiż to sposób najdobitniej uzewnętrznia się sława? Po prostu tak: idziesz ulicą, a ludzie odwracają się za tobą i szepczą: „Widziałeś? To on!”. I nic poza tym. Nic więcej, żadna mi satysfakcja! A w dodatku, zważcie, moi drodzy, przytrafia się to tylko najwybitniejszym politykom i najśłynniejszym aktorkom. Jeśli zaś chodzi o zwykłego pisarza, to niech ma pretensje do swojej epoki i niech czeka cierpliwie, aż ktoś się za nim obejrzy.

Pozostaje jeszcze jedna kwestia, zdecydowanie negatywna. Mnie, co prawda, nie odstraszały, te codzienne nudne sprawy: listy i telefony od wielbicieli, różne zobowiązania, konferencje prasowe, pozowanie do zdjęć, spotkania, wywiady w radiu i tak dalej. Inne i poważniejsze miałem kłopoty: każdy mój sukces cieszył mnie tylko przez chwilę, wielu innym natomiast sprawiał głęboki ból. Och, wystarczyło spojrzeć na twarze niektórych moich przyjaciół i kolegów; jakże bardzo musieli to przeżywać, zwłaszcza w momentach wielce dla mnie pomyślnych. Dobrzy chłopcy, uczciwi, pracowici, połączeni ze mną więzami sympatii i przyzwyczajenia – dlaczego robiłem im tyle przykrości?

Za jednym zamachem odmierzyłem wtedy sumę cierpień, jakie zadawałem innym powodowany śmiesznym pragnieniem osiągnięcia sukcesu. Przyznaję, że nigdy przedtem o tym nie pomyślałem. I nagle poczułem wyrzuty sumienia.

Zrozumiałem również, że gdybym nadal kroczył obraną drogą, gdybym nadal zdobywał coraz świetniejsze wawrzyny, narażałbym wiele serc na niebezpieczne skurcze. A owe serca nie zasługiwały sobie na to, być może. I chociaż świat nie skąpi nam różnego rodzaju cierpień, to jednak rany po ukąszeniu zazdrości należą do najkrwawszych, najgłębszych, najtrudniejszych do wyleczenia – i ci ukąszeni są naprawdę godni współczucia.

Naprawiać zło – oto mój obecny cel. Powziąłem przeto doniosłą decyzję. Ze szczytu, do którego dotarłem, mogłem już, chwała Bogu, swobodnie czynić dobro. Im bardziej zasmucałem przedtem bliźnich moimi sukcesami, tym pewniej mogłem liczyć na

sprawienie im wielkiej radości. Czymże w końcu jest szczęście, jak nie zapobieganiem cierpieniu? Czyż wielkość radości nie jest wprost proporcjonalna do wielkości bólu, jaki ją poprzedza?

Dlatego postanowiłem nadal pisać nie zwalniając tempa, by nie wywołać wrażenia dobrowolnej rejterady, co byłoby marną pociechą dla moich kolegów. Musiałem jednak pisać inaczej: uciec się do zręcznej mistyfikacji i, zachowując pozory pełni sił twórczych, pisać źle, coraz gorzej, aby nasunąć im podejrzenie, że brakuje mi talentu; tym zaś, którzy spodziewali się z mej strony nowych, straszliwych ciosów, dostarczałem miłej niespodzianki w postaci mojej degrengolady.

Przedsięwzięcie to wydaje się proste, ponieważ czyny błahe lub plugawe nie przysparzają żadnych trudności, ale faktycznie było to niełatwe z dwóch powodów.

Po pierwsze: należało zapewnić sobie nieprzychylność krytyków. Ja tymczasem, zaliczany do kategorii pisarzy nagradzanych, miałem znakomitą markę na rynku wydawniczym. Od dawna mówiono o mnie tylko dobrze i ta opinia była obowiązująca i ściśle przestrzegana. A krytycy, jak wiadomo, gdy już artystę zaszufiadkują, nie lubią zmieniać ustalonych ocen. Słowem: czy rzeczywiście zauważą, że zacząłem pisać zupełnie knoty, czy też – jak się tego obawiałem – będą wciąż operować stereotypem i nadal obsypywać mnie pochwałami?

Po drugie: krew nie woda, więc hamowanie eksplozji geniuszu będzie mnie kosztować sporo wysiłku. Czy zresztą – nawet jeśli oddam się banałom i miernocie – tajemnicza potęga talentu nie przesączy się między wierszami? Udawać inną osobowość to dla twórcy zadanie trudne, nawet jeśli z jego wyobraźnią nie jest źle. Udało mi się jednak. Na długie lata okiełznałem moją płodną naturę, nauczyłem się symulować tak umiejętnie, że nawet owa symulacja mogła przekonać każdego o wielkości mojego talentu: pisałem książkę za książką, które niczym nie przypominały tych poprzednich, książki coraz słabsze, wymęczone, byle jakie, pozbawione inwencji, wiarygodnych postaci i przejrzystej narracji. Powolne samobójstwo literackie.

Ale po każdej kolejnej publikacji twarze przyjaciół i kolegów stawały się pogodniejsze, bardziej spokojne. Powoli uwalniałem tych nieszczęśników od brzemienia dręczącej ich zazdrości. Odzyskiwali wiarę we własne siły, zawierali przymierze z życiem, zaczęli na nowo darzyć mnie serdecznością. Rozkwitali. Przez nieskończenie długie lata moje sukcesy wbijały się cierniem w ich wnętrza. Teraz delikatnie wyciągałem ów

zatruty cierń, co przynosiło im niezmierną ulgę.

Słabły aplauzy, zacząłem żyć w cieniu, ale byłem teraz znacznie szczęśliwszy, bo nie otaczała mnie już dwuznaczna woń kadzideł, czułem natomiast przyływ ciepłej fali sympatii i wdzięczności. W głosach kolegów znów odnajdywałem tony jasne, szczere i szlachetne, jak w dawnych czasach, kiedy byliśmy chłopcami nie znającymi jeszcze całej nędzy życia.

Czy to znaczy – moglibyście zapytać – że pisałeś tylko dla kilkunastu kolegów? I to nazywasz swoim powołaniem? A publiczność? Dlaczego pomijasz niezliczoną rzeszę współczesnych i przyszłych czytelników, którym mógłbyś rozpałać serca? Czyżby twoja sztuka miała takie niskie loty?

Odpowiadam: dług, jaki spłacałem przyjaciołom i kolegom, był oczywiście dość błahy w porównaniu z tym, jaki zaciągnąłem u ludzkości.

Ale wobec nieznanych czytelników rozsianych po ziemskim globie, wobec pokolenia roku dwutysięcznego jestem w porządku. W ciągu ostatnich lat robiłem w skrytości to, co nakazywał mi Wszechmogący: unoszony boskim natchnieniem pisałem książki naprawdę własne, zdolne zapewnić im najwyższą chwałę. Stworzyłem je i zamknąłem w wielkiej pancernej kasie, która stoi w mojej sypialni. Dwanaście tomów. Przeczytajcie je po mojej śmierci. Przyjaciele nie będą mieli powodu do skarg. Zmarłemu chętnie wszystko się wybacza, nawet autorstwo nieśmiertelnych arcydzieł. Roześmieją się więc, pokiwają dobrotliwie głowami: „Ale drań, tak nas nabrał! A myśleliśmy, że skapcianał”.

Jakkolwiek wy...

W tym miejscu urywa się tekst. Stary pisarz nie mógł dokończyć, zaskoczyła go śmierć. Zmarł siedząc przy biurku. Na kartce papieru, obok strzaskanego pióra, spoczywała bezwładnie siwa głowa. Najbliżsi po przeczytaniu tekstu otworzyli kasę pancerną. Znaleźli tam dwanaście grubych, opieczutowanych tomów, każdy liczył setki stron. Na żadnej z nich nie było najmniejszego znaku.

PIEŚŃ WOJENNA

Król uniósł głowę znad wielkiego roboczego stołu z blatem inkrustowanym stalą i diamentami.

– Co, u licha, wyśpiewują moi żołnierze? – zapytał.

Bataliony za batalionami ciągnęły właśnie przez Plac Koronacji w stronę granicy i podczas marszu śpiewały. Łatwiejsze czekało je zadanie, bo wróg już się wycofywał. I żołnierze walczący na dalekich obcych równinach okrywali się chwałą: po powrocie będą mieli czym się szczycić. A król czuł się cudownie zdrowy i pewny siebie. Świat mógł do niego należeć.

– To jest ich pieśń, Wasza Królewska Mość – odparł pierwszy doradca, od stóp do głowy zakuty w żelazo, jak tego wymagała dyscyplina czasu wojny. Król zaś powiedział:

– Czemu nie śpiewają nic weselszego? Przecież Schroeder skomponował dla moich wojsk wspaniałe hymny. Sam je słyszałem. A to jest prosta piosenka żołnierska.

– No, cóż, Wasza Królewska Mość – rzekł stary doradca, jeszcze bardziej, zda się, skulony pod ciężarem swej zbroi. – Żołnierze mają swoje nawyki, swoje kaprysy, trochę jak dzieci. Ofiarujemy im piękne hymny, a oni wolą w kółko powtarzać własne śpiewki.

– Toż to nie jest pieśń wojenna – ozwał się król. – Można by nawet powiedzieć, że są smutni, kiedy ją śpiewają. Nie sądzę jednak, by mieli powód do smutku.

– Zgadzam się całkowicie – przytaknął królowi doradca z przypoehlebnym uśmiechem. – Ale może to tylko pieśń miłosna i nic ponadto.

– A jakie są jej słowa? – nalegał król.

– Nie znam ich, naprawdę – odparł sędziwy hrabia Gustaw. – Postaram się dowiedzieć.

Bataliony dotarły do granicy i rozgromiły niedobitki wroga wkroczywszy na jego terytorium; echo o tym zwycięstwie rozniosło się szeroko po świecie. Na równinach, coraz bardziej oddalonych od srebrzystych kopuł Pałacu Królewskiego, cichł tętent koni. Ku nieznanym konstelacjom gwiazdnym ulatywał z biwaków wciąż ten sam śpiew: nie wesoły, lecz smutny, nie triumfalny ani bojowy, nawet jakby pełen goryczy. Żołnierze byli

dobrze odżywieni, mieli mundury z miękkiego sukna, ciepłe kożuchy i buty z ormiańskiej skóry; na rączych koniach pędzili z jednego pola bitwy na drugie, coraz dalej, a ciężko było tylko tym, którzy dźwigali zdobyczne sztandary. Generałowie tymczasem pytali: „Co, u diabła, śpiewają żołnierze? Czyżby nie umieli nic weselszego?”

– Już tacy są, Ekscelencjo – odpowiadali stając na baczność oficerowie Sztabu Generalnego. – Chłopcy jak malowanie, ale mają swoje nawyki.

– Nie najlepsze nawyki – mówili na to generałowie z wyraźnym rozdrażnieniem. – Do diabła, wydaje się, że płaczą. Czegóż więcej im się zachciewa? Można by przypuszczać, że są niezadowoleni.

Zadowoleni istotnie byli wszyscy żołnierze zwycięskich regimentów. Czegóż faktycznie mogli jeszcze pragnąć? Tyle zdobyczy, tyle bogatych łupów i dziewczęta już się szykują na ich rychły zwycięski powrót. Wykreślmy nieprzyjacielski kraj z mapy świata – oto co można było wyczytać z tych młodych, tryskających zdrowiem i siłą twarzy.

– Jakże więc brzmią słowa ich pieśni? – dopytywał się zaciekawiony generał.

– Ach, słowa! To są całkiem głupie słowa – odpowiadano ostrożnie w Sztabie Generalnym, gdzie od wieków wpajano wojskową czujność.

– Głupie, nie głupie, jakie są te słowa?

– Nie wiem dokładnie, Ekscelencjo – rzekł jeden ze sztabowców. – Ty, Diehlem, może wiesz?

– Słowa tej pieśni? Właściwie ich nie znam. Ale oto i kapitan Marren, on z pewnością...

– Słowa nie są moją najmocniejszą stroną – odparł Marren. – Moglibyśmy jednak zapytać o nie sierżanta Petersa, jeśli pan generał pozwoli...

– Tyle niepotrzebnych ceregieli, a założyłbym się... – generał wolał nie kończyć zdania.

Lekko podekscytowany, sztywny jakby kij połknął, sierżant Peters odpowiadał na pytania.

– Pierwsza zwrotka, Szanowna Ekscelencjo, mówi tak:

Po równinach, po lesie
warkot bębna się niesie.

I tak lata mijają...
A w tej drodze powrotnej,
a w tej drodze powrotnej
chłopcy się nie spotkają.

- A druga zwrotka mówi: „Wszędy, tędy owędy...”
- Jak? Jak? – spytał generał.
- „Wszędy, tędy owędy...”, właśnie tak, Szanowna Ekscelencjo.
- Co znaczy: tędy owędy?
- Nie wiem, Szanowna Ekscelencjo, oni tak właśnie śpiewają.
- Dobrze, a dalej...?

Wszędy, tędy owędy,
kroczy żołnierz, grzmią bębny,
I tak lata mijają...
Tam, gdzie cię ostawił,
tam, gdzie cię ostawił,
już krzyż w ziemię wbijają.

- Jest jeszcze trzecia zwrotka, której prawie wcale się nie śpiewa. Mówi ona...
- Wystarczy, wystarczy – przerwał mu generał, a sierżant zasalutował służbiście.
- Nie wydaje mi się zbyt wesoła – skomentował generał, gdy podoficer wyszedł. –
Mało przystosowana do potrzeb wojny, mimo wszystko.
- Mało przystosowana, rzeczywiście – potwierdzili z należyтым szacunkiem pułkownicy ze Sztabu Generalnego.

Co wieczór, po skończonej walce, gdy ziemia jeszcze dymiła, ruszali w drogę wysłannicy i pędzili jak na skrzydłach z dobrą nowiną. W miastach łopotały sztandary, ludzie obejmowali się na ulicach, biły kościelne dzwony; ale kto nocą znalazł się w pobliżu nisko leżących dzielnic, słyszał zawsze ten sam śpiew. Mężczyźni, niewiasty, młódki nucili ową pieśń, która nie wiadomo kiedy tu przywędrowała. Nie była istotnie nazbyt wesoła, pobrzmiwała w niej jakby rezygnacja. Jasnowłose dziewczęta, z łokciami na parapetach okien, śpiewały ją w upojeniu.

Od zarania dziejów nie zdarzały się podobne zwycięstwa, nigdy nie dopisywało armiom tyle szczęścia, nigdy generałowie nie byli tak dzielni, natarcia tak błyskawiczne, nigdy też nie zagarnięto takich obszarów. Nawet ostatni z piechurów mógłby w końcu zostać bogaczem, tyle łupów nagromadzono do podziału. Wojska przekroczyły więcej granic, niż się spodziewano. Radość panowała w miastach, wieczór w wieczór wino lało się strumieniami, żebracy puszczały się w tany. W małym gronie przyjaciół, między jedną a drugą szklanicą, podejmowano chórem: „Po równinach, po lesie...” wszystkie trzy zwrotki.

A nowe bataliony wyruszały na wojnę z Placu Koronacji, a król unosił lekko głowę znad pergaminów i reskryptów, nasłuchując śpiewu żołnierzy – nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego psuje mu to humor.

Przez równiny i lasy regimenty ciągle posuwały się naprzód i wciąż jeszcze nie myślały o odwrocie; przegrywali zatem ci, którzy wróżyli szybkie nadejście ostatecznej, najszcześniejszej nowiny. Bitwy i zwycięstwa, zwycięstwa i bitwy. Armia przemierzała teraz krainy niewiarygodnie odległe, o nazwach trudnych do wymówienia.

W końcu (od zwycięstwa do zwycięstwa!) nastał dzień, w którym Plac Koronacji opustoszał, okna Pałacu Królewskiego pozamykano, a u bram miasta coraz wyraźniej słychać było huk zbliżających się obcych, dziwacznych wozów; z niezwyciężonej armii na pustynnych krańcach równin wyrosły lasy; jednostajne lasy krzyży aż po horyzont, i nic więcej. Nie orężem, nie ogniem, nie furią rozhukanej kawalerii objawiało się przeznaczenie, lecz pieśnią, która królowi i generałom słusznie wydawała się tak nieprzystosowana do potrzeb wojny. Przez te ubogie nuty samo przeznaczenie w ciągu długich lat z uporem zapowiadało ludziom to, co miało się spełnić. Dwór królewski, kondotierzy, mądrzy ministrowie okazali się głusi jak kamienie. Nikt nie zrozumiał mowy przeznaczenia prócz prostych, zmęczonych żołnierzy, którzy w blasku setek zwycięstw maszerowali wieczorami przez ulice miasta, maszerowali ku śmierci, śpiewając.

ZAWISTNY MUZYK

Kompozytor Augusto Gorgia, człowiek bardzo zawistny, już u szczytu sławy i wieku, pewnego wieczora, spacerując po swojej dzielnicy, usłyszał dźwięki fortepianu dochodzące z okien dużego budynku.

Augusto Gorgia zatrzymał się. Była to muzyka nowoczesna, lecz różniła się od uprawianej przez niego i jego kolegów; takiej jeszcze nigdy nie słyszał. Trudno nawet było zrazu zorientować się, czy jest poważna, czy lekka; pewną trywialnością przypominała niektóre ludowe śpiewki i jednocześnie jakby z nich kpiła; wydawało się, że to żart muzyczny, choć wyrażający namiętność, pasję. Gorgię uderzyła przede wszystkim tonacja: wyzwolona z praw harmonii, niekiedy poskrzypująca i arogancka, a mimo to idealnie czysta. Wyczuwało się tu wspaniały rozmach, młodzieńczą świadomość, ani śladu znużenia. Fortepian wkrótce zamilkł i Gorgia przechadzał się po ulicy na próżno czekając, aż tamten znów zacznie grać.

„Kto wie, może to kompozycja amerykańska – myślał – jeśli chodzi o muzykę, ci tam tworzą wręcz piekielne mieszaniny”.

I postanowił wrócić do domu. Był jednak niespokojny przez cały wieczór i cały następny dzień, jak ktoś, kto ogarnięty furią walił pięścią w skały lub w pnie drzew biegnąc przez las, a później w nocy nie umiał sobie przypomnieć, dlaczego boli go ręka. Trzeba było całego tygodnia, żeby zniknęły blizny.

W jakiś czas potem, wróciwszy z miasta około szóstej po południu, Gorgia usłyszał, ledwie zamknął drzwi, grające w saloniku radio; z wprawą eksperta rozpoznał natychmiast znajome dźwięki; grała też orkiestra, nie było to więc solo fortepianowe, ale ten sam fragment utworu, który go tak zafrapował przed kilku dniami: ten sam mocny, imponujący akcent, przedziwne okresy, potęga, niemalże uwłaczająca myśli przewodniej, którą można by porównać z galopem konia niepewnego, czy dotrze do celu.

Orkiestra zamilkła, zanim Gorgia zdążył zamknąć wejściowe drzwi. Z saloniku wybiegła go powitać żona.

– Ciao, mój drogi – rzekła – nie wiedziałam, że wrócisz tak wcześnie.

Dlaczego miała zakłopotaną minę? Czyżby coś chciała ukryć?

– Co się dzieje? – spytał zmieszany.

– Jak to: co się dzieje? Cóż by się miało dziać? – odpowiedziała Maria odzyskując pewność siebie.

– Nie wiem. Witasz mnie tak jakoś dziwnie... Ale, ale, co też nadawano przez radio?

– Och, myślisz, że ja słuchałam!

– To dlaczego wyłączyłaś, kiedy wszedłem?

– Prowadzisz śledztwo? – roześmiała się żona. – Jeśli już chcesz wiedzieć, to zamknęłam radio, kiedy wychodziłam z pokoju, żeby ciebie przywitać. Byłam tam cały czas i zapomniałam je wyłączyć.

– Transmitowano muzykę – rzekł Gorgia w zamyśleniu – ciekawa muzyka – dodał i ruszył w stronę saloniku.

– Szczęściarzu, nigdy ci nie dosyć muzyki... od rana do wieczora muzyka, nigdy nie jesteś syty. Zostaw to radio – rzekła widząc, że chce je włączyć.

Gorgia obrócił się, żeby popatrzeć na żonę: robiła wrażenie zaniepokojonej, jakby się czegoś obawiała. Żonie na złość przekręcił gałkę, rozjaśniła się skala, z aparatu dobył się zwykły szum, potem czyjś głos: „...mitowaliśmy program muzyki kameralnej. Najbliższy koncert urządza ta sama firma Tremel...”

– Teraz jesteś zadowolony? – spytała Maria, wyraźnie wzburzona.

Tegoż wieczoru Gorgia wyszedł na miasto po kolacji z przyjacielem Giacomellim i kupił gazetę radiową; „16.45 – podawano w popołudniowym programie – koncert muzyki kameralnej; dyryguje Sergio Anfossi; utwory Hindemitha, Kunza, Meissnera, Ribbenza, Rossiego i Strawińskiego”. Nie, muzyki, którą słyszał, z pewnością nie skomponował Strawiński. Nazwiska kompozytorów wypisano w porządku alfabetycznym i niekoniecznie zgadzało się to z kolejnością utworów. Mimo wszystko jednak nie mogła to być muzyka Hindemitha ani Meissnera; Gorgia zbyt dobrze ich znał. Może Ribbenz? Nie: Max Ribbenz, jego dawny kolega z Konserwatorium, zdobył się dziesięć lat temu na wielką kantatę polifoniczną, dzieło uczciwe, lekko szkolarskie; potem zaniechał komponowania; dopiero niedawno, po długim milczeniu, ożywił się i napisał operę dla Teatru Państwowego; w tych dniach właśnie miała się odbyć jej prapremiera, ale poprzednie prace Ribbenza wskazywały, czego się po nim można spodziewać. Zatem to także nie Ribbenz. Pozostawali Kunz i Rossi. Kimże byli ci dwaj? Gorgia nigdy o nich nie

słyszał.

– Czego szukasz? – spytał Giacomelli dostrzegając zaabsorbowanie Gorgii.

– Och, nic takiego. Dziś słyszałem muzykę przez radio. Chciałbym wiedzieć, kto ją skomponował. Ciekawa muzyka. Ale nie wiem...

– Jaki to rodzaj muzyki?

– Nie potrafię na to odpowiedzieć: utwór bardzo źle wychowany, tak bym rzecz ujął.

– Nie myśl już o tym. Wiesz przecież lepiej ode mnie, że kompozytor, który by ciebie zdystansował, jeszcze się nie urodził – rzekł żartobliwie Giacomelli, dobrze znając zawistny charakter przyjaciela.

– No więc – powiedział Gorgia wyczuwając w tych słowach ironię – byłbym wtedy szczęśliwy. Miałem nadzieję, że ktoś... – Przez głowę przeniknęła mu pewna dokuczliwa myśl: – A propos, jutro prapremiera opery Ribbenza?

Giacomelli nie od razu odpowiedział.

– Nie, nie – rzucił obojętnie – została przełożona...

– A ty się wybierasz?

– Ech, no nie... – odparł Giacomelli – to ponad moje siły.

Gorgia odzyskał dobry humor.

– Biedny Ribbenz! – wykrzyknął. – Biedny, stary Ribbenz, jestem z niego zdowolony! Przynajmniej miał tę satysfakcję... Właśnie, właśnie!...

Natępnego wieczoru Gorgia brzdąkał od niechcienia na swoim domowym fortepianie, gdy nagle spoza zamkniętych drzwi dobiegła jakaś rozmowa. Pełen nieufności zbliżył się do drzwi, żeby posłuchać.

W przyległym saloniku rozmawiali szeptem Maria i Giacomelli. On mówił: „Ale się dowie, prędzej czy później”. „Im później, tym lepiej – mówiła Maria. – Niczego jeszcze nie powinien podejrzewać”. „Tak lepiej... Ale prasa? Nie można mu przecież zabronić czytania gazet”.

Tu Gorgia gwałtownie otworzył drzwi.

Tamci zerwali się nagle, przychwyceni jak złodzieje na gorącym uczynku. Byli bladzi.

– No więc... kto nie powinien czytać gazet? – zapytał Gorgia.

– Ależ... ależ... – bąkał Giacomelli – opowiadałem o moim kuzynie aresztowanym

za włamanie. Jego ojciec, a mój wujaszek, nic o tym nie wie.

Gorgia westchnął. Nieźle. Był nawet zawstydzony, że tak niedyskretnie wtargnął do saloniku. Podejrzliwość zatruwała mu życie. Ale kiedy przeanalizował kolejne wypowiedzi Giacomellego, znów doznał złego samopoczucia: czy aby ta historia o kuzynie jest prawdziwa? Czy Giacomelli jej nie zmyślił? Dlaczego rozmawiali półgłosem?

Miał się wciąż na baczności, zachowywał się jak chory, przed którym lekarze i krewni ukrywają nieubłagany wyrok, on zaś węszy wszędzie kłamstwo; ci inni, chytrzejsi, starają się zvekslować jego uwagę i ciekawość, a choć nie potrafią go uspokoić, to przynajmniej chronią go przed okrutną prawdą.

Zaczęło mu się też zdawać, że i poza domem dostrzega podejrzane symptomy: na przykład dwuznaczne spojrzenie niektórych kolegów, nagła cisza, kiedy się do nich zbliżał, lub zakłopotanie, gdy z nim rozmawiali (ludzie na ogół gadatliwi). Ale Gorgia poddawał się samokontroli, stawiał sobie pytanie, czy ta nieufność nie jest oznaką neurastenii; niektórzy starzejąc się widzą dokoła samych wrogów. Czegóż by się miał obawiać? Był sławny, szanowany, finansowo powodziło mu się doskonale. Teatry i sale koncertowe zabiegały o jego kompozycje. Nie zdarzyło mu się napisać nic kiepskiego. A więc? Jakie niebezpieczeństwo może mu grozić? Rozumowanie tego typu już mu jednak nie wystarczało.

Nazajutrz po kolacji ogarnęło go znowu podniecenie. Dochodziła dziesiąta. Przeglądając gazetę trafił na wzmiankę o dzisiejszej prapremierze opery Ribbenza. Jak to? Czyż Giacomelli nie mówił, że została odłożona? I dlaczego nikt go nie uprzedził, dlaczego nikt go nie zaprosił? I czemu dyrekcja teatru nie przesłała mu jak zwykle biletów?

– Mario, Mario! – zawołał, a serce omal mu nie wyskoczyło z piersi – wiedziałaś o dzisiejszej premierze Ribbenza?

Maria ociągała się z nadejściem.

– Ja? Ja? Tak, ale zdawało mi się...

– Co ci się zdawało?... Gdzie bilety? Czy to możliwe, żeby nie przysłano biletów?

– Tak, tak. Nie zauważyłaś tej koperty? Położyłam ją na komodzie.

– I nic nie powiedziałaś?

– Myślałam, że to ciebie nie interesuje... Mówiłaś, że nigdy byś nie poszedł... „Nie zrozumieją mnie”, mówiłaś... A zresztą zapomniałam o tym, przyznaję...

Gorgia stracił panowanie nad sobą.

– Nie rozumiem... nie rozumiem... – powtarzał w kółko – już pięć po dziesiątej... nie zdążę... ten idiota Giacomelli... – podejrzenie, którym zadreślał się od pewnego czasu skoncentrowało się teraz na operze Ribbenza: musiało kryć się w niej coś, czego jeszcze nie pojmował, a co stanowiło jakieś zagrożenie. Zajrzał ponownie do gazety, jakby nie miał i do niej zaufania. – Och, ale transmitują ją przez radio... chcę po prostu uchwycić jej styl.

– Augusto, przykro mi... radio nie działa – powiedziała zbolalym głosem Maria.

– Nie działa? Od kiedy nie działa?

– Od popołudnia. Włączyłam je o piątej, usłyszałam trzaski i nic już nie było słychać, chyba lampa się przepaliła.

– Właśnie dzisiaj wieczorem? Umówiliście się wszyscy, żeby...

– Dlaczego mielibyśmy się umawiać? – Maria była bliska płaczu. – Na czym polega moja wina?

– Wychodzę. Znajdę gdzieś radio...

– Nie, Augusto, pada... przeziębisz się... już późno... będziesz miał czas na wysłuchanie tej przeklętej opery.

Ale Gorgia zabrał parasol i opuścił dom. Długo wałęsał się, nim znalazł jakąś oświetloną kawiarnię. Gości było niewielu. W głębi sali zobaczył jednak sporą grupkę ludzi. I dobiegała stamtąd muzyka. „Dziwne” – pomyślał. Radiem interesowano się tak tylko w niedziele podczas transmisji meczów. I nagle pojawiła się wątpliwość: czyżby słuchano opery Ribbenza? W nieruchomej gromadce słuchaczy mało osób wyglądało na amatorów muzyki poważnej: ci dwaj młodzieńcy w swetrach, na przykład, ta dziewczyna lekkich obyczajów, kelner w białej marynarce...

Gorgia zbliżał się ku nim, posłuszny niejasnemu wezwaniu, jakby już od wielu dni, nawet miesięcy i lat, wiedział, że miał się znaleźć tutaj, w tym lokalu, a nie innym, o tej, a nie innej porze. I stopniowo, w miarę jak coraz bliższa muzyka objawiała mu się w rytmie i dźwiękach, czuł wzmagający się ucisk serca.

Była to muzyka nowa, nawet dla Gorgii, przesywała na wskroś jego mózg. Była to dziwna muzyka, którą słyszał już na ulicy, a później w domu tamtego pamiętnego wieczoru. Teraz była jeszcze swobodniejsza, bardziej wzniosła, gwałtowna i potężna, nie mająca w sobie nic z pospolitości. Nie oparli się jej nawet ludzie prości, mechanicy,

kobiety, kelnerzy. Jak pokorni niewolnicy słuchali z rozdziawionymi gębami. Geniusz! Ten geniusz nazywał się Ribbenz, a przyjaciele i żona próbowali wszystkiego, byle Gorgia nie był tego świadom (z litości, jaką dla niego żywili). Był to geniusz, na którego cała ludzkość czekała najmniej pół wieku, geniusz, którym nie był on, Gorgia, lecz ktoś inny, jego rówieśnik, dotychczas zapoznany i lekceważony. Straszliwą odrazę wzbudziła w Gorgii ta muzyka, jak dobrze byłoby zdemaskować ją, wykazać jej fałsz, pohańbić ją i ośmieszyć. A tymczasem to ona pruje fale milczenia jak zwycięski krążownik, to ona później podbije cały świat.

Jeden z kelnerów chwycił go za ramię:

– Przepraszam... źle się pan czuje?

Gorgia rzeczywiście chwiał się na nogach.

– Nie, nie, dziękuję. – I nic nie zamówiwszy wyszedł na deszcz, zrozpaczony.

– Matko Boska – mruczał pod nosem, dobrze wiedząc, że skończyły się dla niego wielkie radości. Nie mógł nawet w formie ekspiacji ofiarować Stwórcy swego cierpienia, bo cierpienia tego rodzaju oburzają każdego.

NA INDEKSIE

Od kiedy poezję objęto zakazem, życie z pewnością stało się u nas prostsze. Pozbyliśmy się słabości ducha i chorobliwej ekscytacji, i roztkliwiania się nad wspomnieniami, tak zdradzieckimi z punktu widzenia interesów ogółu. Produkcja – oto jedyne, co się naprawdę liczy, i rzeczywiście trudno pojąć, jak mogła ludzkość przez tysiące lat nie zrozumieć tej tak podstawowej prawdy.

Ostały się tylko, jak wiadomo, niektóre hymny nawołujące do wielkich dzieł ku chwale narodu, hymny, których oszczędziło sito naszej dobrze zasłużonej cenzury. Ale czy można je nazwać poezją? Nie, na szczęście. Podnoszą one na duchu człowieka pracy, nie torując drogi dla zgubnych wzlotów fantazji. Czyż mają u nas prawo obywatelstwa – aby się posłużyć typowym przykładem – serca dotknięte tak zwanym cierpieniem miłosnym? Czyż można dopuścić, by w naszym świecie, opartym na dziełach konkretnych, dusza zatracala się w uniesieniach pozbawionych – co każdy musi przyznać – wszelkiej wartości praktycznej?

Bez silnego rządu nie sposób, oczywiście, dokonać usprawnień na tak szeroką skalę. I taki właśnie jest rząd, któremu przewodniczy czcigodny Nizzardi. Rząd silny i demokratyczny, ma się rozumieć. Demokracja nie zabrania użyć, jeśli to konieczne, żelaznej pięści. Najbardziej zagorzałym zwolennikiem prawa, które zlikwidowało poezję, był czcigodny Walter Montichiari, Minister Postępu. W istocie ograniczył się on do zinterpretowania woli całego Kraju, wybornie posłużył się linią – jeśli się tak można wyrazić – demokratyczną. Zniecierpliwienie społeczeństwa, występującego przeciw owej szkodliwej postawie psyche, było już od lat nadto widoczne. Należało sprawę skodyfikować przy pomocy precyzyjnych norm ograniczających wszystko w imię dobra powszechnego. Niewiele zresztą nowych rozporządzeń wywołało tak drobne zakłócenia w życiu poszczególnych obywateli. Kto jeszcze czytuje wiersze? Kto je pisze? W bibliotekach publicznych i prywatnych zacieranie się liter w dyskryminowanych tomach dokonało się więc bez trudu, a nawet: operacja przebiegała w atmosferze miłego podniecenia, jakby się w końcu pozbywano przykrego balastu. Produkować, budować, podciągać wciąż wyżej krzywe wykresów, rozwijać przemysł, handel i badania naukowe

związane ze wzrostem wydajności, wdrażać (jakiż to piękne słowo!) coraz więcej energii w stopniowe zwiększanie eksportu – tylko to jest poezją, drodzy rodacy. Niech żyje technika, rachunek ekonomiczny, konkretyzacja towaroznawcza, tony, metry, notowania giełdowe, wymogi rynku i zdrowy realizm tak zwanych manifestacji artystycznych (niezbędne trzeba zachować).

Czcigodny Walter Montichiari ma lat czterdzieści sześć, jest dość wysokim, raczej przystojnym mężczyzną; czy, słyszycie, jak się śmieje w sąsiednim pokoju? (Ktoś mu opowiada o wieśniakach, którzy zakpili sobie ze starego poety Osvalda Cahna. „«Ja już nie piszę! – krzyczy nieszczęśnik. – Przysięgam, od piętnastu lat nic nie piszę! Handluję zbożem, i basta!» «Ale kiedyś pisałeś poezje, wieprzu» – oni mu na to i rzucają go elegancko, wraz z kapeluszem i laską do gnojówki”). Słyszycie, jak czcigodny się śmieje? Ach, to człowiek pewny siebie, mocno stąpa nogami po ziemi, o tym możecie być przekonani.

Ani trochę nie przypomina jegomościa starej daty, wspartego o balustradę balkonu, z którego przygląda się zachodowi słońca deklamując podniosłe strofy o pięknie.

Wszystko wokół czcigodnego jest bardzo konkretne, pozytywne. I niech wam się nie zdaje, że brak mu dobrego smaku. Na ścianach jego gabinetu wiszą obrazy znanych mistrzów: przeważnie kompozycje abstrakcyjne, które krzepią oko, ale nie angażują ducha. Dyskoteka również świadczy o nie zepsutym, wrażliwym na istotne walory guście czcigodnego; nie spodziewajcie się tam znaleźć pretensjonalnych utworów w stylu Chopina, bo wszystko jest w stylu Hindemitha. Co się zaś tyczy księgozbioru, to – nie mówiąc już o pozycjach dokumentalnych i naukowych – nie brakuje w nim literatury rozrywkowej na godziny relaksu; są to oczywiście książki odtwarzające życie bez dodatków i ozdóbek, nie ma, chwała Bogu, obawy, że czytający będzie poruszony do głębi tym bezceństwem, które kiedyś było dopuszczalne i pożądane, chociaż trudno w to dziś uwierzyć.

Czcigodny śmieje się dźwięcznie, miło go słuchać. Wyraża tym śmiechem całkowite panowanie nad sytuacją, optymizm, wiarę w realizację planów. Ale czy jest spokojny jako reprezentant tej postawy? Czy jest naprawdę pewny, że zdeprecjonowane zjawisko wygaśnie?

Pewnego wieczora, gdy po kolacji studiował jakiś memoriał, weszła żona.

– Walterze, nie wiesz, gdzie jest Giorgina?

– Nie, bo co?

– Powiedziała, że idzie odrabiać lekcje. Ale jej pokój jest pusty. Wołałam ją, nie odpowiada. Szukałam jej wszędzie i nie znalazłam.

– Chyba jest w ogrodzie.

– W ogrodzie jej nie ma.

– Może wyszła z jakąś koleżanką.

– O tej porze? Na pewno nie. Jej płaszcz wisi w przedpokoju.

Niespokojni rodzice zlustrowali cały dom. Ale córki nigdzie nie było. Montichiari, próbując ostatniej szansy, włazi na strych.

Tutaj, pod ukośnymi belkami sufitu, łagodny i tajemniczy blask spowija opuszczone, zaniedbane starocie, rzeczy wyszłe z mody, zużyte. Ten blask sączy się przez okienko, tarcza księżyca oświetla dach. Okienko jest otwarte. Z łokciami na parapecie stoi dziewczynka, stoi mimo chłodu nieruchomo, jak zaczarowana.

Co tu robi? Ohydne podejrzenie rodzi się w umyśle czcigodnego, daremnie stara się je odeprzeć. Nie zauważony przez Giorginę, obserwuje ją bacznie, ale ona nie zmienia pozycji, wygląda na pogrążoną w zadumie, oczy ma szeroko rozwarte, jakby patrzyła na dokonujący się cud.

– Giorgina!

Dziewczyna odwraca się gwałtownie, blednie.

– Co tu robisz?

Giorgina milczy.

– Co tu robisz? No mów!

– Nic, słucham.

– Słuchasz? Czego słuchasz?

Zamiast odpowiedzieć, mała rzuca się do ucieczki, jej szloch cichnie na schodach.

Czcigodny zamyka okienko, ale przedtem wygląda na zewnątrz, znów opanowany podejrzeniem. Co tam podziwiała Giorgina? Czego słuchała?

No, w porządku. Z okienka widać tylko banalną panoramę, puste dachy, nagie drzewa, halę fabryczną w dolinie, zwyczajny krajobraz w blasku księżyca, który wywołuje znane efekty świetlne, zagęszcza cienie, nadaje przejrzystość chmurom i tak dalej. Nic też

nie słychać, słychać tylko poskrzypywanie na strychu starego drewna i słaby jak oddech pogłos idący od strony miasta, które powoli zasypia, w miarę jak ustaje aktywność produkcyjna o tej porze dnia. Najzwyklejsze zjawiska nie przynoszące żadnej atrakcji. A może jednak... Na strychu jest zimno, przez szpary między dachówkami wdzierają się mroźne podmuchy. Więc może właśnie tam, na dachach, w pewien sposób przeobrażonych przez księżyc (Montichiari nawet nie mógłby temu uczciwie zaprzeczyć) czai się poezja, ta dawna deprawacja? I może dzieci w swej niewinności dają się jej zwabić, chociaż nikt ich do tego nie zachęca? A przecież w całym mieście wyczuwa się to samo, czyżby to był początek spisku? Nie wystarczają zatem ani prawa, ani kary, ani powszechne wydrwiwanie, aby ją, przekłętą, zniszczyć? A więc wszystko, co dotychczas osiągnięto, jest po prostu kłamstwem, obłudną manifestacją obojętności, udawanym konformizmem? A on, Montichiari? Może i w nim już się lęgnie to niedozwolone uczucie?

Wkrótce potem, w salonie, pani Montichiari mówi:

– Walterze, coś ci dolega? Jesteś blady.

– Wprost przeciwnie, czuję się znakomicie. Muszę jeszcze wpaść na moment do Ministerstwa.

– Teraz? Ledwie przełknąłeś kolację.

Montichiari nie jest spokojny. Wychodzi z domu, lecz zanim wsiądzie do samochodu, popatrzy chwilę na osobliwie, intensywnie świecący księżyc, zastanawiając się nad ewentualnymi wpływami jego blasku. Jest kwadrans po dziesiątej, miasto przycichło po dniu ciężkiej pracy. Minister ma wrażenie, że tego wieczoru jest w aurze coś anormalnego, coś niby słabe pulsowanie obecności istot zagnieżdżonych w czarnych zakątkach cienia; wartownicy ukryci za rogami domów, pnie drzew, zgaszone reklamy na kolumnach stacji benzynowych; i dzięki tej nocy nagle wyzwalają się buntownicze pragnienia.

On zaś, Montichiari, musi przyznać, że nie doznaje uczucia przykrości. Chociaż z gwiazdnego zakola padają na niego kaskady światła, tak sprzeczne z dyrektywami rządu. I strzepuje rękoma płaszcz, chce się oczyścić, zrzucić z siebie pajęczynki srebra, które zdają się go omotywać.

Otrząsnął się, wsiadł do samochodu; odetchnął z ulgą, kiedy dojechał do

śródmieścia, gdzie silne światło elektryczne gasiło – tak się przynajmniej wydawało – blask księżyca. Wszedł do gmachu Ministerstwa, wspinał się po schodach, minął długie milczące korytarze i skierował się do swego gabinetu. Na korytarzach panował mrok, ale przez okna wdzierały się te przekłete promienie księżyca. Tylko przez szpary jednych drzwi przesączało się światło elektryczne. Montichiari zatrzymał się. W tym pokoju pracował uczciwy i pedantyczny profesor Carones, człowiek-cyfra, szef departamentu badań. Dziwne. Czcigodny powoli uchylił drzwi.

Odwrócony plecami do wejścia Carones siedział przy biurku, na którym stała niewielka osłonięta kloszem lampa, i pisał coś w skupieniu; raz po raz przerywał pisanie, w zadumie podnosił do ust obsadkę i obracał się, jakby szukając natchnienia, w stronę okna wychodzącego na duży taras, a taras, rzecz oczywista, tonął w księżycowej poświacie.

Po raz wtóry tego wieczoru Montichiari przyłapywał kogoś, kto oddawał się zajęciom niecodziennym, może nawet zakazanym. Carones istotnie nigdy nie miał zwyczaju do tak późna pozostawać w biurze.

Bezszelestnie stąpając po dywanie minister zbliżył się do profesora i, stanąwszy za nim, zerknął ukradkiem, ciekaw dowiedzieć się, nad jakim to technicznym memoriałem ślęczy. Przeczytał:

O, nieme światło, twoja słodycz
poprzez ciemne zasłony
znad metalowych hangarów wzlatuje;
latarnio losu, nieruchome, kamienne
lustro. Długa jest droga, by cię odnaleźć,
długa jak życie. A ja, zmęczony,
staram się teraz nasze utrapienia
rozświecić, o tajemniczy, czysty spokój
pełni księżyca, jak pałac królów,
wszechwładnych duchów...

Dłoń ministra jak bicz zemsty spadła na plecy Caronesa.

– Czyta pan takie rzeczy, profesorze?

Sparaliżowany strachem Carones zaskomlał.

– Czyta pan takie rzeczy, profesorze?

W tejże chwili rozdzwonił się telefon w sąsiednim pokoju, potem gdzieś dalej, na końcu korytarza, trzeci, czwarty. W uśpionym pałacu nagle, w sposób tajemniczy, obudziło się życie, jakby setki osób czekały na ten sygnał ukryte w szafach lub za zakurzonymi firankami; rozległy się czyjeś nieśmiałe powłóczące kroki, zapanowała ogólna wrzawa. Słyszać było wyraźne głosy, okrzyki, suche rozkazy, trzask zamykanych drzwi, zamęt, gwałtowny bieg – odgłosy stawały się coraz cichsze.

Montichiari wyjrzał na taras przez otwarte okno. W ogrodzie otaczającym Ministerstwo latarnie elektryczne pogasły, nie wiadomo dlaczego. Tym silniejsze i bardziej niepokojące wydawało się światło księżyca. Po wysrebrzonej ulicy biegło z zapalonymi pochodniami trzech mężczyzn, a za nimi młodzieniec w szerokim czerwonym płaszczu. Na głównym tarasie pałacu ministerialnego dwóch wojskowych w pełnym umundurowaniu przygotowywało się do ataku, w rękę trzymali błyszczące szpady. Wznieśli je ku niebu. Nie były to szpady, lecz trąby. Z tych trąb zaczęły dobywać się przeciągłe srebrzyste tony, cudowne tony, które tak wielki wpływ wywierają na tłumy.

Montichiari nie potrzebował żadnych wyjaśnień, by zrozumieć, co się dzieje: oto Rewolucja, upadek Ministerstwa.

OTWARCIE DROGI

Od dawna już ustalono, że 20 czerwca 1840 roku zostanie otwarta osiemdziesięciokilometrowa szosa łącząca stolicę z San Piero, położonym na obszarach pustynnych, niedaleko granicy królestwa i liczącym czterdzieści tysięcy mieszkańców. Budowę tej drogi zainicjował stary gubernator. Nowy, wybrany ledwie przed dwoma miesiącami, nie interesował się nadmiernie tą imprezą, toteż wymówił się niedyspozycją; podczas ceremonii miał go zastąpić minister spraw wewnętrznych, hrabia Carlo Mortimer.

Tak tedy doszło do owej inauguracji, chociaż droga nie była jeszcze całkiem wykończona i na ostatnich dwudziestu kilometrach przed San Piero pokrywał ją zwyczajny tłuczeń; kierownik robót zagwarantował jednak, że karety dojadą aż do San Piero. Ponadto nie wydawało się rzeczą właściwą odraczenie ceremonii tak bardzo wyczekiwanej. Przejęta entuzjazmem ludność San Piero drżała wprost z niecierpliwości. Na początku czerwca przyleciało do stolicy dwanaście gołębi pocztowych z gratulacjami dla gubernatora i wiadomością, że w San Piero przygotowano się na wielkie święto.

Tak tedy 19 czerwca wyruszył orszak inauguracyjny. Składał się on z jednej chorągwi gwardii konnej i czterech karet.

W pierwszej zajął miejsce hrabia Carlo Mortimer, jego sekretarz Vasco Detui, inspektor robót publicznych Vincenzo Lagosi (ojciec Lagosiego juniora, który potem miał zginąć bohatersko w bitwie pod Riarite) oraz projektant i kierownik budowy w jednej osobie, Franco Mazzaroli.

W drugiej karecie siedział generał Antes-Lequoz z żoną, oryginalną i odważną damą, a także dwóch urzędników gubernialnych.

W trzeciej jechał mistrz ceremonii, don Diego Crampi, z małżonką, młodziutki sekretarz i chirurg, doktor Gerolamo Attesi.

W czwartej karecie jechała służba z zapasami żywności, jako że na tych terenach niełatwo było o jedzenie.

Aż do Passo Terne, małej wioski, gdzie przedstawiciele władzy przenocowali, podróż odbywała się w szybkim tempie. Nazajutrz pozostawało im do przebycia tylko trzydzieści kilometrów, z których dwadzieścia z powodu częściowego niewykończenia

robót – jak się już rzekło – zapowiadało jazdę powolną i uciążliwą.

Dygnitarze opuścili Passo Terne o szóstej rano, żeby nacieszyć się świeżością wczesnej pory dnia. Wszyscy byli zadowoleni, choć mijana okolica była odludna: jałowa, spalona słońcem równina, gdzieniegdzie, na wysokość dziesięciu, dwudziestu metrów, wznosiły się garby czerwonej ziemi dziwacznych kształtów. Rzadkie drzewa i jeszcze rzadsze chaty. Co jakiś czas pojawiały się niewielkie szałas zamieszkiwane przez robotników drogowych.

Mniej więcej po godzinie dobrego kłusa orszak znalazł się w miejscu, od którego nie wykończona szosa zatracala regularną linię – była węższa i nie tak twarda. Czekala tu na nich gromada robotników, którzy posługując się lewarem postawili Łuk Triumfalny, ozdobiony gałęzmi i płachtami z czerwonej tkaniny.

Zmuszono konie do zwolnienia biegu, solidne karety zaczęły się kołysać i trzeszczeć. Zrobiło się bardzo ciepło, a nieruchome powietrze przesycone było parą. Pejzaż stawał się coraz mniej atrakcyjny: aż po horyzont rozciągał się obszar czerwonej ziemi ze skąpą, słabowitą roślinnością.

Rozmowy w karocach zamierały, bo pasażerów ogarniała przemożna senność. Tylko hrabia wydawał się niespokojny i spoglądał uporczywie przed siebie, na drogę, która pogarszała się z każdym metrem.

W pewnej chwili kareta zatrzymała się raptownie: jedno koło ugrzęzło w głębokiej dziurze i pękło, gdy ponowiono wysiłki, by je wydobyć. Mistrz ceremonii, jego żona, sekretarz i chirurg musieli przesiąść się do innych pojazdów.

Ta mozolna jazda trwała już parę godzin (do San Piero było najwyżej dziesięć kilometrów), kiedy po kilku gwałtownych wstrząsach zarzuciło pierwszą karete. Drzemiący woźnica nie spostrzegł się bowiem w porę i z odcinka wysypanego tłuczniem za szybko zjechał na teren kamienisty, pełen wyboi; jeden z koni upadł nieszczęśliwie, a pojazd cudem uniknął rozbicia.

Pasażerowie wysiedli i z osłupieniem stwierdzili, że dalej nie ma ani śladu drogi. Nie było też widać żadnych rozpoczętych prac. Hrabia Mortimer stłumionym od gniewu głosem wezwał do siebie Mazarolego, który odpowiadał za całą budowę. Ale Mazarolego nie było. Zniknął w sposób niewyjaśniony.

Tajemny lęk podziałał na wszystkich paralizująco. Potem Mortimer, widząc, że Mazaroli wciąż jest nieuchwytny i na nic nie zda się sarkanie na jego nieobecność, wysłał

gwardzistę do domku, niemal przylepionego do podnóża skały, na wysokości około stu metrów. W domku mieszkał staruszek, którego doprowadzono do Mortimera.

Człowiek ten powiedział, że nic mu nie wiadomo o drodze, a San Piero, gdzie nie był już od lat dwudziestu, leży o dwie godziny dobrego marszu; najpierw trzeba iść przez skalisty płaskowyż – teren ma kształt tarasu, lekko unosi się w górę i już stamtąd można miasto zobaczyć – a później trzeba obejść moczary. Dodał, że okolica jest bardzo słabo zaludniona i dlatego nie znajdują tam ścieżek.

Sytuacja wyglądała tak przerażająco, że wszyscy, łącznie z Mortimerem, czuli się zgnębieni. Niczym nie dawał się wytłumaczyć fakt, że roboty przerwano i nie zatroszczono się nawet o wysypanie traktu szutrem. Wkrótce też doszli do logicznego wniosku: należy wracać, wyciszyć, o ile to możliwe, ów niesłychany skandal i ukarać odpowiedzialnych za to ludzi.

Ale ku zdumieniu obecnych hrabia Mortimer oznajmił głosem doniosłym swą nieodwracalną decyzję: nie przerwie podróży i pójdzie dalej piechotą, jako że nie umie jeździć konno. Ci biedacy w San Piero czekają na niego; wzięli na swoje barki ciężkie zadanie i poczynili ogromne wydatki, żeby zgotować im wspaniałe przyjęcie. Inni jednak mogą wracać. Jeśli zaś o niego chodzi, ma on konkretną misję do spełnienia.

Daremnie usiłowano odwieść Mortimera od tego zamiaru. Zbliżało się południe, kiedy osobistości, czując się moralnie zobowiązane wobec ministra, ruszyły pieszo za gwardią na koniach, objuczonych resztkami zapasów.

Na jałowej ziemi wysuszonej słońcem, stwardniałej od starości, bez cienia, bez zieleni, panował straszliwy upał. Posuwali się wolno i z trudem; odświeżne trzewiki nie były odpowiednie do marszu po wyboistym terenie; nikt nie śmiał uwolnić się od uciskających mundurów, ozdób i odznaczeń, ponieważ Mortimer kroczył naprzód niewzruszony i nie okazywał najmniejszego zmęczenia.

Po niespełna półgodzinnej wędrówce komendant gwardii przekazał ministrowi, że konie eskorty, bez żadnego widocznego powodu, nie chcą iść dalej; można je do woli kłuć ostrogami, a nie postąpią ani kroku naprzód.

Tym razem Mortimer zawrzał gniewem. I przecinając wszelkie dyskusje, kazał gwardzistom wracać na ich własną odpowiedzialność; zatrzymał tylko czterech, którzy mieli towarzyszyć dygnitarzom.

Około drugiej po południu dotarli do nędznej zagrody. Bóg raczy wiedzieć, jak jej

właściciel zdołał przysposobić do uprawy kawałek gruntu i wyhodować kilka kóz, których mleko pokrzepiło znużonych i złaknionych wędrowców. Wypoczynek jednak trwał krótko, bo wieśniak zapewnił ich, że dobry piechur potrzebuje co najmniej czterech godzin, by dojść do San Piero.

Szlak urwał się nieoczekiwanie, zniknęły ścieżki, okolica opustoszała; im dłużej szli, tym odleglejsze stawało się San Piero; wszystko to wywołało konsternację wśród towarzyszy Mortimera. Otoczyli kołem ministra zaklinając go, żeby zrezygnował ze swoich planów. Pora już skończyć z tym koszmarem. Zbyt łatwo zagubić się na bezkresnych obszarach, a kto im pospieszy z pomocą, gdy zabłądzą? Trzeba uciekać stąd, uciekać, póki czas.

Hrabia Mortimer oznajmił wtedy, że pójdzie dalej samotnie. W jego oczach błyszczał płomień nieugiętej decyzji. Przygotowawszy sobie paczkę z żywnością i butelkę z wodą, opuścił zagrodę i wielkimi krokami skierował się w stronę skalistego tarasu, z którego – jak mówił staruszek – widać już było wieże i dzwonnice San Piero.

Przez kilka minut nikt się nie poruszył, potem dwóch mężczyzn podniosło się z zamiarem towarzyszenia ministrowi: sekretarz Vasco Detui i chirurg Attesi. Liczyli, że przed wieczorem dotrą do celu.

We trzech posuwali się teraz w milczeniu, z obolałymi nogami, po żwirowatym, spalonym terenie, atakowani przez bezlitosne słońce. Minęły dwie godziny, nim doszli do krańca skalistego płaskowyżu, ale nie udało im się zobaczyć stamtąd San Piero: zbyt gęste opary unosiły się nad ziemią.

Maszerowali gęsiego, kierując się małą busolą, którą Mortimer zawiesił na łańcuszku od zegarka. Zeszli w dół i znów znaleźli się na suchym terenie wśród kamienistych raf; słońce nie dawało chwili wytchnienia.

Strwożeni wypatrywali na próżno zarysu jakiejś dzwonnicy. Z pewnością zabłądzili kręcąc się w kółko albo obliczali tempo marszu z przesadnym optymizmem; w każdym razie byli już chyba blisko celu.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy trzej piechurzy ujrzeli starego chłopca jadącego na osiołku. Miał gospodarstwo w tych okolicach – jak wyjaśnił – i wybierał się właśnie do Passo Terne po zakupy.

– Daleko jeszcze do San Piero? – spytał go Mortimer.

– San Piero? – powtórzył wieśniak, jak gdyby nie zrozumiał pytania.

– San Piero, do licha, miasto... znasz je przecież, no nie?

– San Piero? – mruknął do siebie staruszek. – Nie, to nazwa całkiem dla mnie obca, panie. Ale... tak, teraz sobie przypominam – dorzucił po chwili – ojciec nieraz mówił mi o mieście w tamtych stronach – i wskazał na linię horyzontu – wielkie miasto, i nazywa się tak jakoś... San Piero czy może San Dero. Chociaż ja nigdy w to nie wierzyłem.

Staruszek na osiołku odjechał w kierunku, z którego oni nadeszli.

Trzej mężczyźni usiedli na kamieniach. Żaden nie odważył się przemówić pierwszy. I tak doczekali się nocy.

W ciemności rozległ się w końcu głos Mortimera:

– No dobrze, moi przyjaciele, poświęciliście się dla mnie ponad miarę. Kiedy zacznie świtać, ruszycie w drogę powrotną. Ja pójdę naprzód. Zjawię się tam z opóźnieniem, to wiem, ale nie chcę, żeby daremnie czekali na mnie ci z San Piero. Mieli tyle wydatków, żeby przygotować dla mnie to święto, biedni ludzie.

Detui i Attesi opowiadali później, że rankiem zerwał się wiatr i przepędził wszystkie mgły z równiny, a jednak nie ukazały się na niej domy San Piero. Głuchy na ich prośby Mortimer postanowił dokończyć samotnie owej podróży, podjętej z racji otwarcia nowej drogi; szedł w stronę pustego horyzontu przez płaską pustynię, która zdawała się nie mieć kresu.

Patrzyli, jak idzie wolnym, lecz zdecydowanym krokiem po spękanych kamieniach, póki nie stracili go z oczu. Kilka razy jeszcze mieli wrażenie, że dostrzegają jakieś krótkie błyski: to migotały promienie słońca w guzikach wspaniałego munduru Mortimera.

BOMBA WODOROWA

Obudził mnie telefon. Wyrwał mnie gwałtownie ze snu i może dlatego, a może z powodu panującej wokoło ciszy, ale wydawało mi się, że dzwoni dłużej niż zwykle, wrogo, złowieszczo.

Zapaliłem światło i w pidżamie podszedłem do aparatu; było zimno, w gęstym mroku widziałem zarys mebli (kryło się w tym wszystkim jakieś tajemnicze znaczenie, skłaniając do złych przeczuć!) i gdy się o nie otarłem, obudziłem się do reszty. Słowem, zrozumiałem natychmiast, że jest to jedna z tych niezmiernych, niezgłębionych nocy, które nadchodzą rzadko, i w wolnym od przeczuć świecie przeznaczenie wykonuje wówczas mały krok naprzód.

– Halo! Halo! – głos po tamtej stronie przewodu był znajomy, ale ja, na pół jeszcze śpiący, nie mogłem go z nikim skojarzyć.

– To ty? No więc... powiedz... Chcę się wreszcie dowiedzieć!

Na pewno któryś z przyjaciół, choć nie mogłem go rozpoznać (co za przykry nawyk, żeby nie przedstawiać się od razu).

Przerwałem mu, nawet nie zastanowiwszy się nad tym, co mówi.

– Nie możesz do mnie zatelefonować jutro? – spytałem. – Wiesz, która godzina?

– Pięćdziesiąta siódma i kwadrans – odparł. I zamilkł na dłużej, jakby powiedział za dużo. W istocie nigdy jeszcze nie zanurzyłem się po przebudzeniu w tak przepastną głębię nocy i to mnie jakoś szczególnie podniecało.

– Ale o co chodzi? Co się zdarzyło?

– Nic, nic – rzekł z lekkim zakłopotaniem... podobno... to zresztą nieważne, nieważne... Wybacz.

I odłożył słuchawkę.

Dlaczego zadzwonił o tej porze? I kto to był? Przyjaciel, znajomy – niewątpliwie, ale kto, konkretnie? Nie udało mi się go rozpoznać.

Chciałem wrócić do łóżka, gdy znów zadzwonił telefon. Jeszcze bardziej gwałtownie i stanowczo. Głos inny, nie ten, co poprzednio – szybko się w tym zorientowałem.

– Halo! To ty? No, nareszcie!

Kobieta. Tym razem ją poznałem: Luisa, sympatyczna dziewczyna, sekretarka adwokata, której nie widziałem od lat. Fakt, że usłyszała mój głos, przyniósł jej – jak wyczułem – wielką ulgę. Ale dlaczego? A zwłaszcza dlaczego jest taka ożywiona późną nocą i dlaczego mówi tak nerwowo?

– Co się stało? – zapytałem zniecierpliwiony. – Powiedźże w końcu.

– Och – odrzekła słabym głosem. – Chwała Bogu! Miałam zły sen, wiesz? Sen potworny... Obudziłam się z bijącym sercem... Nie mogłam nawet...

– Ale w czym rzecz? To już drugi telefon tej nocy. Co się dzieje, do licha?

– Przepraszam, przepraszam... Wiesz, jaka jestem bojaźliwa. Idź spać, idź, nie chcę, żebyś się przeziębiał... Ciao.

Połączenie przerwano.

Stałem nieruchomo ze słuchawką w ręku, a meble, choć w świetle elektrycznym wyglądały całkiem normalnie, robiły takie wrażenie, jakby już-już miały zacząć mówić, ale nagle postanowiły zatrzymać wiadomość dla siebie, a nas pozostawić w nieświadomości. Chyba działa się tak za sprawą nocy: w istocie znamy tylko jej niewielką część, reszta nocy jest przeogromna, niezbadana i – w rzadkich przypadkach, kiedy udaje nam się w nią wkroczyć – jesteśmy przerażeni.

Panował jednak spokój i cisza: niemal grobowy sen domów, głębszy niż milczenie wsi. Ale dlaczego tych dwoje do mnie telefonowało? Co chcieli mi przekazać? Wiadomość o niełasce? Może mieli przeczucia, sny złowróżbne?

Bzdury. Wsunąłem się pod prześcieradła, z radością odnajdując wygrzane miejsca. Zgasilem światło: Wyciągnąłem się na brzuchu, w tej pozycji zazwyczaj sypiam.

Wtedy rozległ się dzwonek u drzwi. Dwukrotnie. Terkot wwiercał mi się dosłownie w plecy, w kręgosłup. Coś się zatem wydarzyło lub wydarzy i jest to niechybnie rzecz zgubna (o tak późnej porze), rzecz bolesna albo ohydna. Bez wątplenia.

Serce mi waliło jak młotem. Znów zapaliłem światło w pokoju, ale – przezornie – nie zapaliłem w korytarzu: kto wie, czy nie byłbym z zewnątrz obserwowany przez wąziutką szczelinę w drzwiach.

– Kto tam? – zapytałem siląc się na energiczny ton, głos mi jednak drżał, był głuchy, śmieszny. – Kto tam? – powtórzyłem. Nikt nie odpowiadał.

Z wielką ostrożnością, wciąż po ciemku, zbliżyłem się do drzwi i, pochyliwszy się,

przyłożyłem oko do dziurki od klucza (prawie niewidocznej), przez którą jednak można było coś zobaczyć. Podest był pusty, żadnych ruchomych cieni, schody jak zawsze słabo oświetlone, a to skąpe światło sprawia, że wracający wieczorem lokatorzy odczuwają cały ciężar życia.

– Kto tam? – zapytałem po raz trzeci. Nic. Wtedy usłyszałem jakiś hałas. Nie przy drzwiach ani na podeście i nie na schodach, ale gdzieś niżej, może w piwnicy, i od tego hałasu wibrował cały budynek. Tak, jakby z trudem wleczono coś bardzo ciężkiego (przez wąskie przejście), z mozołem, z ogromnym wysiłkiem. Przypominało to zgrzyt, a towarzyszyło temu – no właśnie... na litość boską! – długie, przeraźliwe skrzypienie, na przykład belki, która zaraz pęknie, lub kleszczy wyrrywających zęb.

Nie mogłem odgadnąć, co to takiego, potem zrozumiałem, że z powodu takiego hałasu telefonowano do mnie i dobijano się do moich drzwi – w ciemnej, tajemniczej głębinie nocy.

Ten powtarzający się, przeciągły odgłos szarpaniny stawał się coraz głośniejszy, jakby się przybliżał. Jednocześnie zaś dostrzegłem ludzi, zwartym tłumem posuwających się schodami w górę. Nie mogłem się oprzeć ciekawości. Bardzo wolno odsunąłem rygiel i uchyliłem drzwi. Wyjrzałem.

Schody (widziałem oba podejścia) były zatłoczone. W szlafrokach i pidżamach, niektórzy boso, mieszkańcy naszego domu stali trzymając się poręczy. Zauważyłem ich przerażone oczy, śmiertelną bladość twarzy i bezruch mięśni, co dowodziłoby, że są sparaliżowani strachem.

– Pst, pst! – rzuciłem przez szparę, nie odważając się wyjść w pidżamie. Pani Arunda z piątego piętra (nawet nie zdążyła zdjąć papilotów) obróciła się ku mnie karcąco:

– Co się dzieje? – szepnąłem (dlaczego jednak nie mówiłem głośno, skoro wszyscy już się obudzili?).

– Pst! – rzekła cicho, tonem osoby zrozpaczonej, której lekarz oznajmił przed chwilą, że ma raka. – Atomowa! – i palcem wskazała na parter.

– Jak to? Atomowa?

– Już ją wnoszą... nam ją przysłano... nam! Niech pan idzie zobaczyć.

Chociaż się wstydziłem, wyszedłem na podest i, wsunąwszy głowę między dwóch nieznanomych mężczyzn, spojrzałem w dół. Wydawało mi się, że widzę czarny przedmiot, jakby olbrzymią skrzynię, wokół której z lewarami i sznurami krzątają się ludzie ubrani od

stóp do głów na niebiesko.

– Czy to ta? – zapytałem.

– A która mogłaby być? – odparł gburowato sąsiad i żeby złagodzić brak uprzejmości, dorzucił: – Wodorowa, wie pan?

Rozległ się krótki, oschły, niewesoły śmiech.

– Wodorowa z Egiptu! Bomba wodorowa, wodorowa! Cholera, najnowszy typ. Jest tyle miliardów ludzi, a przysłano ją właśnie nam, właśnie tu, na ulicę Giuliano, pod ósmy!

Gdy minęło pierwsze, wręcz odrętwiające przerażenie, tłum zgęstniał i jakby się ożywił. Odróżniałem pojedyncze głosy, szloch niewiast, przekleństwa, westchnienia. Jakiś facet pod trzydziestkę płakał bez przerwy i energicznie tupał prawą nogą.

– To niesprawiedliwe – jęczał. – Znalazłem się tu przypadkiem. Jestem przyjezdny. Nie wejdę tam!... Jutro muszę wyjechać!...

Jego skargi były wprost nie do zniesienia.

– A ja jutro – odpowiedział mu szorstko mężczyzna około pięćdziesiątki, zdaje się, że mecenas z ósmego piętra – a ja jutro miałem się raczyć potrawką z jagnięcia, jasne? Z jagnięcia. I nawet jej nie pokosztuję, nie pokosztuję!

Jakaś kobieta zupełnie straciła głowę. Chwyciła mnie za przegub dłoni i potrząsała nią.

– Niech pan spojrzysz, niech pan spojrzysz – rzekła cicho i wskazała na parkę towarzyszących jej dzieci – niech pan spojrzysz na te dwa aniołki. Czy to możliwe? Czy cała ta historia nie woła o pomstę do nieba?

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Było zimno.

Z dołu nadciągał ponury łoskot. Pewnie udał im się manewr ze skrzynią. Znowu spojrzałem w dół. Ohydny przedmiot znalazł się właśnie w kręgu światła. Był ciemnoniebieski, lakierowany, pokryty mnóstwem napisów i nalepek. Żeby go lepiej widzieć, ludzie przewieszali się przez poręcz, co mogło grozić upadkiem. Zmieszane głosy: „Kiedy wybuchnie? Tej nocy?... Mariooo! Mariooo! Obudziłeś Maria? Gisa, przygotowałaś garnki z gorącą wodą?... Dzieci, moje dzieci... Telefonowałaś do niego? Tak, przecież mówię: zatelefonuj. Spytaj, czy nie może nam jakoś pomóc... To absurd, drogi panie, tylko my... I kto to mówi? Jak on się dowie?... Beppe, Beppe, obejmij mnie, proszę, obejmij!...”

Potem modlitwy, litanie. Jedna z kobiet trzymała w ręku zgaszoną świecę.

Nagle obiegła schody jakaś wiadomość z dołu. Świadczyła o tym wzburzona wymiana głośnych uwag. Jakaś dobra wiadomość – można było wnioskować z ożywienia, które ogarnęło ludzi.

– Co takiego? Co takiego? – pytali niecierpliwie ci z góry.

Strzęp po strzępie dotarło w końcu i do nas z szóstego piętra echo tej nowiny.

– Jest adres i nazwisko – mówiono. – Jak to: nazwisko? Tak, nazwisko osoby, która ma otrzymać bombę atomową... Przesyłka na nazwisko, rozumiesz? Nie dla całego domu, nie dla całego domu, tylko dla jednego z lokatorów... nie dla całego domu!

Sprawiali wrażenie oszalałych, śmieli się, obejmowali, ściskali. Potem zwątpienie zmroziło ich entuzjazm. Każdy pomyślał o sobie, martwiono się, naradzano, kłatkę schodową wypełniły histeryczne wrzaski. „Czyje to nazwisko? Nie mogą odczytać... Tak, odczytują... to cudzoziemskie nazwisko – wszyscy pomyśleli o doktorze Stratzu, dentyście z ostatniego piętra. – Nie, nie... to Włoch... Jak? Jak? Zaczyna się na T... Nie, nie... na B jak Bergamo... A dalej? A dalej? Druga litera? U, powiadasz? U jak Udine?”

Wpatrywali się teraz we mnie. Nigdy jeszcze nie widziałem twarzy jaśniejących takim szczęściem, wprost dziko uszczęśliwionych. Ktoś nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem, który skończył się atakiem kaszlu: był to stary Mercalli, sprzedawca używanych dywanów. Skrzynia z piekłem w środku była przeznaczona dla mnie. A pozostali są uratowani.

Co jeszcze zrobi? Cofnąłem się do drzwi. Współlokatorzy popatrzyli na mnie. Z jaką radością patrzyli na mnie. Złowieszcze rżenie skrzyni, którą powoli wnoszono na górę, mieszało się z dźwiękami akordeonu. Z melodią „La vie en rose”.

WIGILIA

Posępny jest dawny pałac biskupi, męką jest przebywanie podczas zimowych nocy w jego gotyckich murach pokrytych saetrą. Przyległa do pałacu katedra jest przeogromna, gdyby ktoś chciał ją obejść, życia mu nie starczy; to wielki zespół kaplic i zakrystii, które, po stuletnim zaniedbaniu, nie są jeszcze dokładnie przebadane. Jak więc spędzi Wigilię wychudzony arcybiskup, gdy zostanie tam w samotności; a miasto będzie świętować? – zastanawiają się ludzie. Jak się obroni przed melancholią? Każdy znajduje w tym dniu jakąś radość: synek dostanie pociąg i pajacyka, córeczka lalkę, mama ma wokół siebie swoje dzieci, chory pocieszy się nową nadzieją, stary kawaler – hulanką, więzień – głosem towarzysza niedoli z sąsiedniej celi. A co pozostaje dla arcybiskupa? Sekretarz jego ekscelencji, żarliwy don Valentino, uśmiechał się słysząc, jak ludzie o tym rozprawiają. Arcybiskup ma w Wigilię Boga. Kapłan klęczy pośrodku zimnej, pustej katedry i zdawałoby się, że można się nad nim litować, ale gdyby wiedziano...! Nie jest sam i nie jest mu zimno, nie czuje się też opuszczony. W Wigilię Bóg wypełnia całą świątynię, ledwie mieści się w nawach, tak że odrzwia z trudem się zamykają; i chociaż brak tu pieca, jest tak ciepło, że stare drewniane białe węże budzą się na historycznych, grobowcach opatów i wypęczają z podziemi przez wietrzniki, łagodnie wysuwają łby zza krat konfesjonałów.

Taka była katedra, wypełniona po brzegi Panem. I don Valentino, mimo iż wiedział, że Bóg jest własnością arcybiskupa, nader chętnie modlił się na arcybiskupim klęczniku. To nie to samo co choinka, indyki i pieniące się wino. To prawdziwa Wigilia. Gdy tak rozmyślał, usłyszał pukanie do drzwi. „Kto może pukać do drzwi katedry w wieczór wigilijny? – zadał sobie pytanie don Valentino. – Czyż się nie namodlili do syta? Co im się stało?” I poszedł otworzyć; wraz z podmuchem wiatru zjawił się na progu żebrak w łachmanach.

– Ileż tu Boga! – wykrzyknął rozglądając się z uśmiechem wokoło. – Jak tu pięknie! Czuje się to nawet na dworze. Monsignore, czy nie mógłbym tu trochę pozostać? Proszę pomyśleć, przecież to wieczór wigilijny.

– Wszystko tu należy do jego ekscelencji arcybiskupa – odparł don Valentino. – Jego ekscelencja żyje w ubóstwie jak święty, nie chcesz chyba, aby teraz zrezygnował również z Boga! Poza tym nigdy nie byłem monsignorem...

– A nie mógłbyś mi coś ofiarować z tej boskości? Tak tutaj dużo wszystkiego! Jego ekscelencja nic nie zauważy!

– Powiedziałem ci, że nie... Idź już sobie... Katedra jest zamknięta dla publiczności – i odprawił żebraka ofiarowawszy mu banknot pięciolirowy.

Ledwie jednak ów nieszczęśnik wyszedł z kaplicy, zniknął też Pan Bóg. Przerażony don Valentino wodził oczyma po ścianach i ciemnych łukach sklepienia. Boga już nie było. Imponujące wnętrza bogate w kolumny, posągi, baldachimy, ołtarze, grobowce, kandelabry, draperie, zazwyczaj tak tajemnicze i potężne, stało się nagle ponure i niegościnne. A za kilka godzin ma nadejść arcybiskup.

Przejęty do głębi don Valentino uchylił skrzydło drzwi i zerknął na plac. Pusto. I tam również, choć to była Wigilia, nie zobaczył śladu Pana Boga. Z tysięcy rozświetlonych okien dobiegały wybuchy śmiechu, brzęk tłuczonych kieliszków, dźwięki muzyki, nawet przekleństwa. Żadnego bicia w dzwony, żadnych śpiewów.

Don Valentino ruszył ciemnymi uliczkami, otoczony zgiełkiem hucznych bankietów. Znał jednak adres właściwego domu. Kiedy tam wszedł, zaprzyjaźniona z nim rodzina siadała już do stołu. Wymieniano życzliwe spojrzenia i było tu trochę Pana Boga.

– Wesołych Świąt, wielbny ojciec – powiedział gospodarz. – Może się ksiądz rozgości?

– Śpieszę się – odparł don Valentino. – Przez moją nierozwagę Bóg opuścił katedrę, a jego ekscelencja uda się tam wkrótce na modlitwę. Nie możecie mi użyczyć waszego Boga? Dopóki jesteście razem, nie jest wam potrzebny aż tak bardzo.

– Drogi don Valentino – odparł nestor rodu. – Chyba ksiądz zapomina, że to Wigilia. Więc moje dzieci miałyby dzisiaj zostać bez Boga? Dziwię się waszej wielbności, don Valentino.

I w chwili kiedy to mówił, Bóg wymknął się z pokoju, przygasły radosne uśmiechy, a smażony kapłon zachrząścił jak piasek między zębami.

Don Valentino zatem znów ruszył w drogę, szedł i szedł pustymi ulicami ciemną nocą, aż w końcu spostrzegł, że zawędrował do rogatek miasta, i w oddali zobaczył

bielejącą pod śniegiem wieś. Ponad polami, ponad wierzchołkami drzew morwowych unosił się Bóg, jakby na kogoś oczekujący. Don Valentino padł na kolana.

– Co też ksiądz robi? – zapytał jakiś wieśniak. – Chce się wasza wielbność nabawić choroby na takim zimnie?

– Spójrz w górę, synu. Nie widzisz?

Wieśniak spojrział w górę, ale się nie zdziwił.

– On jest nasz – powiedział. – W każdą Wigilię przychodzi błogosławić pola.

– Słuchaj – rzekł ksiądz. – Nie mógłbyś się nim podzielić? Zostaliśmy bez niego w mieście, nasze kościoły są puste. Odstąp mi małą cząsteczkę Boga, żeby arcybiskup mógł godnie spędzić Wigilię.

– O, co to, to nie, wielbny ojcze! Kto wie, jakie ohydne grzechy popełniliście w tym waszym mieście. Samiście sobie winni. Do widzenia.

– Grzeszyło się niewątpliwie. Któż jest bez grzechu? Ale możesz, synu, zbawić wiele dusz, jeśli tylko powiesz „tak”.

– Wystarczy mi, że zbawię własną duszę! – uśmiechnął się szyderczo wieśniak, a gdy to mówił, Bóg opuścił pola i zniknął w ciemności.

Don Valentino szedł znów dalej, wciąż szukając. Wydawało mu się, że Boga jest coraz mniej, a ci, którzy jakąś jego drobinę posiadają, nie chcą jej odstąpić (kiedy mówili księdzu „nie”, Bóg natychmiast zaczynał oddalać się powoli).

Tak tedy stanął don Valentino na skraju rozległej łąki, a tuż nad horyzontem łagodnie błyszczał Bóg w kształcie podłużnej chmury. Ksiądz ukląkł na śniegu.

– Zaczekaj, Panie – błagał – z mojej winy arcybiskup został sam, a dziś wieczorem jest Wigilia!

Stopy mu zlodowaciały, błądził we mgle, brnął przez zaspy, raz po raz padał jak długi na ziemi. Czy mu jeszcze sił starczy?

Wreszcie usłyszał rozległy i patetyczny chór anielskich głosów, a promień światła przeciął mgłę. Don Valentino otworzył drewniane drzwiczki: był to ogromny, skąpo oświetlony kościół, pośrodku zaś modlił się jakiś kapłan. Kościół był pełen raję.

– Bracie – jęknął don Valentino u kresu sił, obwieszony soplami lodu – zlituj się nade mną, Z mojej winy arcybiskup został sam i potrzebuje Boga. Proszę, użyj mi trochę Boga.

Modlący odwrócił się powoli. I don Valentino, rozpoznawszy go, zbladł jeszcze bardziej, o ile było to w ogóle możliwe.

– Wesołych Świąt, don Valentino – powitał go arcybiskup otoczony ze wszech stron Panem. – Dokądże to poszedłeś, drogi chłopcze? Chciałbym wiedzieć, czegoś szukał w tę ponurą noc.

SIEDMIU GOŃCÓW

Ruszyłem w drogę, żeby zbadać i przemierzyć królestwo mego ojca; dzień po dniu coraz bardziej oddalam się od miasta, coraz rzadziej otrzymuję stamtąd wieści.

Rozpocząłem podróż mając lat nieco ponad trzydzieści i od tej chwili upłynęło więcej niż osiem lat, dokładnie: osiem lat, sześć miesięcy i dwa tygodnie nieprzerwanego wędrowania. Wyjeżdżając wierzyłem, że wystarczy kilku tygodni, by dotrzeć do granicy, a tymczasem napotykam wciąż nowych ludzi i nowe krainy; ci ludzie mówią moim językiem, ci ludzie twierdzą, że są moimi poddanymi.

Myślę jednak, że busola mego geografa oszalała i przekonani, iż stale idziemy na południe, obracamy się w kółko, przez co nie powiększa się odległość dzieląca nas od metropolii; może z tej to przyczyny nie dotarliśmy jeszcze do granicy.

Ale częściej dręczą mnie wątpliwości, czy ta granica istnieje, może królestwo rozciąga się bez kresu i, posuwając się naprzód, nigdy u celu nie staniemy.

Wyruszyłem w drogę, kiedy miałem lat ponad trzydzieści, może zbyt późno. Przyjaciele i domownicy śmieli się z mego projektu, uważali to za niepotrzebne marnotrawienie najlepszych lat życia. Istotnie, niewielu moich zaufanych zgodziło się mi towarzyszyć.

Chociaż byłem beztroski – dużo bardziej niż obecnie – pomyślałem jednak o tym, żeby podczas podróży utrzymywać więź z najbliższymi, i spośród kawalerów eskorty wybrałem na gońców siedmiu najlepszych. Sądziłem w naiwności ducha, że siedmiu wysłanników to aż nadto. Po pewnym upływie, czasu spostrzegłem, że – wręcz przeciwnie – zastęp ich był śmiesznie mały, a żaden nie zachorował, żaden nie został porwany przez rozbójników, żaden nie zajeździł konia. Wszyscy służyli mi wytrwale i z oddaniem, które jedynie z trudem mógłbym wynagrodzić.

Aby ich łatwiej odróżniać, nadałem im imiona w porządku alfabetycznym: Alessandro, Bartolomeo, Caio, Domenico, Ettore, Federico i Gregorio.

Nie przywykłem być z dala od domu, wysłałem więc do stolicy pierwszego gońca, Alessandra już pod koniec drugiego dnia, gdy mieliśmy za sobą mil osiemdziesiąt. Następnego wieczora, chcąc zapewnić ciągłość kontaktów, wysłałem drugiego, potem

kolejno trzeciego i czwartego, aż wreszcie ósmego wieczora odjechał Gregorio. Pierwszy jeszcze nie wrócił.

Pojawił się dopiero dziesiątego wieczora, gdy rozkładaliśmy się obozem na noc w nie zamieszkaną dolinę. Dowiedziałem się też od niego, że jechał z mniejszą szybkością, niż przewidywałem, sądziłem bowiem, że w pojedynkę, na doskonałym rumaku przybędzie w tym samym czasie drogę dwa razy dłuższą od naszej, on jednak pokonał odległość tylko półtora raza większą; gdy my w ciągu dnia robiliśmy czterdzieści mil, on – ledwie sześćdziesiąt.

Podobnie było z innymi. Bartolomeo wyruszył do miasta trzeciego wieczora, a dołączył do nas piętnastego; Caio wyruszył czwartego, powrócił zaś dopiero dwudziestego. Szybko obliczyłem, że wystarczy pomnożyć dni podróży przez pięć, aby wiedzieć, kiedy wróci wysłannik.

Oddalaliśmy się coraz bardziej od stolicy; podróż liczona w miesiącach stawała się coraz dłuższa. Po pięćdziesięciu dniach przerwa między jednym a drugim powrotem gońców zaczęła się powiększać; początkowo każdy zjawiał się w obozie co pięć dni, teraz ten odstęp wzrósł do dni dwudziestu pięciu; coraz słabszy zatem stawał się głos mojego miasta; upływały całe tygodnie, a ja nie miałem stamtąd żadnych wieści.

Upłynęło aż sześć miesięcy – już minęliśmy góry Fasani – a przerwa między jednym a drugim powrotem gońców zwiększyła się do dobrych czterech miesięcy. Dostarczali mi przedawnionych wiadomości, odbierałem od nich pomięte koperty, niekiedy z plamami wilgoci, bo noce spędzali pod gołym niebem.

Ruszaliśmy dalej. Na próżno usiłowałem przekonać siebie, że obłoki szybujące w górze są takie same jak w czasach mego dzieciństwa, że niebo nad odległą stolicą nie jest inne niż błękitna kopuła nad moją głową, że taki sam jest podmuch wiatru i śpiew ptaków. Obłoki, niebo, powietrze, wiatr, ptaki ukazywały mi rzeczywistość nową, odmienną, a ja czułem się obco.

Naprzód! Naprzód! Od włóczęgów na równinach słyszeliśmy, że granica już niedaleko. Nakłaniałem moich ludzi, by rezygnowali z wypoczynku, ganiłem ich za tchórzliwe uwagi. Minęły cztery lata od naszego wyjazdu, cztery lata wysiłku i trudu. Stolica, dom, ojciec – wszystko to wydawało się dziwnie dalekie, już prawie nie wierzyłem, że istnieje. Co najmniej dwadzieścia miesięcy milczenia i samotności upływało obecnie między powrotem kolejnych gońców. Przywozili ciekawe, pożółkłe ze

starości pisma; odnajdowałem w nich zapomniane nazwiska i wyrażenia, raziły mnie swoją niezwykłością i pogrążały w chaosie uczuć. Następnego ranka, ledwie jedną noc poświęciwszy na wypoczynek, goniec wyruszał przed nami, w kierunku przeciwnym, by zawieść do miasta listy, które wcześniej przygotowywałem.

Tak oto upłynęło osiem lat i pół roku. Tego dnia, gdy samotnie jadłem wieczerzę w namiocie, wszedł Domenico, który mimo skrajnego wyczerpania potrafił jeszcze zdobyć się na uśmiech. Niespełna siedem lat go nie widziałem. Przez cały ten czas był w drodze, jechał przez łąki, lasy i pustynie, niezliczoną ilość razy zmieniał konie, żeby przywieźć mi plik kopert, których teraz nie miałem nawet ochoty otworzyć. Domenico poszedł spać i miał stawić się nazajutrz o świcie.

Pojedzie zatem po raz ostatni. Obliczyłem bowiem według notatek, że jeśli nie wydarzy się nic szczególnego i nic nie zakłóci jego i mojej podróży, to spotkamy się obaj po trzydziestu czterech latach. Będę wtedy siedemdziesięciodwuletnim starcem. Ale ja już zaczynam odczuwać zmęczenie i prawdopodobnie śmierć nie pozwoli mi doczekać... I nigdy nie zobaczę Domenica.

Po trzydziestu czterech latach (może wcześniej) Domenico ukaże się nagle w blasku ognisk naszego obozu i zada sobie pytanie: dlaczego przez ten czas zrobiłem tak mało drogi? Ten doskonały goniec wejdzie – jak dziś wieczorem – do namiotu z plikiem pożółkłych listów zawierających absurdalne wiadomości o pogrzebanym czasie; ale zatrzyma się na progu, widząc, że leżę nieruchomo na legowisku, martwy, a obok dwóch żołnierzy z pochodniami.

A więc jedź, Domenico, i nie mów mi, żem okrutny. Zawieź ostatnie pozdrowienie miastu, w którym się urodziłem. Jesteś ostatnią więzią ze światem, który kiedyś był również moim światem. Najświeższe wiadomości wskazują, jak wiele zaszło tam zmian; ojciec umarł, korona przeszła w ręce starszego brata, mnie uważają za straconego; pobudowano wysokie kamienne pałace w miejscu, gdzie przedtem rosły dęby, pod którymi lubiłem się bawić. Ale jest to po dawnemu, na zawsze, moja stara ojczyzna.

Jesteś ostatnią moją więzią z nimi, Domenico. Piąty wysłannik, Ettore, który wróci do mnie, jeśli Bóg pozwoli, za rok i osiem miesięcy, nie będzie już mógł wyruszyć do stolicy, bo zabrakłoby mu czasu na powrót. Po tobie nastanie milczenie, Domenico, chyba że w końcu znajdę wytęsknioną granicę. Ale im dalej posuwam się naprzód, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że granica nie istnieje.

Podajrzewam, że granica nie istnieje, przynajmniej w tym znaczeniu, jakie zwykliśmy jej nadawać. Nie ma murów ani obwarowań, ani dolin dzielących państwa, ani gór zamykających przejście. Prawdopodobnie przejdę na drugą stronę nie zauważywszy nawet linii granicznej i będę nadal kroczył naprzód, nic o tym nie wiedząc.

Dlatego myślę, że Ettore i następni posłańcy, gdy mnie znowu odnajdą, nie wyruszą już do stolicy, lecz podążą dalej, przede mną, abym mógł wiedzieć, co mnie czeka.

Od pewnego czasu ogarnia mnie wieczorem dziwny niepokój i nie jest to już żal za minioną radością, jaką odczuwałem na początku wyprawy; jest to raczej niecierpliwa chęć ujżenia nie znanych krain, ku którym zmierzam.

Jadę i robię notatki – z czego nie zwierzałem się nikomu – jadę notując, jak to z każdym dniem, z każdą chwilą zbliżam się do niepojętego celu; kiedy to na niebie rozbłyśnie niezwykle światło, jakiego nigdy nie widziałem nawet w snach; mijane lasy, góry i rzeki wydadzą się stworzone z całkiem innej substancji niż rodzime, a powietrze podszeptnie mi przepowiednie, których obecnie nie umiem wypowiedzieć.

Nowa nadzieja pociągnie mnie jutro jeszcze dalej, w stronę niezbadanych gór, osłoniętych mrokiem nocy. Jeszcze raz zwinę obóz i jeszcze raz Domenico zniknie za przeciwległym horyzontem, żeby zawieźć bardzo odległemu miastu moje niepotrzebne przesłanie.

LIST MIŁOSNY

Zakochany Enrico Rocco, trzydziestojednoletni kierownik administracji w przedsiębiorstwie handlowym, zamyka się w swoim gabinecie i myśli o swej najdroższej tak intensywnie i z taką udręką, że w końcu budzi się w nim odwaga. Pokonuje więc dumę i nieśmiałość: napisze do niej.

„Szanowna Pani” – zaczyna i wyobrażając sobie, jak ona czyta literki stawiane przez pióro na papierze, czuje gwałtowne łomotanie własnego serca.

„Miła Ornello, Duszo Najdroższa, Światłości moich oczu, Płomieniu, który mnie spała, Obsesjo nocy, Uśmiechu, Kwiatuszku, Kochanie...”

Wchodzi goniec Ermete:

– Przepraszam, panie Rocco, ktoś do pana przyszedł. – Rocco rzuca okiem na bilet wizytowy. – Nazywa się Manfredini.

– Manfredini? Cóż to za jeden? Pierwszy raz słyszę... A zresztą brak mi czasu, mam bardzo pilną robotę. Niech się zgłosi jutro albo później.

– Wydaje mi się, panie Rocco, wydaje mi się, że to krawiec, chyba chodzi tu o przymiarkę...

– Ach, Manfredini! Dobrze, powiedz mu, żeby wpadł jutro.

– Tak jest, ale on mówi, że pan go wezwał.

– To prawda, prawda – wzdycha Rocco – w złą porę przyszedł, powiedz mu, żeby się pośpieszył. Ma się uwinąć w dwie sekundy.

Wchodzi krawiec Manfredini z garniturem Rocca. Przymiarka, jeśli tak to nazwać można – marynarkę ledwie włożył, już zdejmuje – trwa akurat tyle czasu, ile zrobienie paru znaków kredą.

– Niech mi pan wybaczy, ale mam bardzo pilną robotę. Do widzenia, Manfredini.

Szybko wraca do biurka, pisze dalej: „Święta Duszo, Wzniosła Istoto, gdzie jesteś w tej chwili? Co robisz? Myślę o Tobie z taką mocą, że niemożliwe jest, by moje uczucie nie dotarło do ciebie, jeśli nawet jesteś bardzo daleko, choćby i na przeciwległym krańcu miasta, które wydaje mi się wyspą zagubioną na morzu...” Dziwne – myśli – jak to się

dzieje, że ja, człowiek konstruktywny, specjalista od organizacji handlu, zacznę nagle pisać podobne rzeczy? Może to rodzaj szaleństwa?

Stojący obok telefon zaczyna dzwonić. Rocco czuje się tak, jakby jego ciało przecinała w pół lodowata żelazna piła. Nabiera w płuca powietrza:

– Halo?

– Ciao – odzywa się kobiecy głosik leniwy i miauczący. – Cóż to za ton? Żle trafiłam, no, powiedz. Tak mi się zdaje.

– Kto mówi? – pyta.

– Och, ależ jesteś dzisiaj nieznośny, uważaj...

– Kto mówi?

– Poczekaj przynajmniej, żeby ci...

Rocco odkłada słuchawkę, bierze znów pióro do ręki.

„Posłuchaj, Kochanie – pisze – na dworze mgła, wilgoć, zimno, czuć naftą i spalinami, ale wiesz, że ja tej mgle zazdroścę? Mógłbym być w nią...”

Dzyń, telefon. Rocco podskakuje jak pod działaniem dwustu tysięcy wolt.

– Halo?

– Ależ Enrico – głos ten sam co poprzednio – przyjechałam specjalnie do miasta, żeby się z tobą zobaczyć, a ty...

Rocco słabnie: to cios. Dzwoni jego kuzynka Franca, miła dziewczyna, nawet powabna; od kilku miesięcy trochę go kokietująca – kto wie, co ona sobie wyobraża. Kobiety są nieprawdopodobnie romansowe. Oczywiście, nie wypada tak od razu jej odprawiać.

Ale Rocco trzyma się twardo. Byle tylko skończyć list. Jedyne to sposob na stłumienie ognia, którym płonie. Pisząc do Ornelli ma wrażenie, że wchodzi niejako w jej życie; może Ornella przeczyta uważnie aż do końca ten list, uśmiechnie się, może schowa do torebki ów arkusik pokryty bezsensownymi słowami, może za kilka godzin znajdzie się on w jej torebce wśród pełnych wdzięku pachnących perfumami drobiazgów, koło szminki do ust, haftowanej chusteczki, zagadkowych przedmiotów nasyconych niepokojącą intymnością. A tu wchodzi mu w paradę Franca.

– Słuchaj, Enrico – ciągnie rozwlekły głos – chcesz, żebyśmy przyszła do twego biura?

– Nie, nie, wybaczone, mam dużo pracy.

– Tylko nie praw mi komplementów; jeśli cię nudzę... wiem, nie musisz mówić. Do widzenia.

– Boże, jak ty to przyjmujesz! Jestem zajęty, powtarzam. Przyjdź później.

– Później, to kiedy?

– Przyjdź... no, za jakieś dwie godziny.

Rocco rzuca słuchawkę na widełki, zdaje mu się, że stracił mnóstwo bezcennego czasu, list musi być w skrzynce o pierwszej, bo jeśli nie, to dotrze do miejsca przeznaczenia o dzień później. Nie chce wysłać go ekspresem.

„...zamieniony – pisze – kiedy myślę, że mgła otacza twój dom i faluje przed twym oknem, więc gdyby miała oczy (kto wie, może nawet mgła widzi), mogłaby Cię podziwiać przez szybę. I czy nie chciałabyś, żeby tam była szparka, delikatna szczelina, przez którą mógłby się tam wcisnąć leciutki jak bawełna powiew, żeby Cię pieszczotą obdarzyć? Tak mało wystarcza mgłę, tak mało wystarcza miło...”

Goniec Ermete znów na progu:

– Przepraszam...

– Już ci powiedziałem: mam pilną pracę, nie ma mnie dla nikogo, niech przyjdą wieczorem.

– Ale...

– Ale co?

– Przed gmachem w samochodzie czeka na pana komandor Invernizzi.

Niech to лихо, Invernizzi, wizja lokalna w sklepie, gdzie wybuchł pożar, spotkanie z ekspertami, niech to лихо, całkiem o tym zapomniał! Przecież to nie święci, będą się niecierpliwić.

Piekący ból w okolicy mostka staje się wręcz nie do zniesienia. Wykręcić się chorobą? Nie sposób. Poprzestać na tym, co napisał? Ale skoro ma jeszcze tyle rzeczy do powiedzenia, tyle ważnych rzeczy? Bierze płaszcz – i jazda! Trzeba się śpieszyć. Może wróci z pomocą Bożą za pół godziny.

Gdy wrócił, była za dwadzieścia pierwsza. Mijając poczekalnię zobaczył tam kilku klientów. Ciężko dysząc zaryglował się w gabinecie, siadł przy biurku i otworzył szufladę – listu nie było. Aż mu dech zaparło. Kto szperał w jego biurku? A może on sam się myli? Gwałtownie wysuwał szuflady jedną po drugiej.

Chwała ci, Panie! To zwykłe roztargnienie: list leży na swoim miejscu. Ale już nie zdąży go nadać przed pierwszą. Chwała Bogu – a różne myśli (choć kwestia jest tak prosta i banalna) kłębią mu się w głowie podsycając na przemian to nadzieje, to obawy. Chwała Bogu, list odejdzie wieczorem, jeśli wyśle go ekspresem, chyba że... jeszcze lepiej: da go Ermetowi do zaniesienia; nie, nie, nie należy mieszać gońca w sprawę tak delikatną: zanieś więc list osobiście.

„... łości – pisze – żeby pokonać przestrzeń i przekro...”

Drrr, telefon, dzwoni jak wściekły. Lewą ręką, nie odkładając pióra, Rocco zdejmuje słuchawkę,

– Halo? Halo, tu sekretariat Jego Ekscelencji Tracchiego.

– Słucham, słucham.

– Chodzi o pozwolenie na import, dotyczy dostawy lin do...

Przygwożdżony. Od tej ważnej transakcji zależy jego przyszłość. Rozmowa trwa dwadzieścia minut.

„... czyć – pisze – mur chiński. Och, droga Orn...”

I znowu goniec na progu. Rocco atakuje go z furią.

– Zrozumiałeś czy nie, że nie mogę nikogo przyjąć?...

– Ale to insp...

– Nikogo, nikogooo! – ryczy w uniesieniu.

– Inspektor finansów... powiada, że jest umówiony.

Rocco czuje, że opuszczają go resztki siły. Odesłać z kwitkiem inspektora, toć to szaleństwo, rodzaj samobójstwa, ruina. Każe prosić inspektora.

Trzydzieści pięć minut po pierwszej. Kuzynka Franca czeka od trzech kwadransów. Potem zjawia się inżynier Stolz, specjalnie przybyły z Genewy. Potem adwokat Mesumeci w sprawie tragarzy. Potem pielęgniarka, która codziennie przychodzi na zastrzyki.

„... Och, droga Ornello...” – pisze z desperacją rozbitka, którego zalewają coraz większe, coraz bardziej przygniatające fale morskie.

Telefon. „Tu komandor Stazi z Ministerstwa Handlu”. Telefon. „Tu sekretariat Konfederacji Monopoli...”

„Och, moja droga Ornello – pisze – chciałbym, żebyś wiedzia...”

Goniec Ermete na progu zapowiada doktora Bi, wiceprefekta.

„... ła – pisze – kie...”

Telefon. „Tu szef Sztabu Generalnego”. Telefon. „Tu osobisty sekretarz Jego Eminencji arcybiskupa...”

„...dy Cię zo...” – pisze gorączkowo ostatkiem sił.

Drr, drr, telefon. „Tu prezes Sądu Odwoławczego”. „Halo, halo!” „Tu Rada Najwyższa, łączę z senatorem Cormorano”. „Halo, halo!” „Tu pierwszy adiutant polowy Jego Wysokości Cesarza...”

Przewrócony, zalany przez fale.

– Halo, halo! Tak, to ja, dziękuję, Ekscelencjo, jestem nieskończenie zobowiązany. Ależ natychmiast, natychmiast, tak, panie generale, postaram się, oczywiście, i stokrotne dzięki... Halo, halo! Naturalnie, Wasza Wysokość, naturalnie, z najwyższym szacunkiem (pióro wypada mu z ręki, toczy się wolno aż do krawędzi biurka, łapie na chwilę równowagę, spada pionowo w dół wbijając się stalówką w podłogę i tam leży)... Proszę usiąść, proszę, ale nie, jeśli „wolno... proszę usiąść w fotelu, będzie wygodniej, co za nieoczekiwany zaszczyt, absolutnie, dokładnie. Och, dziękuję, może kawy, papierosa?...

Jak długo trwał ów zamęt? Godziny, dni, miesiące, tysiąc lat? Wraz z zapadnięciem nocy Rocco znalazł się nareszcie sam.

Zanim jednak opuścił gabinet, próbował nieco uporządkować stertę notatek, akt, projektów, protokołów zalegających biurko. Pod ogromnym stosem papierzysk trafił na zapisaną ręcznie kartkę bez tytułu. Poznał własne pismo. Przeczytał zaciekawiony.

– Co za brednie, co za idiotyzmy! Kiedy ja to napisałem? – zadawał sobie pytania i ze znużeniem, na próżno, szukał w pamięci uczucia, którego nigdy nie doznał; gładził dłonią włosy, już posiwiałe. – Kiedy mogłem napisać podobne bzdury? I kim właściwie była ta Ornella?

DEFILADA

W paradzie wojskowej z okazji rocznicy niepodległości po raz pierwszy wzięła udział jednostka broni atomowej.

Był pogodny, choć szary dzień lutowy, mdłe światło rozjaśniało zakurzone fasady pałaców przy ulicy udekorowanej flagami. Potężne samochody pancerne, otwierające defiladę, z hałasem sunęły po kamiennym bruku i w tłumie, który mnie otaczał, nie wywoływały zwykłego podniecenia. Skąpe oklaski powitały jakby od niechcienia te imponujące wozy najeżone lufami armat i załogę – wspaniałych żołnierzy w kaskach ze skóry i stali. Wszystkie spojrzenia jednak kierowały się w stronę niżej położonego Placu Parlamentu, skąd rozpoczynał się pochód.

Trzy kwadranse mniej więcej, trwał ten ogłuszający widzów popis samochodów pancernych. W końcu ostatni mastodont oddalił się ze straszliwym łoskotem i jezdnią opustoszała. Zaległa cisza, słyszeć było tylko łopotanie flag na balkonach.

Dlaczego nic się nie dzieje? Odgłos wozów bojowych zamarł w dali wśród niewyraźnego echa fanfar, a pusta ulica wciąż czekała. Czyżby nastąpiła jakaś zmiana rozkazów?

Ale oto z głębi, bez najmniejszego szmeru zbliżała się jakaś machina, za nią druga, trzecia i mnóstwo innych. Każda miała cztery gumowe koła, ale nie były to samochody osobowe ani ciężarówki, ani transportery opancerzone, ani żadne znane nam pojazdy. Były to cudaczne wehikuły i właściwie wyglądały dość tandetnie.

Stałem w jednym z pierwszych rzędów i mogłem im się spokojnie przyjrzeć. Kształtem przypominały kuchnie polowe, rondle, rury, katafalki, żeby dać jakieś przybliżone o nich pojęcie. Niewielkie, niezbyt mocne, z obudową, która często uszlachetnia najmarniejsze aparaty. Metalowe pokrowce na kadłubie robiły wrażenie solidnych, prawie solidnych; pamiętam też rodzaj bocznego, nieco spłaszczonego okienka, którego nie można było domknąć i które telepało się z blaszanym łoskotem. Żółtawy kolor i dziwaczne zielone zygzaki przywodziły na myśl paprocie używane do maskowania obiektów. Żołnierze rozmieszczeni byli po dwóch w tylnej części wehikułu i przeważnie widziało się ich tylko do połowy. Zwyczajne mundury, hełmy i broń; regulaminowe kara-

binki automatyczne, które się nosi dla ozdoby, tak jak jeszcze niewiele lat temu szable i lance noszone przez kawalerzystów.

Duże poruszenie w tłumie wywołała natomiast absolutna cisza, w jakiej parły naprzód te dziwolągi poruszane niewątpliwie nieznaną energią, a zwłaszcza wygląd załogi. Nie byli to sprawni, wysportowani młodzieńcy jak ci z wozów pancernych, nie byli opaleni, nie uśmiechali się z prostoduszną arogancją ani nawet nie zachowywali sztywnej żołnierskiej postawy. Byli przeważnie szczupli, w typie studentów filozofii, mieli wysokie czoła i wydatne nosy, wszyscy ze słuchawkami telegrafistów, wielu w masywnych okularach. I chyba nie zdawali sobie sprawy, że służą w wojsku. Na ich twarzach malowała się uległość i niepokój. Ci, którzy nie byli zajęci manewrowaniem, spoglądali dokoła wzrokiem niepewnym i apatycznym. Tylko kierowcy przy skrzynce biegów w pewnym sensie odpowiadali oczekiwaniom tłumu: głowy ich otaczało coś w rodzaju ekranu z przezroczystej materii w kształcie szerokiego kielicha, co przywodziło na myśl zwierzęce łby.

Pamiętam, że w drugim lub trzecim wehikule jakiś mężczyzna, przypuszczalnie oficer, siedział wyżej od nich. Nie patrzył na tłum, odwrócony do niego tyłem kontrolował resztę pojazdów, jak gdyby się obawiał, że zabłądzą.

– Pokaż, co umiesz, Rigoletto! – krzyknął ktoś z balkonu. Oficer podniósł wzrok i z wymuszonym uśmiechem pozdrowił go ruchem ręki.

Owe blaszane pudła, o których wiadano, że posiadają piekielną siłę niszczenia, wywoływały przerażenie przez swój niepozorny wygląd. Chcę tu powiedzieć, że gdyby były bardziej imponujące, nie ogarnąłby nas tak wielki, bliżej nieokreślony strach. Tym też tłumaczy się zatrwożone milczenie tłumu. Nie było oklasków ani okrzyków: „Niech żyją!”.

W tej ciszy wydało mi się... jakby to powiedzieć?... że z tajemniczych pojazdów dobywa się słaby, rytmiczny dźwięk. Coś jakby nawoływanie się niektórych ptaków przed odlotem, ale ptaków nie było. Dźwięk najpierw delikatny, potem coraz głośniejszy, utrzymany zawsze w tym samym rytmie.

Przyglądałem się oficerowi. Widziałem, jak zdejmuje słuchawki telegrafisty i żywo rozmawia z kolegą siedzącym niżej. Zauważyłem także, że załogi innych maszyn przejawiają pewną nerwowość. Jakby działo się coś poza ustalonym porządkiem rzeczy.

Wtedy to właśnie rozszczękały się psy w okolicznych domach. A że we wszystkich oknach tłoczyli się ludzie i prawie wszystkie były otwarte na oścież, ujadanie psów niosło się przeciągłym echem po ulicy. Co się tym zwierzętom stało? Kogo tak gwałtownie wzywają na pomoc? Oficer zrobił gest zniecierpliwienia.

Kątem oka dostrzegłem, że coś się poruszyło za moimi plecami, coś ciemnego. Odwróciłem się i zdążyłem zauważyć kilka myszy, które wysliznąwszy się z okienka piwnicy uciekały w popłochu.

Jakiś starszy pan, stojący obok, wycelował wskazującym palcem w niebo. Wtedy zobaczyliśmy, że z wehikułów atomowych pośrodku ulicy wzbijają się w górę dziwne kolumny czerwonego pyłu, podobne do powietrznych trąb tornada, ale całkiem sztywne, nieruchome. W ciągu paru sekund zgęstniały przybierając kształt geometryczny. Trudno to opisać: wyobraźcie sobie słup dymu w dużym kominie fabrycznym, ale bez komina. Potem niepokojące kolumny zwartego pyłu, niczym zjawy, ukazały się na wysokości trzydziestu metrów, ponad dachami pałaców, i tam, wysoko, między jednym a drugim szczytem kolumn utworzyły się jakby mosty z tej samej mgławicowej materii koloru sadzy. W ten sposób powstała osnowa z gigantycznych, drętowych cieni, rozciągająca się jak okiem sięgnąć wzdłuż defilujących oddziałów. Zamknięte w domach psy wciąż ujadają.

Co się stało? Wehikuły zatrzymały się, oficer zeskoczył na ziemię i pomaszerował na tyły, wykrzykując jakieś niezrozumiałe rozkazy, chyba w obcym języku. Żołnierze, ze źle ukrywaną obawą, krzątali się wokół swych maszyn.

Minarety mgły i pyłu – oczywista emanacja wozów atomowych – wisiały wysoko nad tłumem z wyraźnie zaznaczonymi konturami: złowrogi widok. Kolejne stadko myszy wymknęło się z okienka piwnicy i rzuciło się do panicznej ucieczki. Dlaczego te wieżyczki zwiastujące nieszczęście nie kołysały się na wietrze jak sztandary?

Chociaż już zaniepokojony, tłum jeszcze milczał. W domu przede mną, na trzecim piętrze, nagle otworzyło się okno i ukazała się w nim młoda rozczochrana kobieta. Stała chwilę bez ruchu, wpatrzona w wierzchołki tajemniczych słupów mgły i w powietrzne mosty, które je złączyły. Przerażona złapała się za głowę i rozpaczliwy okrzyk wydarł się jej z gardła: „Matko Boska! Och, Matko Boska!”

Co za głos! Usiłowałem trzymać się w ryzach, zacząłem się wycofywać. Widziałem jeszcze wojskowych kręcących się przy pojazdach, jak gdyby nie udawało im się

zapanować nad maszynami (później zrozumiałem, że chociaż bladzi i brzydcy, i oni także byli żołnierzami). Czy aby zdążyć? Najpierw z pośpiechem, ale tak, by nie zwracać na siebie uwagi, potem coraz szybciej przebijałem się przez tłum i wreszcie wbiegłem w boczną uliczkę.

Za plecami usłyszałem wrzask ludzi przejętych grozą, ogarniętych paniką. Dopiero kiedy znalazłem się o jakieś trzysta metrów dalej, odważyłem się obejrzeć: ponad czarną, zbitą masą uciekającego z dzikim wrzaskiem tłumu dyndały teraz wieżyczki z czerwonym cieniem; w ostatecznym, rzekłbyś, wysiłku wykrzywiały się mosty, które je łączyły. Ich ślepy ruch nabierał tempa, stawał się gwałtowny. I nagle potworny ryk wstrząsnął domami.

Potem stało się to, o czym wszyscy wiedzą.

POLOWANIE NA SMOKA Z FALKONETEM

W maju 1902 pewien chłop z włości hrabiego Gerola, niejaki Giosue Longo, który często polował w górach, powiedział, że w dolinie Secca widział potężne, dziwaczne zwierzę wyglądające na smoka. W wiosce Palissano na krańcach tej doliny od wieków krąży legenda, że gdzieś tam w pustynnych wąwozach żyje do dziś jeden z potworów. Ale nikt nigdy nie brał tego poważnie. Tym razem natomiast powszechnie znany rozsądek Longa, dokładność, z jaką opisywał szczegóły swej przygody, wielokroć powtarzając je bez żadnych zmian, nasuwały przypuszczenie, że musi w tym być ziarenko prawdy, i hrabia postanowił przekonać się o tym na własne oczy. Nie myślał, naturalnie, o smoku; mogło się jednak zdarzyć, że w owych nie zamieszkanym wąwozach uchował się jakiś bardzo rzadki okaz dużego węża.

Towarzyszyli mu w wyprawie: gubernator prowincji, Quinto Andronico, z żoną, piękną i nieustraszoną Marią, oraz profesor przyrodnik Inghirami ze swym kolegą Fustim, specjalistą od sztuki balsamowania. Gubernator, człowiek słabowity i sceptyczny, od dawna już zdawał sobie sprawę, że Maria darzy Gerola wielką sympatią, ale się tym nie przejmował, toteż chętnie się zgodził, gdy mu zaproponowała wspólne z hrabią polowanie na smoka. Nie był o Martina zazdrosny i nie żywił do niego urazy, chociaż hrabia był dużo młodszy, przystojniejszy, silniejszy, odważniejszy i bogatszy od niego.

Dwa powozy, eskortowane przez ośmiu konnych myśliwych, wyjechały z miasta wkrótce po północy i dotarły do Palissano rankiem około szóstej. Gerol, piękna Maria i obaj przyrodnicy jeszcze spali; czuwał tylko Andronico, który kazał zatrzymać powóz przed domem swego starego znajomego, doktora Taddei. Obudzony przez stangreta, zaspany lekarz, w szlafmicy na głowie, ukazał się w oknie pierwszego piętra; stojący na dole Andronico powitał go radośnie i zapoznał z celem eskapady; spodziewał się, że doktor skwituje śmiechem bajkę o smoku. Tymczasem, wprost przeciwnie, Taddei potrząsnął głową z dezaprobatą.

– Na pana miejscu nie szedłbym tam – rzekł zdecydowanie.

– Dlaczego? Myśli pan, że tam nic nie ma? Że to wierutne bzdury?

– Tego nie wiem – odparł doktor. – Skłonny jestem nawet uwierzyć w istnienie smoka, chociaż nigdy go nie widziałem. Ale nie wdawałbym się w takie przedsięwzięcie. To źle wróży.

– Źle wróży? Chce pan przez to powiedzieć, doktorze, że naprawdę wierzy pan w smoka?

– Jestem stary, drogi gubernatorze – rzekł lekarz – i dużo już widziałem. Możliwe, że są to bujdy, ale mogą też okazać się prawdą; na pańskim miejscu wolałbym z tym nie mieć nic wspólnego. Zresztą... niech pan posłucha: drogę trudno znaleźć, góry są zwietrzałe, po częstych lawinach wystarczy podmuch wiatru, żeby rozpętać istne piekło, i nigdzie tam nie ma kropli wody. Dajcie temu spokój, panowie, wybierzcie się lepiej na Crocettę – i wskazał okrągły zielony szczyt dominujący nad wioską – jest tam co niemiara zajęcy. – Milczał chwilę i dodał: – Tak, ja bym z pewnością nie poszedł. Słyszałem kiedyś... ale pan mnie wyśmiejie...

– Dlaczego miałbym się śmiać?! – wykrzyknął Andronico. – Niech pan powie, proszę, niech pan powie.

– No dobrze. A więc niektórzy tutejsi ludzie twierdzą, że smok ziejie dymem i że ten dym jest trujący; niewielka jego ilość może spowodować śmierć.

Niepomny swej obietnicy Andronico wybuchnął gromkim śmiechem.

– Zawsze wiedziałem, że pan wierzy w gusła – rzekł – że jest pan dziwny i zacofany. Tym razem jednak przekroczył pan wszelkie granice. Jest pan rodem ze średniowiecza. Do widzenia, do zobaczenia wieczorem, wrócimy z głową smoka.

Machnął ręką na pożegnanie, wsiadł do powozu i kazał ruszać. Giosue Longo, który należał do nagonki i znał drogę, wysunął się na czoło orszaku.

– Czemu ten staruszek tak kręcił głową? – zapytała piękna Maria, która się tymczasem obudziła.

– Ech, nieważne – odparł Andronico. – Ten pocziwiec Taddei był swego czasu weterynarzem. Rozmawialiśmy o pryszczycy u bydła.

– Nie o smoku? – wtrącił się hrabia Gerol siedzący naprzeciwko. – Nie zapytałeś go, czy coś słyszał o smoku?

– Szczerze mówiąc, nie – rzekł gubernator. – Nie chciałem wystawiać się na kpiny. Powiedziałem tylko, że wybraliśmy się na polowanie, to wszystko.

Gdy słońce podniosło się wyżej, podróżni otrząsnęli się z senności, jeźdźcy ponaglili konie, stangreci zaczęli podśpiewywać.

– Taddei był naszym lekarzem domowym – podjął Andronico. – Miał znakomitych pacjentów. No i kiedyś, po zawodzie miłosnym, przeniósł się na wieś. Później spotkało go chyba nowe nieszczęście, skoro zapuścił się aż tutaj. Niechby mu się znów coś złego przytrafiło, a diabeł wie, gdzie się zaszyje. W końcu i on upodobni się do smoka.

– Co za głupstwa – odezwała się Maria, wyraźnie zdenerwowana. – W kółko tylko smok i smok, zaczyna już być nudna, cała ta gadanina. Odkąd wyjechaliśmy, o niczym innym nie mówicie.

– Przecież to ty chciałaś jechać – zauważył mąż słodko-kwaśnym tonem. – Poza tym nie mogłaś słyszeć naszej rozmowy, bo spałaś. A możeś tylko udawała?

Maria zbyła to milczeniem i zaczęła niespokojnie wyglądać przez okno. Patrzyła na góry, które wydawały się coraz wyższe, coraz bardziej niedostępne, pustynne. W głębi doliny widać było spiętrzone chaotycznie szczyty, przeważnie stożkowate, nagie, nie porośnięte nawet trawą, żółtawe; zalane słońcem świeciły jeszcze ostrzejszym blaskiem.

Zbliżała się godzina dziesiąta, gdy orszak stanął: tu kończyła się droga. Mężczyźni wysiedli z powozów i zorientowali się, że są w samym środku posępnych gór. Z bliska można się było przekonać, że są zwietrzałe, kruche, jakby pokryte miłkim żwirem – od szczytów do podnóży jedno wielkie piarżysko.

– Tutaj zaczyna się ścieżka – rzekł Longo wskazując ledwo dostrzegalny, wydeptany ludzkimi stopami szlak biegnący w górę od wylotu małego wąwozu. W trzy kwadransy można było stąd dojść do kotliny Burel, w której rzekomo przebywał smok.

– Czy mamy wodę? – spytał Andronico.

– Mamy cztery butelki wody i dwie flaszki wina, Ekscelencjo – odpowiedział jeden ze strzelców. – Chyba wystarczy...

Dziwne. Obecnie, gdy znaleźli się daleko od miasta, otoczeni ze wszystkich stron górami, myśl o istnieniu smoka zaczęła im się wydawać mniej nedorzeczna. Rozglądali się wokół nie dostrzegając niczego, co mogłoby ich uspokoić. Żółtawe granie wyglądały tak, jak gdyby nigdy nie zjawiała się tu żywa dusza; ciasne wąwozy przecinające dolinę miały tyle zakrętów, że trudno było dostrzec, dokąd wiodą: bezmiar samotności.

Ruszyli ścieżką w milczeniu. Przodem myśliwi z bronią – falkonety, strzelby i różny sprzęt łowiecki – za nimi Maria, na końcu dwaj przyrodnicy. Ścieżka, na szczęście,

biegła po stronie zacienionej; blask słońca, odbity od żółtawych skał, byłby prawie nie do zniesienia.

Wąwóz, prowadzący do kotliny Burel, był wąski i kręty, po dnie nie płynął żaden strumyk; na zboczach ani zarośli, ani ziół; wszędzie odłamki skalne i drobne kamienie. Nie słyszało się tu nawet świergotu ptaków ani szmeru wody, nic, tylko czasem grzechot osuwających się piargów.

Kiedy myśliwi posuwali się tak z wolna naprzód, w dole ukazał się jakiś chłopiec z zabita kozą na plecach i szybkim krokiem zbliżał się ku nim.

– Idzie do smoka – oznajmił Longo tonem naturalnym, bez cienia drwiny. Ludzie z Palissano, wyjaśnił, są niezwykle zabobonni: co dzień posyłają kozę do kotliny Burel, żeby udobruchać smoka. Daninę niosą kolejno młodzieńcy z wioski. Nie daj Bóg, aby potwór zaryczał. Zwiastowałyby to nieszczęście.

– Codziennie zatem smok pałaszuje jedną kozę? – spytał ironicznie hrabia Gerol.

– Na drugi dzień nic z niej nie pozostaje, oczywiście.

– Nawet kości?

– Nawet kości. Wciąga ją do jaskini i tam pożera.

– A może po prostu raczy się nią któryś z mieszkańców wsi? – zapytał gubernator. – Wszyscy znają drogę. Czy rzeczywiście ktoś kiedyś widział, jak smok zabiera się do kozy?

– Tego nie wiem, Ekscelencjo – odparł myśliwy.

Chłopak z kozą zrównał się teraz z nimi.

– Hej, chłopcze – zwrócił się do niego władczo hrabia Gerol – ile chcesz za tę kozę?

– Nie mogę jej sprzedać, panie – odparł chłopak.

– A za dziesięć dukatów?

– Och, za dziesięć dukatów?... – rzekł chłopak. – No, jak tak, to polecę po inną... – I położył swój ciężar na ziemi.

– Po co ci ta koza? – zagadnął hrabiego gubernator. – Mam nadzieję, że nie chcesz jej zjeść.

– Zaczekaj trochę, a zobaczysz, do czego jest mi potrzebna – odparł Gerol wymijająco.

Jeden z myśliwych zarzucił sobie kożę na ramiona, chłopak z Palissano puścił się ścieżką w dół, w kierunku wsi, spieszył pewnie po nową kożę dla smoka, a myśliwi podjęli marsz.

Po niecałej godzinie stanęli u celu. Wąwóz rozszerzał się nieoczekiwanie, tworząc rozległą kotlinę Burel i coś niby amfiteatr, okolony murem z gliny i kamieni barwy czerwono-żółtej. Pośrodku, pod szczytem stożkowej skały, rozwierała się czarna czeluść: smocza jama.

– To tam – rzekł Longo. Zatrzymali się w niedużej odległości na półce skalnej, w doskonałym punkcie obserwacyjnym, niespełna dziesięć metrów powyżej jaskini i prawie naprzeciw niej. Miejsce to miało i tę zaletę, że było dostępne tylko z jednej strony, bo nawis skalny opadał niemal pionowo w dół. Maria mogła tam stać bezpiecznie.

Milczeli wyteńczywszy słuch. Dookoła panowała niezmierna cisza gór, przerywana od czasu do czasu lekkim szmerem osuwających się piargów. Gdzieniedzie obrywał się gwałtownie jakiś gliniasty gzyms i przez chwilę toczył się lawiną w dół. Krajobraz robił przez to wrażenie odwiecznej ruiny; góry, zapomniane przez Boga, rozpadały się powoli, acz nieustannie.

– A jeśli smok dzisiaj się nie pokaże? – spytał Quinto Andronico.

– Przecież mam kożę – uspokoił go hrabia. – Nie zapominaj, że mam kożę.

Wszyscy zrozumieli, co ma na myśli: koza posłuży jako przynęta i wywabi potwora z jaskini.

Zaczęto przygotowania: dwóch ludzi z eskorty wdrapało się z trudem na wysokość mniej więcej dwudziestu metrów powyżej jamy, żeby w razie czego obrzucić smoka kamieniami. Trzeci przyniósł kożę w pobliże otworu i położył ją na ziemi. Reszta myśliwych, uzbrojonych w strzelby i falkonety, ukryła się po obu stronach wejścia do grotty, za wielkimi głazami. Andronico nie ruszył się ze swojego miejsca, zdecydowany tylko stać i patrzeć.

Piękna Maria milczała. Opuściła ją zwykła przedsiębiorczość. Jakże chętnie wróciłyby do domu! Lecz nie odważyła się przyznać do tego komukolwiek. Błądziła wzrokiem po ścianach skalnych, po starych i świeżych pęknięciach, po czerwonych pilastrach, które, zda się, lada chwila miały runąć. Obecność męża, hrabiego Martina, obu naukowców i gromadki strzelców nie mogła rozproszyć w niej uczucia bezgranicznej samotności, jaką napawała ta ponura okolica.

Gdy zewłok kozy położono przed jaskinią, zaczęło się oczekiwanie. Minęła dziesiąta, słońce wypełniło całą kotlinę, panował niemiłosierny upał. Fale ognia – rzekłbyś – przepływały od zbocza do zbocza, odbijały się od nich i wracały. Myśliwi, chcąc osłonić gubernatora i jego żonę przed prażącymi promieniami słońca, rozpięli nad ich głowami baldachim z derek; Marię męczyło nie dające się ugasić pragnienie.

– Uwaga! – krzyknął nagle hrabia Gerol; stał on dużo niżej, na ogromnym kamieniu, ze strzelbą w ręku, z żelaznym drągiem u pasa.

Obecni zadrżeli i wstrzymali oddech na widok dziwnego stworzenia, które wypełzało z jaskini.

– Smok! Smok! – wrzasnęło kilku myśliwych, nie wiadomo, czy z radości, czy ze strachu.

Bestia wyłoniła się na światło dzienne ni to kołysząc się, ni to wijąc jak wąż. Oto on, legendarny potwór, którego ryk przyprawia o trwogę całą okolicę.

– Fe, co za ohyda! – zawołała Maria z widoczną ulgą, bo spodziewała się czegoś znacznie gorszego.

– Dalej, dalej, wyłaź! – krzyknął żartobliwie jeden z myśliwych i obecni poczuli się bardziej pewni siebie.

– Wygląda na małego ceratozaura – obwieścił profesor Inghirami, odzyskawszy równowagę ducha, a wraz z nią zainteresowania naukowe.

Rzeczywiście: stwór ten nie wyglądał groźnie, miał długości niewiele ponad dwa metry, głowę podobną do krokodylej, tylko nieco krótszą, szyję jaszczurczą, tułów jakby rozdęty, ogon krótki i coś na kształt grzebienia wzdłuż kręgosłupa. Ale bardziej uspokajająco niż te skromne wymiary działały na widzów powolne, jakby wysiłku wymagające ruchy zwierzęcia, jego pergaminowoziemista, znaczona zielonkawymi pręgami skóra i raczej słaby, na oko, kadłub. Był chyba nieprawdopodobnie stary. Jeśli to smok, to smok zgrzybiały, u schyłku swego żywota.

– Zaraz oberwiesz! – krzyknął szyderczo jeden z ludzi, stojących nad wejściem do jamy, i wycelował w potwora kamieniem.

Cięnięty z rozmachem kamień trafił w sam środek czaszki zwierzęcia. Rozległ się głuchy stukot, jaki wydaje dynia spadająca z wysoka na skałę. Maria wzdrygnęła się z odrazy.

Cios był silny, lecz nieskuteczny. Gad znieruchomiał, zapewne ogłuszony, a po chwili zaczął potrząsać łbem w lewo i w prawo, może pod wpływem bólu. Szczęki na przemian to otwierały się, to zamykały, ukazując rzędy ostro zakończonych zębów, z paszczy jednak nie wydobył się żaden dźwięk. Wreszcie smok ruszył w dół po piargu, w stronę leżącej tam kozy.

– Zakreśliło ci się we łbie, co? – roześmiał się hrabia Gerol, zapominając o swej zwykłej wyniosłości. Ogarnięty radosnym podnieceniem cieszył się już na rychłą masakrę.

Strzał z falkonetu, oddany z trzydziestu metrów, chybił celu. Rozdarł zastałe powietrze i obudził ponure echo wśród skalnych złomów, z których zaczęły się odrywać i snuć z szelestem w dół niezliczone potoki drobnych kamieni.

Zaraz po pierwszej salwie wystrzelono z drugiego falkonetu. Pocisk ugodził gada w tylną łapę, z której popłynął strumyczek krwi.

– Zobacz no, jak tańczy! – zawołała piękna Maria, której także udzieliło się podniecenie okrutnym widowiskiem. W spazmie bólu potwór rzeczywiście kręcił się w kółko, podrygiwał, żałosny i wystraszony. Strzaskaną łapę włókł za sobą, znacząc kamienie plamami czarniawej posoki.

Gad dotarł wreszcie do kozy i uchwyciwszy ją zębami wycofywał się już do smoczej jamy, gdy hrabia Gerol, chcąc dać niezbity dowód swojej odwagi, zbliżył się do niego na dystans dwóch metrów i strzelił mu z fuzji prosto w łeb.

Z gardzieli bestii wydostał się jakiś dziwny świst. Zdawało się, że gad usiłuje nad sobą zapanować, poskromić wściekłość, że nie używa całej siły głosu, że coś, jakaś przyczyna ludziom nie znana, zmusza go do cierpliwości. Kula trafiła go w oko i tam utkwiała; po strzale Gerol pobiegł w bezpieczne miejsce i wszyscy spodziewali się, że tym razem smok padnie martwy. Ale smok się nie poddawał, można by sądzić, że nigdy nie zgaśnie w nim życie, podobne do smolnej pochodni. Z ołowianą kulą w oczodole nader spokojnie pożerał kozę; szyja rozciągnęła mu się jak guma, w miarę przesuwania się przez nią gigantycznych kęsów. Wreszcie cofnął się do podnóża skały i zaczął wspinać się po niej ku wejściu do jaskini. Wspinał się z trudem, kamyki usuwały mu się spod łap, widać było, że śpieszy się, że pilno mu znaleźć się w schronieniu. Przejrzyste, jasne niebo pochylało się nad nim, słońce szybko osuszało krwawe ślady.

– Przypomina karalucha w kuble – rzekł półgłosem, jakby tylko do siebie, gubernator Andronico.

– Mówiłeś coś? – spytała żona.

– Nic, nic – odburknął.

– Ciekawe, dlaczego nie włązi do jaskini? – zdziwił się profesor Inghirami, skłonny rozważyć od strony naukowej każdy aspekt tej sceny.

– Boi się, że będzie tam uwięziony – rzucił domyślnie Fusti.

– Sądzę raczej, że jest całkiem otumaniony. A zresztą, czy można mu przypisywać taką zdolność myślenia? Ceratozaurus...

– To nie jest ceratozaurus – przerwał mu Fusti. – Sporo ich rekonstruowałem dla muzeów, ale one nie są takie. Gdzie kolce na ogonie?

– Schował je – odpowiedział Inghirami. – Zobacz, jaki ma rozdęty brzuch. Ogon nie jest w całości widoczny, zwinął go pod siebie.

Kiedy tak rozmawiali, jeden z myśliwych, ten, który oddał strzał z drugiego falkonetu, poderwał się nagle i – najwyraźniej z zamiarem ucieczki – podbiegł w kierunku półki skalnej, gdzie stał Andronico.

– Dokąd pędzisz? Dokąd? – krzyknął za nim hrabia Gerol. – Stój na swoim miejscu, dopóki nie skończymy.

– Odchodzę – rzekł kategorycznie myśliwy. – Nie podoba mi się cała ta historia. Nie dla mnie takie polowanie.

– Co to ma znaczyć? Chyba strach cię obleciał. To chcesz powiedzieć?

– Nie, proszę pana, nie boję się. To pan powinien się wstydzić, panie hrabio.

– Ooo, ja mam się wstydzić? – wrzasnął Martino Gerol. – Ty podły tchórze! Założę się, że jesteś z Palissano. Tchórze! Wynoś się, zanim ja ci przyłożę!

– Beppi, a ty znów dokąd? – krzyknął po chwili widząc, że drugi człowiek z eskorty wymyka się ukradkiem.

– Ja też odchodzę, panie hrabio; nie chcę przykładać ręki do tak szkaradnego postępu.

– Ach tchórze! – grzmiał Gerol. – Tchórze, zapłacilibyście mi za to, gdybym mógł się stąd ruszyć.

– To nie strach, panie hrabio – odrzekł śmiało drugi myśliwy. – To nie strach. Zobacz pan hrabia, że to się źle skończy.

– Tak, i dla was także! – hrabia podniósł z ziemi kamień i cisnął nim z całej siły w myśliwego. Nie trafił.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Smok gramolił się niezdarnie na skałę i wciąż nie udawało mu się na nią wspiąć. Żwir i kamienie obsuwały się pod nim, pociągając go coraz niżej w stronę miejsca, skąd wyruszył. Jedyne szelest spływających piargów zakłócał niesamowitą ciszę.

Nagle rozległ się głos Andronica.

– Długo jeszcze? – krzyczał do Gerola. – Piekielny upał! Skończ nareszcie z tym potworem! Po co go tak męczyć, nawet jeśli to smok?

– A cóż ja jestem winien? – odparł rozdrażniony hrabia. – Widzisz, że nie chce zdychać. Z kulą we łbie jest jeszcze bardziej żywy niż przedtem...

Urwał, bo właśnie na krawędzi kotliny pojawił się chłopak z Palissano, niosący na plecach drugą kozę. Zaskoczony widokiem tylu ludzi, broni, śladów krwi, a nade wszystko widokiem nie znanego mu potwora wążącego na skałę, młody wieśniak stanął jak wryty, nie mogąc oderwać oczu od niezwykłego spektaklu.

– Hej, chłopcze! – krzyknął Gerol. – Ile chcesz za tę kozę?

– Nic. Nie mogę jej sprzedać – odparł chłopak. – Nie oddałbym jej nawet za worek złota. A wy coście jemu zrobili? – dodał patrząc ze zgrozą na krwawiącego smoka.

– Przyszliśmy, żeby się z nim porachować. Cieszcie się! Od jutra koniec z kozami.

– Jak to: koniec z kozami?

– Jutro już smoka nie będzie – oznajmił hrabia z uśmiechem.

– Ach, nie wolno, nie wolno wam tego robić! – krzyknął przestraszony chłopak.

– Och, i ty zaczynasz...?! – huknął na niego Martino Gerol. – Dawaj mi tu zaraz tę kozę!

– Nie, powiadam – odparł ze stanowczością wieśniak i próbował się cofnąć.

– Do diabła! – rozsierdził się hrabia i uderzywszy chłopca pięścią w twarz ściągnął mu z pleców kozę i powalił biedaka na ziemię.

– Pożalujecie tego, panie, pożalujecie, zobaczycie, że pożalujecie! – odgrażał się cicho chłopak podnosząc się z ziemi. Ale na dalszy sprzeciw zabrakło mu odwagi.

Gerol zresztą przestał się już nim zajmować.

Teraz słońce paliło ogniem, dosłownie, całą kotlinę; trudno było wytrzymać z otwartymi oczyma, oślepiający blask bił od żółtych piargów, od skał, od kamieni. A dokoła nie było nic, zupełnie nic, na czym wzrok mógłby chwilę wypocząć.

Marię dręczyło coraz silniejsze pragnienie; wciąż piła, ale woda go nie uśmierzała.

– Boże, jak gorąco! – pojękiwała. Nawet widok hrabiego Gerola stawał się jej niemiły.

Na krawędziach kotliny zaczęły się tymczasem ukazywać postacie ludzkie, nieznany tłum jakby wyrosły spod ziemi. Przyszli tu zapewne z Palissano na wieść, że jacyś obcy wtargnęli do kotliny Burel; stali teraz nieruchomo w stertach żółtej gliny i bez słowa przyglądali się myśliwym.

– Zobacz, jaką masz publikę – próbował dowcipkować Andronico, odwracając się w stronę Gerola, który z dwoma myśliwymi coś tam majstrował w pobliżu kozy.

Hrabia podniósł głowę i zobaczył wpatrzony w niego nie znany, milczący tłum. Skrzywił się pogardliwie i powrócił do swego zajęcia.

Smok ześliznął się ze skały i leżał wyczerpany na piargach u jej podnóża – tylko wzdęty brzuch mu pulsował.

– Gotowe! – powiedział jeden z myśliwych i wraz z Gerolem dźwignął kożę, we wnętrzu której umieścili ładunek wybuchowy z długim lontem.

Obecni ujrzeli teraz, jak hrabia nieustraszenie kroczy po piargach niosąc kożę, jak zbliża się do smoka na odległość około dziesięciu metrów, z niezmałym spokojem składa potworowi daninę i cofa się rozwijając lont.

Musieli jeszcze czekać dobre pół godziny, nim smok się poruszył. Nieznani obserwatorzy na krawędzi doliny upodobnili się do posągów; nie mówili nic, nawet między sobą nie rozmawiali; twarze ich wyrażały potępienie. Nie czuli żaru słońca, które stało już niemal w zenicie, nie odrywali wzroku od gada, jak gdyby milczeniem błagali go, by się nie ruszał.

On jednak, trafiony znowu kulą ze strzelby w grzbiet, odwrócił się, dostrzegł kożę i z wysiłkiem powłókł się ku niej. Już-już wyciągał szyję, żeby dopaść zdobyczy, gdy hrabia podpalił lont. Maleńki płomyk przebiegł szybko wzdłuż sznura, dosięgnął kozy i spowodował eksplozję.

Wybuch nie należał do zbyt silnych, był nawet słabszy od wystrzału z falkonetu – suchy trzask jak gdyby pękającej osi u wozu. Ale ten wybuch odrzucił gwałtownie do tyłu cielsko smoka i – dokładnie to było widać – poszarpał mu brzuch. Łeb zakołysał się powoli w prawo i w lewo; zdawało się, że potwór mówi: „nie”, że to nie jest sprawiedliwe, że postąpiono z nim okrutnie i że teraz nie ma już ratunku.

Hrabia roześmiał się zadowolony; tym razem nikt mu nie wtórował.

– Och, co za ohyda! Dosyć tego! – krzyknęła piękna Maria zasłaniając rękoma twarz.

– Tak, ja też myślę, że to się źle skończy – wycedził wolno jej mąż.

Potwór leżał, pozornie całkiem wykończony, w kałuży czarnej posoki. Wtem z obu jego boków zaczęły sączyć się wąskie pasemka ciemnego dymu, jedno z lewej, drugie z prawej strony; dwie ociężałe smużki, ledwie, ledwie unoszące się w górę.

– Widzisz? – spytał kolegę Inghirami.

– Tak, widzę – powiedział tamten.

– Dwa otwory oddechowe w kształcie miecha, niczym u ceratozaura; tak zwane otworki Hammera.

– Nie – zaprzeczył Fusti – to nie jest ceratozaurus.

Hrabia Gerol, kryjący się dotychczas za wielkim głazem, postąpił naprzód, żeby definitywnie rozprawić się ze smokiem. Kiedy znalazł się na piarżystym stożku i w mocną rękę chwycił żelazny drąg, z ust obecnych wyrwał się głośny okrzyk.

W pierwszej chwili hrabia pomyślał, że to okrzyk triumfu obwieszczającego śmierć smoka. Ale zaraz potem usłyszał za plecami jakiś dziwny odgłos. Odwrócił się natychmiast i zobaczył... och, doprawdy, zabawny to był widok: dwa żalosne stworzonka, mniej więcej półmetrowej długości, wypełzły niezgrabnie z jamy i – dość szybko nawet – posuwały się w jego kierunku. Dwa małe, niekształtne gady, miniaturowe podobizny konającego smoka. Dwa małe smoki, smocze dzieci, które zapewne głód wypędził z legowiska.

Wystarczyła jedna sekunda: hrabia dał piękny popis swojej zręczności.

– A masz! A masz – pokrzykiwał radośnie, wymachując żelaznym drągiem.

Dwa ciosy – i po wszystkim. Opuszczony z podziwu godną energią i zdecydowaniem drąg opadł kolejno na potworki miażdżąc niczym szkło oba łebki. Rozpłaszczone na ziemi, zwiotczałe gady wyglądały teraz z daleka jak dwie kobzy.

Wówczas nieznani widzowie tego spektaklu, nie przerywając milczenia, zaczęli zbiegać po piargach w dół. Można by sądzić, że uciekają przed nagłym i groźnym niebezpieczeństwem. Biegli bezszelestnie, nie strącali kamiennych lawin, nie patrzyli w stronę smoczej jamy. I zniknęli równie tajemniczo, jak się zjawili.

Smok ruszał się jeszcze, istotnie wydawało się, że nigdy nie skona. Pełznąć jak ślimak zbliżał się do zabitego potomstwa i nieustannie wydobywały się z jego boków

smużki dymu. Dowłókł się w końcu do swoich małych, opadł bezwładnie na piargu, z niebywałym wysiłkiem podniósł wysoko łeb i zaczął delikatnie oblizywać ich martwe ciała – może w ten sposób chciał je przywrócić do życia.

Potem zebrał resztki sił, wyciągnął szyję niemal pionowo ku niebu – po raz pierwszy zauważono u niego ten ruch – i z rozwartej gardzieli dobył się ryk; później coraz głośniejszy, nigdy dotychczas na świecie nie słyszany, ani to zwierzęcy, ani to ludzki, ryk nie do opisanego, w którym brzmiała potężna siła nienawiści.

Teraz stało się dla wszystkich jasne, dlaczego nie chciał wrócić do jaskini i tam szukać schronienia, dlaczego prócz cichych świstów nie wydawał żadnego głosu. Myślał o swoich małych i dla ocalenia ich odrzucił własne szanse ratunku, bo gdyby się ukrył, ludzie dopadliby go w jamie i nie oszczędziliby także jego potomstwa, gdyby zaś ryczał, dzieci mogłyby to wziąć za wezwanie i wyrzeć na zewnątrz. Dopiero więc kiedy zrozumiał, że już nie żyją, potwór zdobył się na ów iście piekielny ryk.

Wzywał pomocy, domagał się zemsty za mord dokonany na jego dzieciach? Kogo wzywał? Góry, jałowe i nie zamieszkałe? Niebo bez ptaków i obłoków, ludzi, którzy się nad nim pastwili, może szatana? Rykiem przebijał skalne ściany, godził w sklepienie niebios, wypełniał wnętrze świata. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi wydawało się rzeczą wprost niemożliwą, by nikt nie miał mu odpowiedzieć.

– Kogo on wzywa? – spytał Andronico, daremnie usiłując nadać głosowi ton żartobliwy. – Kogo wzywa? Chyba nikogo się już nie spodziewamy?

– Och, niechby już wreszcie zdechł – powiedziała jego żona. Ale smok na to się nie decydował, chociaż hrabia Gerol, zaślepiiony żądzą mordu, strzelał do niego raz za razem. Pif-paf! Bez skutku. Smok nie przestawał lizać martwych dzieci, robił to jednak coraz wolniej, a ze zdrowego oka spływała mu biaława ciecz.

– Patrz– krzyknął Fusti – patrz, jaszczur płacze!

– Późno już – odezwał się gubernator. – Wystarczy, Martino, późno już, trzeba wracać.

Siedem razy odbijał się o niebieskie sklepienie głos potwora, grzmotem przetaczał się po skałach i niebiosach. Za siódmym razem, gdy zdawało się, że nigdy nie zamilknie, urwał się nagle, zapadł się w otchłań, zagubił w ciszy.

W głuchym milczeniu, jakie potem nastąpiło, rozległ się czyjś uporczywy kaszel. Hrabia Martino, pokryty kurzem, z twarzą zmienioną wskutek zmęczenia, emocji i upału,

rzucił strzelbę na kamienie i brnął przez usypisko kaszłąc, z ręką przyciśniętą do piersi.

– Co ci jest? – spytał Andronico z posepną miną, nagle ogarnięty złym przeczuciem.

– Co się stało?

– Nic – odparł Gerol siląc się na beztroskę i wesołość. – Dostało mi się do płuc trochę tego dymu.

– Jakiego dymu?

Zamiast odpowiedzi hrabia wskazał gestem na smoka. Gad leżał nieruchomo, łeb opadł mu na kamienie; można by pomyśleć, że jest martwy, gdyby nie te dwie cieniutkie niteczki dymu.

– Chyba to już koniec – rzekł Andronico. Rzeczywiście tak się wydawało. Uparte życie ulatywało z paszczy smoka.

Nikt nie odpowiedział na jego wezwanie, nikt nawet nie drgnął, jak świat długi i szeroki. Góry zamarły w bezruchu, nie osuwały się już drobne kamyki, wchłonięte jakby przez podłoże, niebo wisiało czyste, bez najmniejszej chmurki, słońce chyliło się ku zachodowi. Nikt, ani zwierzę, ani duch, nie pospieszył, aby pomścić tę rzeź. To człowiek winien zetrzeć z powierzchni Ziemi tę zadawnioną plamę krwi, człowiek przebiegły i potężny, wprowadzający swe rozumne skądinąd prawa w imię ładu – człowiek nie podlegający osądowi, człowiek trudzący się dla postępu i całkiem niezdolny przyjąć do wiadomości istnienia smoków, nawet jeśli przetrwały one gdzieś daleko, w niedostępnych górach. Człowiek zabił i głupotą byłoby winić go za to.

To, co człowiek uczynił, było słuszne, zgodne z jego prawami. A jednak wydawało się rzeczą wprost niemożliwą, by nikt nie miał odpowiedzieć na wołanie smoka. Andronico, podobnie jak jego żona i myśliwi, pragnął uciec stąd jak najszybciej; przyrodnicy zrezygnowali z balsamowania, byle tylko znaleźć się stąd jak najdalej.

Ludzie ze wsi zniknęli jakby w przeczuciu klątwy. Na ściany skalne zstępowały cienie. Z otęchłego, martwego cielska smoka sączyły się nieprzerwanie dwie wąskie strużki dymu i wolno zwijały się w zastygłym powietrzu. Wydawało się, że wszystko już jest skończone – o tej przykrej sprawie należy tylko zapomnieć. Ale hrabia Gerol wciąż nie mógł uporać się z kaszlem. Do cna tym wyczerpany, siedział na kamieniu, otoczony przyjaciółmi, którzy nie śmieli odezwać się do niego. Nawet nieustraszona Maria odwracała wzrok w inną stronę. Słysząc było jedynie owe krótkie pokaszliwania. Na próżno Martino Gerol starał się je powstrzymać; paliło go coś w piersi niby ogień i

przenikało coraz bardziej w głąb jego istoty.

– Czułem to – szepnął gubernator Andronico do żony, która lekko drżała. – Czułem, że to musi się źle skończyć.

NIEZWYCIĘŻONY

Czterdziestoletni fizyk, profesor licealny Ernesto Manarini, w pewne lipcowe popołudnie podczas wakacji, które spędzał w wiejskim domku w Val Caliga z żoną i dwiema córeczkami, dokonał wiekopomnego odkrycia. Na przestronnym strychu, gdzie urządził sobie laboratorium, eksperymentował przez całe dni, a często i noce. Marzył bowiem w niewinności ducha o tytule wynalazcy; stały temat rodzinnych żartów i nieubłagane ironiczne uwagi kolegów, którzy nie traktowali go poważnie.

Owego popołudnia – a panował wtedy nieznośny upał, dom zalegała cisza, żona i dziewczynki były na przejażdżce z przyjaciółmi – kiedy profesor montował nowy przyrząd własnego pomysłu, jeden z wielu, jakie w ciągu długich lat konstruował, nigdy nie doprowadzając dzieła do końca, na parterze rozległ się potworny huk: jakby eksplozji.

Przerażony Manarini wyłączył na wszelki wypadek prąd w obiegu, który sprawdzał, i pobiegł na dół. Myślał, że wybuchła w kuchni butla z gazem. Ale butla stała nienaruszona, co zauważył od razu w kłębach dymu wypełniającego całe pomieszczenie. Wybuch nastąpił w wysokiej, wąskiej szafie ściiennej; profesor trzymał tam strzelbę myśliwską, prawie nigdy nie używaną, i naboje. Drzwiczki szafy rozpadły się na drobne kawałki, ze strzelby pozostał kikut, krawędzie ścian popękały, Nie było wątpliwości; z niewyjaśnionych powodów wypaliły naboje.

Manarini trwał przez chwilę w zdumieniu. Potem wrzasnął: „Udało się! Udało się! Zwycięstwo!”.

I zaczął skakać jak szalony wśród kawałków drewna i tynku.

Po powrocie do domu Ewelina zastała męża w kuchni chodzącego tam i z powrotem w stanie niezwykłego podniecenia. Na widok skutków katastrofy zamierzała właśnie wygłosić uroczystą reprimendę, kiedy profesor dał jej mrugnięciem znak, by milczała, i z tajemniczą miną odciągnął ją na bok, żeby córki go nie usłyszały. „Moja droga – powiedział – muszę ci wyznać sekret, sekret tak straszliwy, że nie mogę zachować go tylko dla siebie. I nie potrzebujesz mi przyrzekać, że go nikomu nie powtórzysz. Kiedy ci wszystko wyjaśnię, zrozumiesz, że to kwestia życia i śmierci”. „Przerażasz mnie, Ernesto”

– odrzekła Ewelina przejęta wyrazem twarzy i tonem małżonka. „Nie, nie masz czego się obawiać, moja droga. Fakty są takie: zrobiłem niebywale odkrycie. Mój aparat koncentruje pewne promieniowanie pola elektrycznego, to promieniowanie zaś powoduje wybuch środków eksplodujących na odległość i przypuszczalnie może wzniecać pożary, lecz tego jeszcze nie potrafię ustalić z całą pewnością. Pracowałem nad tym od lat ponad dziesięciu i nigdy ci o tym nie mówiłem. Bóg zechciał mnie w końcu wynagrodzić. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Ewelino? Ewelino! Nie rozumiesz? Dzisiejszy wieczór może mi zapewnić panowanie nad światem”.

– Chryste Panie, i co teraz poczniesz? – spytała, tym razem zaniepokojona nie na żarty.

– Ależ nie patrz tak na mnie! – zawołał Manarini. – Nie wierzysz mi, myślisz, że zwariowałem? Chcesz, żebym dał ci dowód? Zaczekaj.

Pobiegł na piętro do sypialni i wrócił niosąc w garści trzy naboje do fuzji.

– Jeśli mi nie wierzysz, to idź do ogrodu, połóż je pod jodłą, oddal się trochę i obserwuj.

Ewelina nie wyraziła sprzeciwu. Córeczki były niczego nieświadome, ona zaś minęła trawnik i rzuciła naboje u stóp jodły. Podniósłszy oczy zobaczyła, że mąż stojący przy okienku wymownymi gestami każe jej się wycofać. Wróciła więc do domu i czekała u boku męża. „Prawdziwy skarb z tego Ernesta – myślała – ale czasem zachowuje się jak idiota. Że też nawet nie przyszło mu do głowy, że do wybuchu w kuchni mogło dojść wskutek upału”.

Pif-paf! Trzy suche trzaski, ostatnie dwa prawie jednoczesne. Wąły dymek pod jodłą, opadła sucha gałązka; niepokój, który zrazu ogarnął Ewelinę, zastąpiło gwałtowne bicie serca i wciąż wzmagający się natłok absorbujących myśli. „I co teraz? – zadała sobie pytanie w przeczuciu, że spokój ich rodzinnej egzystencji skończy się na zawsze. – I co teraz? Jak postąpi Ernesto? Wyjawi tajemnicę? Komu? Wojsku? Czy to będzie rozsądne? Może go aresztują, żeby się przed nikim innym nie wygadał? A jeżeli go zlikwidują?”

– Mamo, mamó! – To głos Paoli z saloniku. – Co się stało? Nie słyszałaś wystrzałów?

Ewelina zdołała zapanować nad sobą i odparła obojętnym tonem:

– Nie. To chyba jakiś myśliwy. W niedziele zawsze słycać strzelaninę w tej okolicy...

– Znów ten profesor Manarini? – warknął szef Sztabu Generalnego poszturchując swego adiutanta. – Czy można wiedzieć, czego chce ten nudziarz? Mamy co innego na głowie. Mówiłem już setki razy: brak nam czasu. A jak mu się udało tutaj wejść?

– No właśnie, Ekscelencjo. Oto bilet wizytowy zastępcy sekretarza Fantona.

– Fantona? Kimże on jest, ten Fanton?

– Wiceministrem oświaty.

– I w przededniu wojny, z Europą w płomieniach, z nieprzyjacielem na karku, z krajem ogarniętym paniką, tuż przed nadciągającą klęską mamy się zajmować dylematami profesora Manariniego? Przysięgnęłbym, że uchyla się od służby wojskowej.

– Mówi, że to sprawa najwyższej wagi państwowej, tak twierdzi; mówi, że powie to osobiście panu, bez świadków; mówi, że nie odejdzie, póki nie zostanie przyjęty; mówi, że nie ma ani minuty do stracenia...

– Nie ma ani minuty do stracenia – uśmiechnął się szyderczo szef Sztabu Generalnego uderzając pięścią w blat biurka. – Wprowadzić go, wprowadzić, już ja go szybko doprowadzę do porządku.

Wszedł Manarini. Generał nawet oczu nie podniósł znad sterty map.

– Więc pan jest profesorem Manarinim?

– Tak jest.

– I czego pan sobie życzy?

Profesor chrząknął, był podniecony.

– Ekscelencjo, wobec spodziewanej inwazji, z pełną świadomością mojego czynu, przychodzę ofiarować...

– Ochotnik? Chce się pan zaciągnąć w szeregi? I mnie właśnie przyszedł pan to oznajmić?

Manarini postąpił dwa kroki naprzód. Skąd u niego tyle odwagi? Podniósł głos.

– Ekscelencjo, proszę mnie wysłuchać. Przychodzę zaoferować środek na pokonanie wroga.

– Pan... co takiego?

– Zanim przejdę do meritum sprawy, pozwolę sobie prosić nie tylko o absolutne zagwarantowanie mi tajemnicy, lecz także o list żelazny zapewniający bezpieczeństwo mnie i mojej rodzinie. W zamian zapraszam pana, i to zaraz, do udziału w eksperymencie.

– Gdzie?

– Nie tutaj, oczywiście. Lepiej na otwartej przestrzeni. Umie pan prowadzić samochód, Ekscelencjo?

– Dlaczego...?

– Bo ja nie umiem. A kierowca nie może nam towarzyszyć. Tylko my dwaj, pan i ja... to warunek *sine qua non*. Świadcowie wykluczeni. Chodzi o moje życie. A także o pańskie, Ekscelencjo.

W pierwszych blaskach pogodnego ranka nasza szybka eskadra zwiadowcza z punktu 9000 dostrzegła manewr nieprzyjaciela. Na przestrzeni kilometrów, jak okiem sięgnąć, prawą stroną drogi sunęła powoli kolumna samochodów; na przedzie dwa wspaniałe wozy pancerne. Wysoko ponad nimi leciały samoloty myśliwskie, było ich trzydzieści. I natychmiast zauważyły zbliżanie się naszych trzech samolotów zwiadowczych; od parasola ochronnego oderwało się wówczas dziesięć myśliwców i błyskawicznie podzieliwszy się na dwie grupy gotowało się do okrążenia naszych.

Siedzący przy pilocie samolotu zwiadowczego profesor Manarini nacisnął klawisz. Rozjaśnił się podłużny ekran. Dłonią w rękawicy Manarini uchwycił ruchomy bolec i z wolna nim pokręcił. Na niebie, tam, gdzie przed chwilą znajdowały się atakujące maszyny wroga, rozbłysły niebieskawe płomyki; deszcz czarnego pyłu zaczął z wysoka opadać na ziemię.

W ciągu paru następnych sekund podobne rozbłyski, coraz liczniejsze, pojawiały się na niebie, a zwęglone niczym główne, strzaskane i dymiące jeszcze części samolotów nieprzyjaciela spadały w dół. W powietrzu unosiły się wysokie, ciemne kolumny rozpędzane przez wiatr.

Potem, zmieniając marszrutę, trzy nasze samoloty w szyku bojowym skierowały się w stronę kolumny wozów pancernych.

Po krótkich rozbłyskach można by sądzić, że załoga pierwszych samochodów opancerzonych strzelała z działek przeciwlotniczych. Ale niemal jednocześnie weszły do akcji wyrzutnie, które Manarini zainstalował na samolotach zwiadowczych.

Czegoś takiego świat jeszcze nie widział. Z daleka wyglądało to tak, jakby gigantyczny lont, rozciągnięty wzdłuż szosy i podpalony z jednego końca, pożerany był przez ogień z niewiarygodną szybkością. Buchające płomienie, fajerwerki, fontanny iskier, purpurowa ulewa, wirujące świetlne kule – wszystko to zwały się na dywizję

wroga zamieniając je w wielką, posępną, owalną chmurę, którą od wewnątrz oświetlała paląca się benzyna; chmura ta dygotała konwulsyjnie na wietrze. W niespełna sekundę później z trzech dywizji pancernych zostało pasmo popiołu.

Z biuletynu nr 14 Kwatery Głównej:

„...Trzy eskadry ciężkich superbombowców nieprzyjaciela nadciągające z północnego wschodu – pierwsza licząca około 850 aparatów, druga około 200, trzecia ponad 1100 – zaraz po przekroczeniu linii granicznej zostały doszczętnie zniszczone przez nasze przechwytyjące środki specjalne...”

„Dwa lotniskowce nieprzyjacielskie, krążownik, 3 lotniskowce pomocnicze i 13 torpedowców eskortujących, które zbliżyły się do naszych brzegów, wysadzono w powietrze na Morzu Jońskim za pomocą środków specjalnych; nasz okręt-szpital wyratował ponad 2200 rozbitków...”

Z tytułów w gazetach:

UNICESTWIONO DALSZYCH SIEDEM DYWIZJI

NIEDOBITKI WOJSK AGRESORA W BEZŁADNEJ UCIECZCE

PONAD 8000 SAMOLOTÓW NIEPRZYJACIELSKICH I LICZNE RAKIETY Z
BRONIĄ ATOMOWĄ STARTE NA PROCH W POWIETRZU

POSŁANIE NACZELNEGO WODZA SIŁ ZBROJNYCH DO PROFESORA
MANARINIEGO

WRÓG PROSI O ZAWIESZENIE BRONI

JAK GENIUSZ BIEDNEGO NARODU ROZGROMIŁ NAJPOTĘŻNIEJSZĄ NA
ŚWIECIE ARMIE

MANARINI NIESIONY W TRIUMFIE PRZEZ LUD RZYMU

WSPANIAŁA UROCZYSTOŚĆ Z OKAZJI ZWYCIĘSTWA: PRZEMÓWIENIE
MANARINIEGO NA KAPITOLU

NAGRODA POKOJOWA DLA ERNESTA MANARINIEGO

MANARINI POWOŁANY NA NAJWYŻSZY URZĄD W GŁOSOWANIU
PLEBISCYTOWYM

PREZYDENT MANARINI OTWIERA XLIV TARGI MEDIOLAŃSKIE

PŁASZCZ

Po nie kończących się oczekiwaniach, kiedy nadzieja zaczynała dogasać, Giovanni wrócił do domu. Jeszcze nie wybiła druga, a matka już sprzątała ze stołu; był szary dzień marcowy i latały wrony.

Ukazał się nagle na progu, a matka krzyknęła: „Mój kochany!” i podbiegła, żeby go uściskać. Anna i Pietro, jego znacznie młodsze rodzeństwo, zaczęli także krzyczeć z radości. Oto chwila oczekiwana przez długie miesiące, tak często pojawiająca się w słodkich marzeniach, chwila, która miała dać szczęście.

Nie odezwał się ani słowem, bo z dużym wysiłkiem powstrzymywał szloch. Położył ciężką szablę na krzesło; z głowy nie zdjął bermucy.

– Niechże na ciebie popatrzę – rzekła matka przez łzy, cofając się trochę. – Niech zobaczę, jak wyglądasz. Ależ jesteś blady!

Rzeczywiście był blady i wyglądał na zmęczonego. Zdjął bermucę, wszedł dalej do pokoju, usiadł. Jaki on zmęczony, zmęczony, wydawało się, że nawet uśmiech sprawiłby mu wysiłek.

– Zdejmij no płaszcz, moje biedactwo – rzekła matka; popatrzyła na niego jak na cudo i w końcu ogarnęła ją nieśmiałość. Jaki on wysoki, przystojny, dumny (to nic, że jest taki blady). – Daj mi płaszcz, nie jest ci za gorąco?

Zrobił nagle obronny, instynktowny gest i przytrzymał płaszcz na ramionach, jakby się bał, że mu go zerwą siłą.

– Nie, nie, zostaw – odrzekł wymijająco – lepiej nie, zresztą i tak muszę wyjść.

– Musisz wyjść? Wracasz po dwóch latach i chcesz już wyjść? – spytała z rozpaczą, widząc, że mimo tylu radości odwieczne są troski matek. – Musisz zaraz wyjść? Nie zjesz czegoś?

– Już jadłem, mamu – odparł syn z ciepłym uśmiechem i rozejrzał się w miłym półcieniu panującym w pokoju. – Stanęliśmy w zajeździe, parę kilometrów stąd...

– Ach, więc nie przyjechałeś sam? Ktoś jest z tobą? Kolega z pułku? Może syn Meny?

– Nie, nie, spotkałem kogoś po drodze. Czeka na mnie na dworze.

– Czeka na ciebie? Dlaczego nie wszedł? Dlaczego zostawiłeś go przed domem?

Zbliżyła się do okna i za ogrodem warzywnym, za drewnianymi sztachetami zobaczyła jakąś postać spacerującą powoli tam i z powrotem; cała okutana w płaszcz sprawiała ponure wrażenie. Wtedy w duszy matki zrodziło się uczucie niepojęte wśród radosnych uniesień – tajemniczy, dotkliwy ból.

– Daj mu spokój – odparł stanowczo. – Zanudziłby się; już taki jest.

– A kieliszek wina? Może mu zanieść kieliszek wina, co?

– Lepiej nie, mamó. To dziwny typ, może się obrazić.

– Któż to taki? Dlaczego jesteście razem? Czego on chce od ciebie?

– Nie znam go dobrze – rzekł powoli, z pewnym smutkiem. – Spotkałem go w czasie podróży. No i przyjechał tu ze mną.

Zdawało się, że chciał powiedzieć to inaczej, że się wstydził. A matka, żeby mu się nie sprzeciwić, zmieniła natychmiast temat rozmowy, ale poprzedni blask już przygasiał na jej dobrej twarzy.

– Słuchaj – rzekła – wyobrażasz sobie, jak Marietta będzie skakała z radości, kiedy się dowie, że wróciłeś? Czy to do niej chciałeś iść?

Uśmiechnął się tylko, ciągle z tym samym wyrazem twarzy kogoś, kto chciałby być szczęśliwy, ale nie może, z powodu jakiejś wielkiej tajemnicy.

A matka nie mogła zrozumieć: dlaczego tak siedzi bez ruchu, osowiały, jak kiedyś w dniu wyjazdu? Przecież wrócił, czeka na niego nowe życie, tyle wolnych beztroskich dni, tyle wspólnych wieczorów, w nieskończoności pięknych przyszłych lat. Nie noce pełne lęku, kiedy horyzont rozświetlają ogniste łuny, kiedy rodzi się niepokój, że i on tam jest nieruchomo wyciągnięty na ziemi, z przeszytą piersią, wśród zbryzganych krwią ruin. W końcu wrócił, wyższy, piękniejszy i jak bardzo ucieszy się Marietta. Wkrótce zacznie się wiosna, wezmą ślub w kościele w jakiś niedzielny poranek, wśród bicia dzwonów, obrzucani kwiatami. Dlaczego więc stoi blady i roztargniony, nie uśmiecha się, nie opowiada o walkach? A płaszcz? Dlaczego nie zdejmuje płaszcza mimo upału, jaki panuje w domu? Czy mundur pod spodem ma podarty i zabłocony? Jak może się wstydzić rodzonej matki? Nie widać końca zmartwień, a oto i nowy kłopot.

Matka, z lekko pochyloną na bok, pełną słodyczy i troski twarzą, wpatrywała się w syna starając się mu nie sprzeciwić i w lot chwycić każdą jego myśl. Może jest chory? Albo po prostu zmęczony po tylu trudach? Dlaczego nic nie mówi? Dlaczego nawet na nią

nie patrzy?

To prawda, syn nie spoglądał w jej stronę, wydawało się nawet, że unika jej spojrzenia, jakby się czegoś obawiał. A tymczasem dwoje młodszych rodzeństwa popatrywało na niego w milczeniu, z dziwnym zakłopotaniem.

– Giovanni – szepnęła nie mogąc się powstrzymać. – Jesteś nareszcie, nareszcie jesteś tutaj! Poczekaj, zrobię ci kawy.

I pospieszyła do kuchni. A Giovanni został z rodzeństwem, o tyle młodszym od niego. Nawet by się wzajem nie rozpoznali mijając się przypadkiem na ulicy. Co za zmiana w ciągu ledwie dwóch lat! Teraz kolejno spoglądali na siebie w milczeniu; nie znajdowali słów, ale od czasu do czasu uśmiechali się wszyscy troje, jakby kiedyś zawarli umowę, o której nie zapomnieli.

Wraca matka, oto parująca kawa i piękny kawałek tortu. Jednym haustem opróżnia filiżankę, tort przeżuwa z wysiłkiem.

„Dlaczego? Już ci nie smakuje? A tak lubiłeś!” – miała ochotę powiedzieć, ale nic nie mówiła, żeby się nie naprzykrzać.

Zamiast tego spytała:

– Giovanni, może obejrzysz swój pokój? Wstawiłam nowe łóżko, wiesz? Kazałam pomalować ściany, kupiłam nową lampę, chodź, zobacz... A płaszcz, nie zdejmiesz płaszcza?... Nie jest ci gorąco?

Żołnierz w milczeniu wstał z krzesła i ruszył do sąsiedniej izby. Ruchy miał ociężałe i powolne, jakby nie miał swoich dwudziestu lat. Matka wyprzedziła go, żeby otworzyć na oścież okno, lecz wkradło się tylko szare światło pozbawione wszelkiej radości.

– Jak tu ładnie! – rzekł z udanym zachwytem już na progu, spoglądając na nowe sprzęty, czyściutkie firanki, białe ściany, wszystko takie świeże i jasne.

Ale wzrokiem pełnym niewymownego smutku, którego nikt nie powinien był zauważyć, spoglądał na smukłe ramiona matki pochylonej nad nową pościelą na łóżku. Anna i Pietro, rozpromienieni, stali za nim czekając właśnie na wielką scenę radości i zdziwienia.

Tymczasem nic z tego.

– Jak ładnie! Dziękuję, mamó – powtórzył, i to wszystko.

Umykał spojrzeniem jak ktoś, kto chce zakończyć męczącą go rozmowę. Od czasu

do czasu z wyraźnym zatroskaniem zerkał przez okno na drewniany zielony płótek, za którym wciąż krążyła jakaś postać.

– Jesteś zadowolony, Giovanni? Jesteś zadowolony? – pytała niecierpliwie matka, bo chciała go widzieć szczęśliwym.

– Och, tak, jest tak ładnie – powtarzał (dlaczego jednak uparcie nie zdejmował płaszcza?) i uśmiechał się z największym wysiłkiem.

– Mów, Giovanni – prosiła. – Co ci jest? Co ci jest, Giovanni? – nalegała. – Na pewno coś ukrywasz, dlaczego nic mi nie chcesz powiedzieć?

Zagryzał wargi, zdawało się, że coś go dławi w gardle.

– Mamo – odparł po chwili bezbarwnym głosem – muszę teraz iść, mamo.

– Musisz iść? Ale zaraz wrócisz, prawda? Wstąpisz do Marietty? Powiedz mi prawdę: wstąpisz do Marietty? – i nawet próbowała żartować, chociaż przepełniała ją troska.

– Nie wiem, mamo – odparł z goryczą ciągle panując nad sobą; obrócił się w stronę drzwi, wziął bermucę – nie wiem, ale teraz już muszę iść. On na mnie czeka.

– Ale później wrócisz? Wrócisz? Będiesz tu za dwie godziny, prawda? Sprowadzę wuja Giulia i ciotkę, wyobraź sobie, jakie to będzie dla nich święto, postaraj się przyjść przed obiadem...

– Mamo – powtórzył syn, jakby ją zaklinał, żeby już więcej nie mówiła, żeby milczała, na Boga, nie zwiększała jego udręki.

– Teraz już muszę iść, on na mnie czeka, dotychczas był spokojny.

I spojrział na nią wzrokiem przeszywającym serce. Zbliżył się do drzwi, rodzeństwo wciąż radosne, uczepliło się jego ramion, a Pietro podwinął połę płaszcza, żeby zobaczyć, jak brat jest ubrany.

– Pietro, Pietro! Co robisz? Zostaw, Pietro! – zawołała matka w obawie, że Giovanni się rozgniewa.

– Nie, nie! – krzyknął żołnierz zauważywszy gest chłopca. Ale już było za późno. Na moment rozwarły się obie poły błękitnego sukna.

– Och, Giovanni, biedaku, co oni ci zrobili? – bełkotała matka chwyciwszy się za głowę. – Giovanni, przecież to krew!

– Muszę już iść, mamo – rzekł raz jeszcze ze stanowczością desperata. – Zbyt długo na mnie czeka. Ciao, Anno, ciao, Pietro, żegnaj, mamo.

Już był przy drzwiach. Zniknął, jakby go wymiół wiatr. Biegiem niemal ruszył przez ogród warzywny, otworzył furtkę; dwa konie ruszyły galopem pod szarym niebem, ale tym razem już nie w kierunku wsi, lecz przez łąki, w stronę północy, w stronę gór. Galopowały, galopowały.

I wtedy wreszcie matka zrozumiała i bezmierna pustka, której nie wypełniłyby wieki, otwarła się w jej sercu. Zrozumiała tajemnicę płaszcza, smutek syna, przede wszystkim zaś zrozumiała, kim był ów nieznany osobnik, który czekał chodząc tam i z powrotem po ulicy; zrozumiała, kim był ten złowieszczy zwiastun, do tej chwili spokojny. Ile miłosierdzia i cierpliwości wykazał przyprowadzając Giovanniego do rodzinnego domu, żeby mógł pozdrowić swoją matkę (zanim uprowadzi go na zawsze); i czekał za płotem, on, władca świata, na zakurzonej drodze, jak zgłodniały żebrak.

SPOTKANIE Z EINSTEINEM

Późnym październikowym popołudniem, po całym dniu pracy, Albert Einstein spacerował samotnie ulicami Princetonu – i wtedy właśnie przydarzyła mu się rzecz niezwykła. Nagle, bez żadnego powodu, gdy myśli jego goniły tu i tam jak psy spuszczone ze smyczy, uczony zrozumiał to, na zrozumienie czego daremnie czekał całe życie. Na własne oczy bowiem zobaczył tak zwaną zakrzywioną przestrzeń i mógł jej się przyjrzeć ze wszystkich stron jak wy tej książce.

Panuje na ogół przekonanie, że umysł ludzki nigdy nie zdoła pojąć, czym jest zakrzywiona przestrzeń, jej długość, szerokość, gęstość, a ponadto czwarty tajemniczy wymiar, którego istnienie, choć stwierdzone, nie da się ogarnąć ziemskim rozumem; niby mur otacza on człowieka, który na rumaku nienasyconego umysłu cwałuje coraz dalej, coraz dalej, by w końcu roztrzaskać się o przeszkodę. Ani Pitagoras, ani Platon, ani Dante, gdyby żyli jeszcze na tym świecie, nie potrafiliby owej przeszkody pokonać, albowiem prawda nas przerasta.

Niektórzy jednak powiadają, że jest to możliwe dzięki wieloletnim ćwiczeniom i gigantycznym wysiłkom szarych komórek. Jakiś samotny uczony – w momencie gdy szalał świat, gdy dymiły pociągi i krematoria, gdy w parkach miejskich o zmierzchu całowali się zakochani – jakiś samotny uczony odznaczający się heroizmem ducha, tak przynajmniej głosi legenda, zobaczył – a mogło to trwać ledwie chwilę, jak gdyby pochyłonego nad przepaścią natychmiast ktoś go odciągnął – zobaczył więc zakrzywioną przestrzeń i przyjrzał się temu niewymownie subtelnemu dziełu natury.

Ale całe zjawisko dokonywało się w milczeniu, bez wiwatów na cześć bohatera. Zabrakło fanfar, wywiadów, medali za zasługi, był to bowiem triumf najzupełniej osobisty i Einstein mógł sobie powiedzieć: „Zrozumiałem, czym jest zakrzywiona przestrzeń”, nie miał jednak dokumentacji ani zdjęć, nie dysponował niczym, co poświadczyłoby, że to prawda.

Kiedy jednak nadchodzi taka chwila, w której myśl niby strzała wypuszczona w subtelnej strzelnicy ulatuje z niebywałą szybkością w niedostępne dla nas regiony wszechświata i to, co najpierw było sztywną formułą, poczętą i rozwijającą się poza naszą

świadomością, staje się częścią naszego życia, wtedy nagle rozwiązują się nasze trójwymiarowe problemy i czujesz – o, potężny człowieku! – żeś zanurzony i zawieszony w czymś zbliżonym, do wieczności.

Wszystko to przeżył profesor Albert Einstein w przepiękny październikowy wieczór, gdy niebo było jak kryształ, gdy tu i ówdzie, rywalizując z planetą Wenus, zapalały się kule elektrycznych latarni, a serce, ów miesiąc przedziwny, cieszyło się z łaskawości Boga. I chociaż Einstein był mężem uczonym, nie troszczącym się o wieńce laurowe, zdał sobie wówczas sprawę, że nie należy do tłumu, że jest jak nędzarz wśród nędzarzy, który spostrzegł, że ma kieszenie pełne złota. Tak więc opanowało go uczucie dumy.

Ale właśnie wtedy, niby za karę, równie szybko jak się pojawiła, rozviała się owa tajemnicza prawda i Einstein stwierdził, że znajduje się w jakimś nie znanym miejscu. Szedł teraz długą aleją między żywopłotami, wokół nie było ani domów, ani willi, ani baraków. Nie opodal wznosił się tylko wysoki słup stacji benzynowej, pomalowany w żółte i czarne pasy ze świetlną reklamą na swym szczycie. Przy niej zaś na drewnianej ławce czekał na klientów Murzyn. Ubrany był w szerokie robocze spodnie, na głowie miał czerwony kaszkiet baseballisty. Ledwie go Einstein minął, Murzyn wstał, postąpił kilka kroków w jego stronę i zawołał: „Panie, panie!” Był, jak się okazało, wysoki, raczej przystojny, o rysach afrykańskich, przerażających; w błękitnym mroku wieczornym rozbłysnął jego biały uśmiech.

– Panie – powtórzył – masz pan ogień? – I wskazał na niedopałek papierosa.

– Nie palę – odparł Einstein machinalnie jak oczarowany.

A Murzyn na to:

– Nie dałbyś mi pan jakiegoś napiwku? – Był młody, wysoki, nieokrzesany.

Einstein daremnie przeszukiwał kieszenie.

– Nie sądzę... nigdy nic przy sobie nie noszę... bardzo mi przykro...

I chciał odejść.

– Mimo wszystko dziękuję – rzekł Murzyn – ale... proszę wybaczyć...

– Czego jeszcze chcesz? – spytał Einstein.

– Jest mi pan potrzebny. Czekam tutaj umyślnie.

– Jestem ci potrzebny? Więc o co chodzi?...

A Murzyn na to:

– Potrzebuję pana dla jednej tajemniczej sprawy. I powiem to panu tylko na ucho.

Jego zęby błysnęły jeszcze bielszą bielą, bo tymczasem mrok zgęstniał. Murzyn nachylił się do ucha Einsteina i wyszeptał:

– Jestem diabeł Iblis, jestem Anioł Śmierci: muszę zabrać twą duszę.

Einstein cofnął się o krok.

– Odnoszę wrażenie – powiedział surowym tonem – odnoszę wrażenie, że za dużo wypijeś.

– Jestem Anioł Śmierci – powtórzył Murzyn. – Niech pan patrzy.

Podszedł do żywopłotu i wyrwał jedną z gałęzi; liście na niej w oka mgnieniu straciły barwę, zwiędły, zszarzały. Murzyn dmuchnął i wtedy wszystko – liście, łodyżki, gałązka – rozsypało się w proch.

Einstein spuścił głowę.

– Co za historia! Jesteśmy zatem... ale dlaczego właśnie tu, tego wieczoru... w tej alei?

– Taką mam misję.

Einstein rozejrzał się; wokoło nie było żywej duszy. Aleja, zapalone latarnie, dalej, na skrzyżowaniu, migoczące światła samochodów. Spojrzał także w niebo: było przezroczyste z wszystkimi gwiazdami na swoim miejscu. Właśnie zachodziła Wenus.

Einstein rzekł:

– Słuchaj, daj mi miesiąc czasu. Zjawiasz się akurat teraz, kiedy już kończę pracę. Proszę tylko o miesiąc.

– Tego, co chcesz odkryć, sam się dowiesz – odparł Murzyn. – Wystarczy, żebyś mi towarzyszył.

– To nie to samo. Jaką wartość ma coś, czego się dowiadujemy bez wysiłku? Moja praca ma wyjątkowe znaczenie. Męcę się nad nią trzydzieści lat. I teraz niewiele mi brakuje...

Murzyn uśmiechnął się szyderczo.

– Miesiąc, powiadasz? Ale w ciągu tego miesiąca nie próbuj się ukrywać. Jeśli nawet schowasz się w najgłębszej kopalni, i tam szybko cię odnajdę.

Nim Einstein zdążył jeszcze o coś zapytać, Murzyn zniknął.

Miesiąc to długo, gdy się czeka na kochaną osobę; bardzo krótko, gdy ten, który ma nadejść, jest wysłannikiem śmierci: miesiąc trwa wówczas krócej niż westchnienie. Minął

okrągły miesiąc i wieczorem, kiedy wreszcie został sam, ruszył Einstein na umówione spotkanie. Słup stacji benzynowej stał tam, gdzie przedtem; obok na ławce siedział samotny Murzyn opatulony w stary płaszcz wojskowy; było faktycznie zimno.

– Jestem – rzekł Einstein dotykając jego ramienia.

– No i jak twoja praca? Skończona?

– Nie jest skończona – odparł uczonego z zażenowaniem. – Daj mi jeszcze jeden miesiąc. Wystarczy mi, przysięgam. Tym razem jestem pewny, że się uda. Uwierz mi: pracowałem dniem i nocą, ale nie zdążyłem. Mało mi już brakuje.

Murzyn, nie odwracając się, wzruszył ramionami.

– Wszyscyście jednakowi. Trudno wam dogodzić. Na kolanach błagacie o odroczenie. I zawsze znajdujecie jakiś powód...

– Ale to, nad czym pracuję, jest trudne. Jeszcze nikt nigdy..

– Och, wiem, wiem – odparł Anioł Śmierci. – Szukasz klucza do wszechświata, no nie?

Milczeli. Mgła, noc już zimowa, nieswojo, człowiek chętnie siedziałby w domu.

– A więc...? – spytał Einstein.

– No, idź... Ale miesiąc szybko mija.

Minął błyskawicznie. Nigdy jeszcze Czas nie wchłonął tak szybko owych czterech tygodni. W wieczór grudniowy dął mroźny wiatr, na asfalcie pod stopami chrzęściły ostatnie opadłe liście; siwe włosy profesora wymykały się spod beretu baskijskiego i rozwiewały się na wietrze. I znów ta sama reklama stacji benzynowej i ten sam Murzyn w czapce narciarskiej na głowie, skulony na ławce, jak gdyby spał.

Einstein zbliżył się, nieśmiało dotknął jego ramienia.

– To znowu ja.

Murzyn nasunął niżej czapeczkę, szczerkał zębami z zimna.

– Ty?

– Tak, ja.

– A więc skończone?

– Tak, dzięki Bogu, skończyłem.

– Czyli wielki mecz zakończony. Znalazłeś, czegoś szukał? Wyrwałeś gwóźdź z wszechświata?

Einstein odkaslnął.

– Tak – odpowiedział żartobliwie – w pewnym sensie tak, we wszechświecie panuje teraz porządek.

– Przyszedłeś zatem. Jesteś gotów do drogi?

– Oczywiście. Przecież taką zawarliśmy umowę.

Murzyn zerwał się na równe nogi i wybuchnął typowym murzyńskim śmiechem. Potem palcem wskazującym prawej ręki pchnął z taką siłą w pierś Einsteina, że ten omal nie stracił równowagi.

– Idź, idź, stary draniu... Wracaj do domu i to biegiem, jeśli nie chcesz dostać zapalenia płuc... Już mnie w ogóle nic a nic nie obchodzisz.

– Zwalniasz mnie? Po co jednak były te wszystkie historie?

– Po to, żebyś skończył swoją pracę. Po nic innego. I udało mi się... Bóg jeden wie, ile by to jeszcze trwało, gdybym cię nie straszył.

– Moja praca... dlaczego była dla ciebie taka ważna?

Murzyn roześmiał się.

– Nie dla mnie... Dla moich szefów, dla wielkich demonów. Mówią oni, że nawet twoje początkowe odkrycia były im niezmiernie użyteczne... Nie ponosisz za to winy, ale tak jest. Czy ci się to podoba, czy nie, drogi profesorze, sprawiłeś Piekłu wielką frajdę. Znowu nabrano tam nadziei.

– Brednie! – zawołał Einstein z irytacją. – Czy znalazłbyś na świecie coś bardziej niewinnego? To są drobne formułki, czyste abstrakcje, nikogo nie krzywdzące, naturalne...

– Brawo! – krzyknął Iblis, znowu dźgając go palcem w brzuch. – Brawo! Więc może mnie wysłano niepotrzebnie? Więc pomylili się, według ciebie? Nie, nie, pracowałeś doskonale. Moi szefowie będą zadowoleni. Och, gdybyś wiedział!

– Gdybym wiedział co?

Ale Iblis zniknął. Zniknął też reklamowy słup stacji benzynowej. I ławka. Dokoła tylko noc, wiatr, a w dole, na skrzyżowaniu przejeżdżające samochody. W Princeton, New Jersey.

KULKA PAPIERU

Była druga w nocy, kiedy Francesco i ja znaleźliśmy się przypadkiem – czy naprawdę przypadkiem? – na ulicy Calzavara przed domem numer 37, gdzie mieszkał poeta.

Sławny wieszcz, zgodnie z tradycyjną symboliką, rezydował na ostatnim piętrze wielkiej, nieco ponurej kamienicy. Przystanęliśmy więc i pełni nadziei bez słowa spojrzeliśmy w górę. Fasada posępnego falansteru była zupełnie ciemna, tylko pod samym dachem, pod azurowym zwieńczeniem, które przesiewało chmury na niebie, w samotnym okienku płonęło słabe światełko. W porównaniu z całą resztą, w porównaniu z ludźmi śpiącymi snem zwierząt, w porównaniu z szeregiem zamkniętych okien, chciwych i ślepych, jakże triumfalnie błyszczało to światełko.

Może trąci to wyświechtanym romantyzmem, pocieszyła nas jednak świadomość, że podczas, gdy wszyscy pogrążeni są w posępnym śnie, tam, w górze, poeta tworzy samotnie przy świetle lampy. Była to istotnie godzina późna, najdalsze, najgłębsze ustronie nocy, gdzie rodzą się marzenia, a dusza, jeśli może, uwalnia się od nagromadzonych cierpień, szybuje ponad dachami, ponad spowitym mgłą światem i szuka tajemnych słów, które jutro spotęgują swój czar, zapadną w serce ludzi skłaniając ich do myślenia o rzeczach wzniosłych. Bo czystym niepodobieństwem jest, by poeta zasiadał do pracy o dziesiątej rano, przypuśćmy, ledwie się ogoliwszy po obfitym śniadaniu.

Kiedy uważnie spoglądaliśmy w górę, a niejasne myśli krążyły nam po głowie, jakiś cień poruszył się w prostokącie oświetlonego okna i coś musnęło nas w przelocie, łagodnie opadając na ziemię. W blasku najbliższej latarni zobaczyliśmy, że to kulka papieru. Odbiła się o chodnik.

Czy to było posłanie do nas, czy przynajmniej apel do nieznanego przechodnia, apel zamknięty w butelce i powierzony falom oceanu przez rozbitka z bezludnej wyspy?

Oto pierwsze przypuszczenie, jakie nam się nasunęło. Ale kto wie, może poeta zasłabł, a że nikogo przy nim nie ma, tą drogą wzywa pomocy? Może też wdarli się do niego włamywacze i nieszczęśnik woła o ratunek?

Pochyliliśmy się obaj jednocześnie, by podnieść zwitek papieru. Byłem szybszy.

– Co to? – spytał przyjaciel.

Rozwijałem już kulkę pod latarnią. Nie była to jednak zwinięta kartka. Ani prośba o pomoc. Rzeczywistość okazała się prostsza i banalniejsza. Trzymałem w ręku kulkę utoczoną ze skrawków zapisanego – jak zauważyłem – papieru. Widocznie poeta pod wpływem rozczarowania bądź wściekłości podarł stronicę na sto drobnych kawałków, zrobił z nich kulkę i cisnął przez okno na ulicę.

– Nie wyrzucaj – rzekł szybko Francesco – może to bardzo piękny poemat. Przy odrobinie cierpliwości da się te skrawki złożyć.

– Gdyby wiersz był bardzo piękny, to na pewno by się go nie pozbył. Skoro zaś wyrzucił, to znaczy, że nie był zadowolony, czyli utwór nie podobał mu się i nie uznał go za własny.

– Chyba go nie znasz. Jego najsłynniejsze wiersze zostały ocalone przez przyjaciół, którzy nad nim czuwali. Chciał je zniszczyć. Nic go nie zadowala.

– Przecież jest stary – odpowiedziałem. – Już od lat nie pisuje.

– Pisuje, tylko nie daje do druku, bo nigdy nie jest ze swej poezji zadowolony.

– Dobrze. A gdyby zamiast wiersza – ciągnąłem – była to po prostu notatka, list do przyjaciela lub na przykład spis wydatków?

– O tej godzinie...?

– Oczywiście. O tej godzinie. Poeci, jak sobie wyobrażam, robią rachunki również o drugiej w nocy.

Mówiąc to jednak, ścisnąłem w dłoniach skrawki papieru i uformowawszy je w kulkę wsunąłem do kieszeni marynarki.

Mimo nalegań Francesca nie rozwinąłem kulki, nie rozłożyłem na stole skrawków papieru, nie próbowałem zrekonstruować całości i przeczytać tego, co on napisał. Prawie w tym samym stanie, w jakim podniosłem ją z ziemi, schowałem kulkę w szufladzie i tam leży ona do dziś.

Nie sposób wykluczyć, że mój przyjaciel miał rację i że wieszcz, nie zadowolony po prostu z własnych utworów i doknięty obsesją perfekcjonizmu, niszczył także te poematy, które mogły mu zapewnić nieśmiertelność. Może słowa, utrwalone na papierze owej nocy, tworzyły boską harmonię, może były najpotężniejsze i najczystsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek ktokolwiek napisał.

Ale trzeba też uwzględnić inne hipotezy: że chodzi o rzecz bez znaczenia, że jest tą, jak rzekłem wyżej, zwykła notatka, rachunki domowe, że poeta drąc zapisaną stroniczkę nie był poetą, lecz zwykłym śmiertelnikiem lub osobą urzędową (trudno to ustalić na podstawie charakteru pisma); albo nawet mógł to być wiersz nieudany; albo też, czego nie wolno wykluczyć, my obaj popełniliśmy omyłkę i oświetlone okno nie było oknem poety, należało do innego mieszkania, a wówczas podarty rękopis trzeba by potraktować jak makulaturę.

Owe negatywne domysły nie pozbawiają mnie zresztą chęci odtworzenia tekstu. Okoliczności, w jakich nocą znaleźliśmy tę kulkę papieru, domysły, może bezpodstawne, że tajemnicze przesłanie zawiera – co zdarza się częściej, niż sądzimy – fakty z życia, zależne na pozór od ślepego przypadku, myśl o tym, że dzięki opatrności, za sprawą mądrego losu Francesco i ja, właśnie o tej godzinie, właśnie tej nocy, właśnie my przechwyciliśmy skarb, który inaczej byłby stracony – wszystko to wraz z sugestywną mocą argumentów opartych na irracjonalizmie przekonało mnie, że w tułającej się kulce papieru ukrywa się wielki sekret; poemat o nieziemskiej urodzie, który – jak sądzę – autor chciał zniszczyć uświadomiwszy sobie z goryczą, że już nie wzniesie się wyżej (istotnie bowiem artysta, osiągnąwszy szczyt swej paraboli, schodzi nieuchronnie w dół, gotów znienawidzić wcześniejszą twórczość przypominającą mu szczęście utracone na zawsze).

Przekonany o tym wolę nie naruszać cennej tajemnicy zamkniętej w szkatułce, wolę ją tam zatrzymać przez czas nieokreślony. A ponieważ czekanie na szczęśliwą chwilę daje nam więcej radości niż jej przeżycie (i mądrze jest smakować ów cudowny rodzaj pragnienia, wierząc, że choć jeszcze nie zaspokojone, spełni się jednak; krótko mówiąc: to oczekiwanie, któremu nie towarzyszą obawy ani wątpliwości, stanowi przypuszczalnie jedyną formę szczęścia zapewnionego człowiekowi), podobnie jak wiosna będąca obietnicą rozwesela ludzi bardziej niż lato będące wymarzoną spełnieniem – przedwczesne rozkoszowanie się splendorem nieznanego poematu jest równoznaczne, a nawet przewyższające artystyczną rozkosz bezpośredniego i głębokiego doznania. Można by powiedzieć, że jest to gra wyobraźni trochę nadto swobodna, że toruje w ten sposób drogę do mistyfikacji i bluffu. Jeśli natomiast cofniemy się, to stwierdzimy, że najśłodsze i największe radości nigdy nie miały solidniejszej podstawy.

Może zresztą chodzi tu o tajemnicę poezji wyrażoną w jednym ze skrajnych

przykładów? Możliwe nawet, że nie wymaga ona otwartego, i powszechnie zrozumiałego języka, ani nie musi odznaczać się logiką, ani jej słowa nie muszą formułować poprawnych zdań lub wyrażać racjonalnych pojęć. I jeszcze coś: słowa, jak w naszym przypadku, mogą być podzielone na części, z pomieszaniem w bezładzie sylabami. Więcej nawet: żeby smakować ich czar, żeby odczuwać ich potęgę, niekoniecznie trzeba je odczytywać. Wystarczy więc patrzeć na nie, wystarczy kontakt, fizyczna bliskość? Może tak. Najważniejsza ze wszystkiego jest wiara, że w tej książce, na tej stronicy, w tych strofach, w tych znakach objawia się arcydzieło (patrz Leopardi, „Notatnik moich myśli”: „Piękno w większości przypadków jest pięknem, bo za takowe je uważamy”). Ja, na przykład, kiedy wysuwam szufladę i ściskam w ręku kulkę papierową, która w skrętach liter ukrywa ponoć szkic wierszy, powoduję się może autosugestią, ale pod wpływem owego czaru czuję się bardziej zadowolony, żywszy, lżejszy, chłonę światłość duchowej wspaniałości, a z odległego horyzontu zaczynają ku mnie przybliżać się góry, samotne góry. (Gdy tymczasem w środku papierowej kulki tkwi jedynie brudnopis anonimowego donosu na kolegę).

EKSPRES

– Tym pociągiem jedziesz?

– Tym.

Straszliwa lokomotywa pod zadymionym dworcowym dachem sprawiała wrażenie rozjuszonego byka, który aż grzebie kopytem, tak spieszno mu do drogi.

– Tym pociągiem jedziesz? – spytali. Bo naprawdę budziła grozę, gdy pod gwałtownym ciśnieniem para wodna z sykiem uchodziła wszystkimi jej szczelinami.

– Właśnie tym – odparłem.

– A dokąd?

Wymieniłem nazwę miejscowości. Jej imię. Nigdy go dotychczas nie wymówiłem, nawet w rozmowach z przyjaciółmi, skrępowany jakimś dziwnym wstydem. Wielkie to imię, największe, cudowne przeznaczenie. Nie mam wprost odwagi, by je napisać.

Wtedy spojrzeli na mnie – każdy inaczej: z gniewem na moją zuchwałość, szyderstwem z mego szaleństwa, politowaniem nad moimi iluzjami. Ktoś się śmiał. Jednym susem wskoczyłem do wagonu. Otworzyłem okno, szukałem w tłumie twarzy przyjaciół. Choćby znajomego psa.

Jedź, pociągu, nie trać ani minuty, pędź, galopuj. Panie maszynisto, proszę, nie oszczędzaj węgla, dodaj ducha lewiatanowi. Rozległo się sapanie lokomotywy, wagony drgnęły, ruszyła, najpierw wolno, jeden za drugim – przedefilowały przede mną filary podtrzymujące dworcowy dach. Potem domy domy fabryki gazownie hangary domy domy kominy tunele domy domy drzewa domy puf-puf-puf-puf łąki wioski chmury wędrujące po rozległym niebie! Hej, maszynisto, całą naprzód!

Boże, jak on pędził, ten pociąg. Przy tym tempie, myślałem, dotrzemy w krótkim czasie do stacji numer 1, potem do 2, 3, 4 i wreszcie do 5, która była ostatnia i oznaczała zwycięstwo. Przez szybę patrzyłem z zadowoleniem na druty elektryczne, które opadały, opadały i nagle biegły pionowo w górę do kolejnego słupa; a rytm ciągle narastał. Naprzeciw mnie na ławce obitej czerwonym pluszem siedziało dwóch panów; mieli typowe twarze podróżnych i ustawicznie spoglądali na zegarek, pomrukiwali przy tym i

kręcili głowami.

Wtedy ja, a jestem raczej nieśmiały, zdobyłem się na odwagę i zapytałem:

– Panowie, nie chcę być niedyskretny, ale powiedzcie mi, dlaczego tak kręcicie głowami?

– Kręcimy głowami – odparł starszy mężczyzna – bo ten przekłety pociąg nie jedzie zgodnie z rozkładem; strasznie się grzebie, będziemy mieć bardzo duże opóźnienie.

Nic nie odrzekłem, ale pomyślałem; „Och, ci wiecznie niezadowoleni ludzie; ten pociąg wprawia przecież w podziw swym wigorem i dobrą wolą, jest jak tygrys, żaden jeszcze nie potrafił gnać tak szybko, a oni, ci odwieczni podróżni, nic, tylko się wciąż uskarżają”.

Wioski po jednej i po drugiej stronie toru umykały tymczasem błyskawicznie, a przestrzeń za nami powiększała się do rozmiarów niezwykłych.

Istotnie: stacja numer 1 ukazała się wcześniej, nim jeszcze zacząłem jej oczekiwać. Sprawdziłem godzinę. Przybyliśmy punktualnie. Tu, według programu, miałem się spotkać z inżynierem Moffinem w pewnej bardzo ważnej sprawie. Wsiadłem z pociągu i pospieszyłem zgodnie z umową do restauracji pierwszej klasy, gdzie rzeczywiście zastałem Moffina, który dopiero co skończył jeść.

Przywitałem się z nim, usiadłem, lecz on wcale nie napomknął o naszej sprawie, mówił o pogodzie, na tematy obojętne, jakbyśmy mieli mnóstwo czasu do dyspozycji. W końcu po dobrych dziesięciu minutach (a do odjazdu brakowało zaledwie siedmiu), zdecydował się wyciągnąć ze skórzanej teczki właściwe akta. Zauważył przy tym, że popatruję na zegarek.

– Czy pan się przypadkiem nie spieszy, młody człowieku? – spytał nie bez ironii. – Ja, jeśli mam być szczery, nie lubię załatwiania spraw w takim tempie...

– Słusznie, szanowny panie inżynierze – rzekłem zdobywszy się na odwagę – ale mój pociąg zaraz odjeżdża i...

– Skoro tak – odparł, energicznym ruchem zgarniając papiery – skoro tak, to żałuję, bardzo żałuję, ale porozmawiamy innym razem, kiedy pan, drogi panie, będzie mniej skrepowany czasem.

I wstał.

– Proszę mi wybaczyć – wyjąkałem – to nie moja wina. Pan rozumie, pociąg...

– Nieważne, nieważne – rzekł uśmiechając się wyniośle.

Ledwie wyszedłem na peron, a już pociąg ruszył wolniutko. „Cierpliwości – myślałem – odłożymy to na później. Chodzi przede wszystkim o to, żeby mi pociąg nie uciekł”.

Wprost fruwailiśmy ponad wioskami, a druty telegraficzne podrygiwały skacząc w górę i w dół jak w tańcu świętego Wita; ukazywały się bezkresne łąki, a domy były coraz rzadsze i rzadsze, bo posuwaliśmy się po ziemiach północnych, które otwierają się jak wachlarz ku samotności i tajemnicy.

Moich dwóch panów już nie było. W przedziale siedział dobrodusznie wyglądający pastor i ciągle kaszłał. A za nami i łąki, i lasy, i rozlewiska; a im dalej, tym większe dręczyły mnie wyrzuty sumienia.

W pewnej chwili, nie mając nic lepszego do roboty, spojrzałem machinalnie na zegarek, pastor także, między jednym atakiem kaszlu a drugim, sprawdził godzinę; potrząsnął głową. Tym razem nie spytałem dlaczego, niestety, dobrze wiedziałem. Była 16.35 i już przed kwadransem powinniśmy byli wjechać na stację 2, której nawet nie widzieliśmy na horyzoncie.

Na stacji 2 miała czekać na mnie Rosanna. Kiedy pociąg zatrzymał się, na peronie było dużo ludzi. Ale nie zauważyłem Rosanny. Mieliśmy półgodzinne opóźnienie. Wskoczyłem na peron, przeszedłem go wzdłuż i wszerz, wyjrzałem na plac przed stacją. I wtedy w głębi ulicy, daleko, zobaczyłem Rosannę, szła nieco pochylona.

– Rosanno, Rosanno! – zawołałem głośno. Ale moja ukochana stała się nagle daleka. Nawet się nie odwróciła, a ja wciąż zadaję sobie pytanie: szczerze mówiąc, czy mogłem biec za nią, opuścić pociąg i całą resztę?

Rosanna znikła w głębi ulicy; bogatszy o nowe rozczarowanie wsiadłem do ekspresu i dalej, przez równiny północne, w stronę tego, co ludzie nazywają przeznaczeniem. Czy w końcu miłość jest taka ważna?

Jechaliśmy jeszcze przez całe dni, druty elektryczne za torami wykonywały swój neurasteniczny taniec, dlaczego jednak stukot kół zatracił swój piękny poprzedni impet? Dlaczego na horyzoncie drzewa, zniechęcone, ociągały się zamiast wyskakiwać w górę jak nagle przychwycone zające?

Na stacji numer 3 było zaledwie dwadzieścia osób. Nie widziałem członków komitetu, którzy mieli mnie powitać.

Na peronie zasięgnąłem informacji.

– Czy przypadkiem nie zjawiał się tu taki to a taki komitet – zapytałem – mężczyźni i kobiety z orkiestrą i sztandarami?

– Tak, tak, byli tu. Nawet długo czekali. Potem mieli dość i poszli sobie.

– Kiedy?

– Ze trzy, cztery miesiące temu – odpowiedziano. Wtedy usłyszałem długi gwizd odjeżdżającego pociągu.

Odwagi więc i w drogę. Ekspres wyteżał wszystkie swe siły, ale na pewno nie był to już ten dawny oszałamiający pęd. Wybrakowany węgiel? Inne powietrze? Chłód? Zmęczony maszynista? A odległość pozostawiona z tyłu robiła wrażenie przepaści, która powodowała zawrót głowy.

Wiedziałem, że na stacji numer 4 będzie mnie oczekiwać mama. Kiedy jednak pociąg zatrzymał się, perony były puste. I padał śnieg.

Wychyliłem się przez okno, rozejrzałem się wokół i już miałem je, rozczarowany, zamknąć, kiedy nagle ją zobaczyłem: w poczekalni, skulona w kącie na ławce, spała owinięta szalem. Litości, jakże zrobiła się maleńka!

Wyskoczyłem z pociągu i pobiegłem ją uściskać. Spostrzegłem wówczas, że prawie nic nie waży: kruche skupisko kości. I wyczułem, że drży z zimna.

– Powiedz, długo czekasz?

– Nie, nie, synu – zaśmiała się uszczęśliwiona – nie minęły nawet cztery lata.

Mówiąc to nie patrzyła na mnie, tylko na posadzkę, jakby tam czegoś szukała.

– Czego szukasz, mamó?

– Nic, nic... A twoje walizki? Zostawiłeś je może na peronie?

– Są w pociągu – odrzekłem.

– W pociągu? – i cień rozpaczony niby welon zasnuł jej twarz. – Jeszcze ich nie wyładowałeś?

– Ależ ja... – nie wiedziałem, jak to ująć.

– Chcesz powiedzieć, że wkrótce odjeżdżasz? Że nie zatrzymasz się nawet na jeden dzień?

Umilkła, przestraszona, i spojrzała na mnie. Westchnąłem.

– No, dobrze! Opuszczę pociąg: niech sobie jedzie. Pobiegnę po walizki. Zdecydowałem się. Zostaję tutaj z tobą. W końcu czekałaś na mnie cztery lata.

Moje słowa znów odmieniły twarz mamy. Odzyskała radość i uśmiech (który jednak już nie promieniował dawnym światłem).

– Nie, nie, nie idź po bagaże, źle się wyraziłam. Ot, żartowałam. Rozumiem ciebie. Nie możesz się zatrzymać w tej biednej okolicy. Nie rób tego dla mnie – błagała. – Nie powinieneś przeze mnie tracić ani godziny. Lepiej, żebyś zaraz pojechał. Naprawdę. To twój obowiązek... Chciałam tylko jednego: znowu ciebie zobaczyć. Zobaczyłam ciebie, teraz jestem szczęśliwa...

Zawołałam:

– Bagażowy, bagażowy! – Jakiś bagażowy wyrósł nagle przede mną. – Proszę tu trzy walizki!

– Jakie walizki? – powtórzyła mama. – Taka okazja więcej się nie powtórzy. Jesteś młody, musisz jechać. Szybko, wsiadaj do wagonu. Idź, idź – uśmiechnęła się z wielkim wysiłkiem i popychała mnie lekko w stronę pociągu. – Na litość boską, pospiesz się, już zamykają drzwi.

Nie wiedząc jak i kiedy, wraz z całym moim egoizmem, znalazłem się w przedziale i wychyliłem się przez otwarte okno, gestem przekazując ostatnie pozdrowienia.

Pociąg mknął naprzód, mama stawała się coraz mniejsza, coraz mniejsza; smutna, nieruchoma figurka na opustoszałym peronie, pod padającym śniegiem. Potem była już tylko czarnym punktem bez twarzy, maleńką mrówką w bezmiarze wszechświata, i wkrótce wyparowała w nicość. Żegnaj.

Znów zatem z wieloletnim opóźnieniem jesteście w drodze. Ale dokąd jedziemy? Zapada wieczór, w wagonach mroźno, nikt już tu prawie nie pozostał. Gdzieniedzie, w kącikach ciemnych przedziałów, siedzą nieznajomi podróżni o bladych twarzach; zimno im i nic nie mówią.

Dokąd? Jak daleko do ostatniej stacji? Czy kiedykolwiek tam dotrzemy? Czy warto było uciekać z taką zaciekłością od ukochanych miejsc i osób? Gdzie ja podziąłem papierosy? Ach, są tutaj, w kieszeni marynarki. Oczywiście nie ma już powrotu.

Dalej więc, panie maszynisto. Jak wyglądasz, jak się nazywasz? Nie znam i nigdy ciebie nie widziałem. Biada, jeśli mi nie pomożesz. Trzymaj się dzielnie, piękny maszynisto, wrzuc do paleniska ostatnie kawałki węgla, spraw, by fruwał ten stary skrzypiący gruchot, zmusz go, błagam, do zawrotnego pędu, żeby choć trochę przypominał dawniejszą lokomotywę, pamiętasz? Ruszaj nocą, ruszaj szybko. Ale na litość boską, nie

załamuj się, nie pozwól, by zmorzył cię sen. Może jutro dojedziemy.

KONIEC ŚWIATA

Pewnego ranka około dziesiątej na niebie ponad miastem ukazała się olbrzymia pięść. Z wolna rozwarła szpony i znieruchomiła zwiastując wielkie nieszczęście. Wydawała się kamienna, a nie była kamieniem, wydawała się cielesna, a nie była ciałem, wydawała się chmurą, a i nią nie była. Był to Bóg; i koniec świata! Szept na dole stopniowo przechodził w wycie, potem w ryk; rozprzestrzeniał się po całym mieście, aż stał się jednym zwartym i strasznym głosem, który unosił się w górę jak huk trąb.

Luiza i Pietro stali na małym placu, który otaczały fantazyjne pałacyki i liczne ogrody. A na niebie, na bezmiernej wysokości widniała ręka. Otwierały się okna, narastały krzyki i głosy trwogi, a jednolity ryk powoli się uciszał; młode dystygowane damy wychodziły z domów, by obejrzyć Apokalipsę. Ludzie opuszczali mieszkania, biegli gnani lękiem, lecz nie wiedzieli, gdzie znaleźć schronienie. Luiza wybuchnęła urywanym łkaniem.

– Wiedziałam – bełkotała wśród łez – wiedziałam, że do tego dojdzie... nigdy nie chodziłam do kościoła... nigdy nie odmawiałam pacierza... oszukiwałam, oszukiwałam... a teraz... czułam, że tak się to skończy!...

Cóż mógł jej na pocieszenie powiedzieć Pietro? On także rozplakał się jak dziecko. Niemal wszyscy zanosili się płaczem, zwłaszcza kobiety. Jedynie dwaj zakonnicy, rześcy staruszkowie, szli różnym krokiem, zadowoleni i szczęśliwi.

– Biada nikczemnikom, nareszcie! – pokrzykiwali wesoło do przechodniów i maszerowali szybko wśród tłumu. – Już nie grzeszycie, co? Teraz nasza kolej, teraz my możemy się zabawić! – (i uśmiechali się). – My, wiecznie wyszydzani, których mieliście za durniów! Zobaczymy, kto jest górą!

Przypominali psotnych uczniów, gdy tak biegli wśród gęstniejącego tłumu, a ludzie patrzyli na nich, nie odważając się odezwać słowem. Już od kilku minut zniknęli za rogiem, kiedy jakiś mężczyzna zrobił instynktowny ruch, jakby chciał się za nimi rzucić w pogoń, bo stracił cenną okazję.

– Na Boga! – wołał pukając się w czoło – i pomyśleć, że u nich mogliśmy się wypowiadać!

– Co za pech! – wtórował ktoś inny. – Jacy z nas głupcy! Mieć ich pod ręką i wypuścić!

Ale kto mógł dogonić zakonników?

Przerażeni grzesznicy wracali z kościołów, złorzeczyli, rozczarowani i pozbawieni spokoju ducha. Spowiednicy bowiem zniknęli, ściągnięci zapewne przez najwyższych dostojników i wielkich przemysłowców. Jakimś cudem pieniądz zachował władzę, nawet w obliczu końca świata, który mógł nastąpić w każdej chwili, za minutę, godzinę, dzień. A do nielicznych spowiedników ustawiały się w kościołach tak ogromne kolejki, że nie można się było do nich dopchać. Miały podobno miejsce poważne wypadki spowodowane ściskiem, mówiono również o przebranych za księży oszustach, którzy za bajeczne sumy proponowali spowiedź w domu. Młode pary pokładały się bezwstydnie na łąkach i w parkach, by raz jeszcze zażyć rozkoszy. Ręka nabrała teraz barwy ziemistej, mimo że oświetlało ją słońce, i była przez to jeszcze straszniejsza. Rozeszła się pogłoska, że katastrofa jest bliska; niektórzy zaklinali się, że nikt nie doczeka południa.

W pobliżu jednego z pałacyków wyposażonego w małą wytworną loggię położoną nieco wyżej niż ulica (prowadziły tam dwa stopnie wachlarzowatych schodów) ujrano młodego księdza. Szedł szybkim krokiem, z głową wsuniętą w ramiona. Było to zdumiewające: ksiądz, który o tej porze zmierza do tego wspaniałego domu, gdzie urzędowały kurtyzany.

– Ksiądz! Ksiądz! – krzyknął ktoś w tłumie.

Ludzie błyskawicznie zastąpili mu drogę, nim zdołał się wymknąć.

– Spowiedzi! Spowiedzi! – rozległy się wrzaski. Wciągnięto go, pobladłego, pod daszek, który osłaniał loggię tworząc coś w rodzaju małej, pełnej wdzięku kapliczki; wydawało się, że zrobiono ją umyślnie w tym celu. Mężczyźni i kobiety tłumnie ustawili się w kolejce, z hałasem przepychali się z dołu do góry, czepiając się ornamentów, kolumnienek i balustrady; było to zresztą nie nazbyt wysoko.

Ksiądz zaczął spowiadać. Szybko odprawiał nieznanym mu ludzi (którzy wcale nie przejmowali się tym, że inni mogą ich słyszeć). Nim jeszcze skończyli, kreślił niedbale prawicą znak krzyża, odpuszczał winy i przechodził natychmiast do kolejnego grzesznika. Tylu ich było! Ksiądz rozglądał się wokoło przerażony, mierząc wzrokiem rosnącą falę grzechów, które miał odpuścić. Luiza i Pietro z wielkim trudem również dotarli do kapliczki, doczekali się swojej kolejki, zdołali dojść do księdza i zostali wysłuchani.

– Nigdy nie chodzę na mszę, kłamię! – wykrzykiwała gwałtownie dziewczyna, kajająca się i udręczona, bojąc się, że nie zdąży – zresztą, wyznaję wszystkie grzechy, co tylko ksiądz chce... proszę mi odpuścić wszystko... I spowiadam się nie ze strachu, że to już koniec, naprawdę, to dlatego, że chcę być blisko Boga, przysięgam, że... – i wierzyła w swoją szczerłość.

– Ego te absolvo – mruknął ksiądz i zaczął słuchać Pietra.

W ludziach narastał niewypowiedziany strach. Ktoś zapytał:

– Ile jeszcze do Sądu Ostatecznego?

Ktoś inny, dobrze poinformowany, spojrzął na zegarek:

– Dziesięć minut – odparł autorytatywnie.

Słowa te usłyszał ksiądz. Chciał się wycofać, ale wciąż nienasyчени ludzie zatrzymali go na miejscu. Wydawało się, że ma gorączkę, było jasne, że płaczliwe głosy penitentów docierają do niego tylko jako bezkształtny, pozbawiony sensu szmer; robił kolejne znaki krzyża, powtarzał bezwiednie, machinalnie słowa „Ego te absolvo”

– Osiem minut – padło ostrzeżenie w tłumie. Ksiądz zatrzęsł się całym ciałem i zaczął tupać nogami w marmur jak nieposłuszne dziecko.

– A ja? A ja? – wołał z rozpaczą. Udaremniłi mu zbawienie jego własnej duszy, niech będą przeklęci; zawładnie nią szatan. Ale jak się od nich uwolnić? Jak zbawić samego siebie? – A ja? A ja? – łkając niemal pytał tysięcy ludzi spragnionych raj. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi.

QUIZ SKAZAŃCÓW

W tym wielkim więzieniu na peryferiach miasta, więzieniu dla dożywotnich, ustanowiono pewną regułę, pozornie humanitarną, w rzeczywistości nader okrutną.

Każdemu z nas, skazanych na dożywocie, zezwala się raz jeden wystąpić z półgodzinnym przemówieniem do mieszkańców miasta. Więźnia wyprowadza się z celi na balkon frontowego budynku, w którym mieszczą się biura administracji. Na rozległym placu Świętej Trójcy gromadzą się tłumy. Jeśli słuchacze nagrodzą przemówienie brawami, więzień zostaje uwolniony.

Mogłoby się wydawać, że to akt wyjątkowej łaskawości. Ale tak nie jest. Po pierwsze, można apelować do publiczności tylko raz, czyli raz w życiu. Po wtóre, jeśli tłum nie wyrazi aprobaty – a prawie nigdy jej nie wyraża – to wyrok, niejako uprawnomocniony głosem ludu, tym silniej ciąży na duszy skazańca i dalsze dni pokuty stają się dla niego jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Inna okoliczność natomiast zamienia nadzieję w torturę. Więzień w ogóle nie wie, kiedy wypadnie mu przemawiać. Decyzję podejmuje sam dyrektor. Może się zdarzyć, że wyprowadzą człowieka na balkon już w pół godziny po osadzeniu go w celi. Ale nie jest też wykluczone, że każą mu czekać długie lata. Jeden z nas, skazany w kwiecie wieku, został wyprowadzony na ten złowieszczy balkon, gdy był już zgrzybiałym starcem i ledwie mógł poruszać wargami. Dlatego nie sposób przygotować się w skupieniu do tak ciężkiej próby. Wciąż pojawia się myśl: może wezwą mnie jutro, może dziś wieczorem, może za godzinę. Rodzi się niepokój, a niepokój mnoży chaotyczne pomysły, bezładne projekty zaplątane w neurastenicznej sieci. Nie pomagają także rozmowy z towarzyszami niedoli podczas krótkich codziennych spacerów. W zasadzie nie jesteśmy zgodni co do wyboru głównego tematu przemówień. W zasadzie każdy łądzi się, że odkrył wielką tajemnicę, że znalazł ów nieodparty argument, którym pozyska sobie serce nienasyconego tłumy. I boi się ujawnić swój sekret, żeby go inni nie ubiegli: jest bowiem rzeczą logiczną, że ludzie, poruszeni do głębi czyjąś historią, stają się sceptyczni i nieufni, gdy usłyszą ją po raz drugi.

W znalezieniu metody postępowania pomocne byłyby doświadczenia tych, którzy

wygłosili swoje przemówienia bez pożądanego rezultatu. Wtedy przynajmniej można by odrzucie chwytów, jakimi się posłużyli. Ale nasi „komedianci” milczą. Na próżno zaklinamy ich, by zdradzili treść swych wystąpień i reakcję tłumu. Śmieją się szyderczo i pary z gęby nie puszczają. „Całe życie przesiedzimy w pudle – myślą zapewne – więc i wy tu powinniście pozostać; nie chcemy wam pomóc, i już”. Kanalie.

Co gorsze jednak, pomimo tych wszystkich tajemnic, dociera do nas to i owo. Ale w mętnych pogłoskach nie można się doszukać żadnych wskazówek. Wynika z nich na przykład, że więźniowie stosują na ogół dwa chwytów: zapewniają o własnej niewinności i o gorącym przywiązaniu do rodziny, co jest więcej niż oczywiste. Ale jak podają te dwa argumenty? Jaki styl obierają? Złorzeczą? Błagają? A może płaczą? Tego nie wiemy.

Największy szkopuł przedstawiają dla nas mieszkańcy miasta. My, być może, zasługujemy na szubienicę. Tymczasem ci na wolności, mężczyźni i kobiety zza murów są bez serca. Ledwie posłyszają, że któryś z nas ma wystąpić, od razu zbiegają się na plac i oczywiście nie przejmują się faktem, że od ich sądu zależy istnienie człowieka: przychodzą dla rozrywki, jak na festyn. A publika nie składa się bynajmniej z samych łobuzów i szumowin; zjawia się również wiele osób o nieposzlakowanej opinii: urzędnicy, przedstawiciele wolnych zawodów, robotnicy z całymi rodzinami. Zachowanie ich nie świadczy jednak o zrozumieniu, współczuciu czy litości. Chcą mieć zabawę. My zaś, ubrani w pasiaki, z głowami wygolonymi do połowy, wyglądamy, co tu mówić, ohydnie i tak groteskowo, że wprost trudno to sobie wyobrazić. Nieszczęśnika, który ukazuje się na balkonie, nie spotyka – jak należałoby oczekiwać – milczenie pełne szacunku bądź zażenowania; przeciwnie: witają go gwizdy, nieprzyzwoite gesty, wybuchy śmiechu. Co ma począć w takiej chwili człowiek wzburzony i rozdygotany, stojący przed tą widownią? Sytuacja po prostu beznadziejna.

Co więcej: krąży legenda, że jednemu z więźniów udało się zwycięsko wyjść z tej próby. Nie jest to wiadomość sprawdzona. Pewne jest natomiast, że od dziewięciu lat, to znaczy, od kiedy zostałem tutaj przeniesiony, nikomu się jeszcze nie poszczęściło. Przeważnie raz w miesiącu któregoś z nas wyprowadzano na balkon, żeby wygłosił swoją mowę. Wszyscy zaraz potem wracali do celi. Wygwizdani bestialsko przez tłum.

Strażnicy oznajmniają mi właśnie, że nadeszła moja kolej. Jest druga po południu. Za dwie godziny muszę stanąć przed tłumem. Ale ja się nie boję. Wiem już, słowo po słowie,

co im powiem. Wierzę, że rozwiązałem zagadkę straszliwego quizu. Przemyślałem nad tym bardzo długo; proszę tylko zauważyć: dziewięć lat nieprzerwanych medytacji. Nie mam złudzeń: na pewno nie trafię na publiczność mniej złośliwą niż tamta, która wysłuchiwała moich przegranych raz na zawsze towarzyszy.

Otwierają żelazne drzwi celi, każą mi przejść przez cały blok i dwie kondygnacje schodów, wpuszczają mnie do pretensjonalnie ozdobionej sali i wreszcie wychodzę na balkon. Za plecami słyszę zgrzyt rygli. Jestem sam, tłum jest przede mną.

Zrazu poraziło mnie tak silne światło, że musiałem przymknąć oczy. Potem spojrzałem na moich sędziów ostatecznych. Co najmniej trzysta osób pożądliwie we mnie wpatrzonych.

Przeciągły, wulgarny gwizd wyzwolił natychmiast lawinę obelg. Widok mojej zmizerowanej, naznaczonej cierpieniem twarzy wywołał niezwykłą wprost uciechę, sądząc po prowokacyjnych wrzaskach, szyderstwach i gromkim śmiechu.

– Patrzcie, jaki hrabia! Dalej, zaczynaj, niewiniątko! Daj nam się chociaż pośmiać, opowiedz parę kawałów. Pewno mamusia na ciebie czeka, co? A może ci pilno do dziatczek?

Oparłem dłonie na balustradzie i stałem nieporuszony, skamieniały. W pobliżu balkonu zauważyłem prześliczną dziewczynę: obiema rękoma rozchyłała dekolot sukienki, abym mógł się przyjrzeć jej wspaniałym piersiom.

– Podobam ci się, piękny paniczu? – zawyła. – Miałbyś ochotę, no nie?

A potem już tylko chichotała. Ja zaś ani na chwilę nie zapomniałem o moim planie, jedynym, który mógł mnie uratować. Nie pozwalałem zbić się z tropu, trzymałem się twardo, nie dawałem nic po sobie poznać; nie prosiłem, żeby zamilkli.

Z niewymowną radością spostrzegłem wkrótce, że są zaskoczeni moją postawą. Moi poprzednicy na balkonie przyjmowali niewątpliwie inną taktykę, reagując może zbyt gwałtownie, podnosząc głos lub błagając o ciszę – i w ten sposób działali na własną zgubę.

Ja tymczasem trwałem w bezruchu, niemy jak posąg, i haniebna wrzawa ucichała powoli. Tu i ówdzie rozległo się jeszcze parę gwizdów; potem nastąpiła cisza.

A ja nic. Ze straszliwą siłą woli zmuszałem się wciąż do milczenia.

W końcu usłyszałem czyjś głos, stosunkowo dość grzeczny i życzliwy:

– No, gadaj, gadajże wreszcie! Słuchamy.

I wtedy się zdecydowałem.

– Dlaczego mam gadać? – zapytałem. – Jestem tutaj, bo nadeszła moja kolej. Tylko dlatego. Wcale nie chcę was wzruszać. Nie jestem niewinny. Nie palę się do spotkania z rodziną. Nie mam ochoty stąd wyjść. Tutaj jestem szczęśliwy.

Odpowiedział mi niewyraźny pomruk. I pojedynczy okrzyk:

– Przestań bajerować!

– Jestem szczęśliwszy od was! – zawołałem. – Nie mogę wam zdradzić mojego sekretu, ale kiedy tylko chcę, wymykam się tajnym przejściem z celi do ogrodu, gdzie stoi piękna willa... nie powiem wam, która, bo takich jest bardzo dużo. Tam mnie znają, tam mnie kochają. A poza tym jest jeszcze...

Przerwałem na moment, aby spotęgować napięcie. Patrzyłem na tłum. Byli zdezorientowani i zawiedzeni. Jak gdyby zdobycz wymykała im się z rąk.

– Jest jeszcze – podjąłem – pewna młoda dama, która mnie kocha.

– Dosyć! Wystarczy! – krzyknął ktoś z tłumu, rozjątrzony. Zabolał ich z pewnością fakt, że jestem szczęśliwy.

– Zostawcie mnie w spokoju! – zawołałem. – Proszę was, dobrzy ludzie. Zlitujcie się nade mną. Pozwólcie mi tu zostać. Gwiźdźcie, błagam was, gwiźdźcie!

Dreszcz wstrząsnął tłumem, odczułem to bardzo wyraźnie: dygotali z nienawiści do mnie. Nie byli jeszcze całkiem przekonani, że mówię prawdę, że istotnie jestem szczęśliwy. I dlatego jeszcze się wahali.

Przechyliłem się przez balustradę, zadbałem o to, by mój głos brzmiał patetycznie.

– Nie odmawiajcie mi, o ludzie dobrego serca! – krzyknąłem. – Tak mało to was kosztuje. Drodzy państwo, proszę o gwizdy dla biednego szczęśliwego skazańca!

Stężony pomruk wściekłości przetoczył się przez plac.

– Och, co to, to nie! Nigdy! Za dobrze by miał! Wreszcie ktoś zaklaskał. Potem drugi, dziesiąty, setny.

Oklaski wciąż przybierały na sile. Wykiwałem ich, tych drani.

Za moimi plecami otworzono zaryglowane drzwi:

– Wychodź już – powiedziano do mnie. – Jesteś wolny.

OD TŁUMACZA

Dino Buzzati – jeden z najciekawszych pisarzy włoskich, prawdziwy przedstawiciel neorenesansu w dwudziestym wieku – zaliczany jest do klasyków współczesnej literatury europejskiej. Urodził się w Belluno w 1906 roku, zmarł w Mediolanie mając lat sześćdziesiąt pięć.

Po ukończeniu studiów prawniczych zaczął pracować w redakcji „Corriere della Sera”; prowadził tam kronikę wydarzeń, pisywał drobne opowiadania; w marcu 1939 roku był wysłany jako korespondent specjalny do Addis Abeby. Zajmował się też malarstwem: miłośnicy sztuki tłumnie odwiedzali jego liczne wystawy, znajdował także wielu nabywców na swoje obrazy.

Te dwie pasje, dziennikarstwo i malarstwo, ukształtowały niejako twórczość prozatorską Buzzatiego. Dbął o precyzję wypowiedzi, doceniał wartość słów współbrzmiących z myślą. „Poprawiam tekst setki razy. To praca przeogromna. (...) Znalezienie własnego języka jest dla pisarza sprawą najwyższej wagi” – zwierza się Giuseppe Trevisanemu, autorowi wstępu do „Barnabo z gór” („Barnabo delle Montagne”, 1933). Wyobraźnia malarska natomiast skłaniała go do rozbudowywania strony plastycznej, wyjątkowo w jego książkach sugestywnej. Można to już zauważyć w debiucie powieściowym „Barnabo z gór”.

Sławę, Uznanie i ogromną poczytność przyniosła mu dopiero „Pustynia Tatarów” (1940, polski przekład: 1974). Sytuacja polityczna faszystowskich Włoch wyjaśnia poniekąd genezę tej książki. Ówczesna młodzież, określana mianem „czwartej generacji”, utożsamiała się – jak podaje krytyk Alberico Sala – z porucznikiem Giovannim Drogo, bohaterem „Pustyni”. Obejmując swój pierwszy posterunek w przygranicznej fortecy, Drogo był przekonany, że opuści ją za parę miesięcy, gdy tymczasem spędzi tam całe życie na wyczekiwaniu zdarzeń mających nadać sens jałowej żołnierskiej egzystencji. I wreszcie kiedy zdarzenia te nadchodzą, kiedy wybucha wojna, Drogo – stary, chory i rozgoryczony – nie może w niej wziąć udziału.

Zamiar pisarski Buzzatiego nie polegał wyłącznie na metaforycznym odtworzeniu atmosfery faszyzmu. Na długo przed ukazaniem się „Nosorożca” Ionesco poznał Buzzati

prawidłowości rządzące systemami policyjnymi oraz ich zgubne oddziaływanie na osobowość jednostki. Tonacja „Pustyni Tatarów”, mimo wciąż narastającej grozy, jest delikatna, chwilami wręcz pastelowa, uzyskiwana – jeśli się tak można wyrazić – lekkimi pociągnięciami pędzla, i ona to właśnie w sposób decydujący stanowi o specyficznej poetyce utworu.

Podobnie zresztą należałoby scharakteryzować samą osnowę „Sessanta racconti” (1956), z których większość włączyłem do zbioru „Polowanie na smoka z falkonetem”. Za „Sessanta racconti” otrzymał Buzzati Premio Strega w roku 1958. Dwaj wybitni intelektualiści współcześni, Francuz Albert Camus i Anglik teatrolog Martin Esslin, zafascynowani byli symboliką „Siedmiu pięter”; Camus zaadaptował to opowiadanie na sceny paryskie w 1955 roku, nadając mu tytuł „Przypadek kliniczny” (dodajmy, że dwa lata wcześniej wystawił ten utwór słynny włoski reżyser Giorgio Strehler w Piccolo Teatro). Martin Esslin z kolei poświęcił Buzzatiemu cały esej głośnej pracy „The Theatre of the Absurd”. Więcej interesujących informacji o innych sztukach Buzzatiego i o jego roli prekursorskiej udostępnia polskiemu czytelnikowi nasz nieoceniony naukowiec humanista Józef Heistein w swojej „Historii literatury włoskiej”. Doświadczenia malarskie wykorzystywał także Buzzati w pracach scenograficznych; w roku 1959, na przykład, zaprojektował dekoracje do „Gry w karty” Igora Strawińskiego, wystawionej w mediolańskiej La Scali. Sam zresztą pisywał libretta, najczęściej do muzyki Luciana Chailly, z którym chętnie współpracował.

„Pustynię Tatarów” i „Sześćdziesiąt opowiadań” porównują niektórzy krytycy do prozy Kafkowskiej. Niewątpliwe podobieństwo nie zasadza się jednak na naśladownictwie, lecz wypływa z faktu, że obaj pisarze uświadamiali sobie kryzys swojej epoki. Buzzatiego odróżnia od Kafki i to, że częściej stosował elementy groteski i komizmu, humoru nie zawsze czarnego, absurdalnego bądź surrealistycznej proweniencji. „Mówią, że naśladuję Kafkę; powiedziałbym raczej, że naśladuję życie” – stwierdził kiedyś Buzzati. Ponadto dla Kafki świat jest statyczny, symbole odgrywają w nim rolę pierwszoplanową. Dla Buzzatiego – przeciwnie; pochłania go problem przemijania czasu, a elementy symboli znajduje on w temacie, tworząc z nich substancję rzeczywistości wieloznacznej, choć nie tak tragicznej jak u autora „Procesu”. Stosunek Kafki do rzeczywistości był zawsze trudny, jeśli w ogóle nie niemożliwy. Buzzati zaś żył w rzeczywistości: w rzeczywistości dziennikarskiej. Każdy z nich inaczej traktuje symbole:

u Kafki są one mniej realne, reprezentują bliżej nieokreślone Prawo; u Buzzatiego wyobrazają Przeznaczenie, przy czym dominują tu trzy jego ulubione symbole-miejsca: góry w Belluno (samotność), pustynia (nieskończoność) i Mediolan (tłum).

Ci wszyscy, którzy dopatrują się wpływu Kafki na kształt „Pustyni Tatarów” – zauważa poeta Eugenio Montale – „powinni pamiętać, że niemal identyczną tematykę podejmuje Buzzati w swoim debiucie. Temat ów można by określić jako próbę przedstawienia zmagania jednostki osamotnionej, która usiłuje walczyć o zachowanie własnej osobowości i pragnie nawiązać kontakt z innymi”. Domenico Porzio nie mniej słusznie dorzuca, że wbrew rozpowszechnionej opinii Buzzati „jako literat i człowiek z kręgu naszej kultury nie podlegał wpływom żadnego z przypisywanych mu mistrzów bądź kolegów po piórze – od Kafki po Landolfiego, od Hoffmanna po Gogola; odkrył on ich dopiero po napisaniu swoich opowiadań, po stworzeniu własnego świata literackiego”.

W „Polowaniu na smoka z falkonetem” poznajemy ów literacki świat Buzzatiego. Wszystko w nim jest na pozór proste, nieskomplikowane. Protagonisci to przeważnie ludzie uczciwi, zdani na siebie samych, uporczywie dążący do celu. Ale żyją w atmosferze niejasnego zagrożenia, starają się zatem rozwikłać lub bodaj przybliżyć otaczające ich tajemnice. Korzystają, zdawałoby się, ze swobody ruchów, zachowują się jednak tak, jakby działali pod szklanym kloszem, w otoczeniu, które jest zwierciadlanym odbiciem naszego postrzeganego świata. Buzzati dzielił ten rodzaj kreowanych przez siebie postaci na dwie kategorie: na takich, którzy buntują się przeciw absurdowi istnienia, i na takich, którzy są wtopieni w codzienność, bezradni wobec losu: ludziki w typie Charlie Chaplina.

Dwa główne motywy – lęk i samotność istoty ludzkiej otoczonej przez wrogą a nieznaną siłę – dominują w większości opowiadań tego tomu. Niemal każde z nich daje się zinterpretować na kilka sposobów. Niektórym brak jak gdyby zakończenia, co potęguje ich groźną wymowę. Fantazja czyni tu cuda: przyjmujemy logikę absurdu i realia jak z opisu koszmarnego snu, przestają nas dziwić zjawiska i przedmioty pozbawione przez autora swych właściwości, jak owa kropla wody wędrująca w górę po schodach uspionej kamienicy. „Buzzati, z humorem, rzec by można: metafizycznym, sprowadza swe opowieści do funkcji niepokojących i dramatycznych symboli” – zauważa wybitny krytyk włoski Giorgio Pullini.

Ale są też w „Polowaniu na smoka...” utwory wzruszające wdziękiem i prostotą, pełne uśmiechu, alegoryczne, poetyckie, jak choćby „Święci”, „Wigilia” czy „List

miłosny”.

Na zakończenie zacytujmy jeszcze wypowiedź Raffaella Carrieri, który jest wybitnym znawcą twórczości Buzzatiego: „Lekturze zawdzięczam najpiękniejsze chwile życia. Od wielu lat pióro Buzzatiego trzyma mnie w pełnym napięcia oczekiwaniu na jego kolejne dzieło. Nieliczni pisarze wywołują we mnie podobne odczucie: mało bowiem jest pisarzy prawdziwych. Pisarz prawdziwy to taki, który odkrywa rzeczy utajone. Buzzati ukazuje nam mnóstwo rzeczy utajonych, żyje w stanie ciągłego niepokoju”.

Alojzy Pałasz